

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 34 (1287) ROK XXV

26 LISTOPADA 1982 ROKU

20 ZŁ



Dietfurth o filipińskich uzdro- wicielnach

Nie jesteśmy do kochania

Rozmowa z LUDWIKIEM SOBOLEWSKIM — prezesem Zarządu Robotniczego Towarzystwa Sportowego WIDZEW w Łodzi.

— Niektórzy kibice zastanawiają się, czy Widzew zdobędzie w tym roku po raz trzeci mistrzostwo Polski.

— I do jakiego dochodzą wniosku?

— Że byłoby to możliwe. A co pan o tym sądzi?

— Ja muszę być realistą. Dlatego uważam — i tak sądzi Zarząd klubu — że dla drużyny najważniejsze jest utrzymać się w czołówce ligi.

— A co pan mówi zawodnikom?

— To samo. Z tym tylko, że tłumaczymy im, że muszą zrobić wszystko, aby znaleźć się na miejscu premiowanym udziałem w rozgrywkach europejskich pucharów. To jest bardzo ważne dla drużyny, żeby nie stracić kontaktu z piłką europejską.

— Cena tego może być wysoka. Celem staje się bowiem tylko zdobywanie punktów.

— Bez przesady. Ale prawdą jest, że w tej rundzie rozgrywek ligowych nie interesuje nas zbytnio styl gry, szukanie piłkarskich wielkości w zespole. Interesują nas punkty i selekcja młodych zawodników. I to nam się udaje.

Powiedzieliśmy, że w rundzie jesiennej trzeba zdobyć 17—18 punktów, bo to stwarza możliwość walki o pierwsze lub drugie miejsce w rundzie wiosennej.

— A więc jednak!

— Żeby coś osiągnąć trzeba przecież wyżej mierzyć. No i jesteśmy w ćwierćfinale rozgrywek Pucharu Europy. A drużyna jest w przebudowie, i ta właśnie drużyna zrealizowała zadania, jakie przed nią postawiliśmy.

— A już byli tacy, co sądzili, że Widzew musi popaść w regres. No, bo zabrakło gwiazd. Tymczasem Widzew nieoczekiwanie postawił na młodych i to bardzo dobrych, obiecujących. Jak wy to robicie?

— Czy nieoczekiwanie? Proszę sobie przypomnieć dawną drużynę Widzewa, kiedy to grał w niej Kostrzewiński, Chodakowski, Gapiński, Dawid, Pyrdol i wielu innych. To właśnie do tej drużyny między innymi dołączył dziewiętnastoletni Zbigniew Boniek. Zdawali sobie przecież sprawę, że skład drużyny musi się zmieniać. Odchodzi starsi, ich miejsce muszą zajmować młodzi. Tych młodszych trzeba do tego przygotować. Uczyli się więc od doświadczonych zawodników. Kiedy trzon drużyny stanowili Boniek, Smolarek, Żmuda, Rozborski, Tłokiński do zajęcia ich miejsc przygotowywali się Romke, Kamiński, Filipczak.

Teraz przygotowują się już ich następcy. Czasem to trwa długo, ale zawodnik musi czekać i musi się cały czas uczyć.

— Ale nie wszystkich przygotowujecie u siebie. Na przykład Wraga przyszedł, o ile się nie mylę, ze Stargardu.

— Tak, z trzecioligowego zespołu w Stargardzie Matusiak z trzecioligowej drużyny Boruty w Zgierzu. Mamy teraz znów obiecującego 19-latkę Bojowy, ambitny, chłopak z charakterem. Do zespołu jeszcze nie wejdziesz, sporo musi się nauczyć. Ale już widać, że będzie z niego pociecha w odpowiednim czasie.

— W Polsce spodziewano się, że taki potentat jak Widzew wykupi wszystkie gwiazdy i dopiero pokaże, co potrafi.

— I rozczarowano się. Wzięliśmy tylko doświadczonego Wójcickiego, wiedząc również, że jest to zawodnik poważny, po wojску, zachowuje się bez zarzutu poza boiskiem. No i Bolestę, który zastąpi Miynarczyka.

Dlaczego właśnie tak? To bardzo proste. Przecież nikt nie buduje drużyny z 11 gwiazd, bo z tego nic nie wyjdzie. Jak już mówiłem, trzon zespołu zawsze staramy się budować z naszych wychowanków. W tej sprawie jesteśmy konsekwentni.

— My, to znaczy kto?

— Zarząd klubu, trenerzy. Od lat nie zmienia się trzon Zarządu, ale dochodzą ludzie nowi, młodzi. Starzy działacze Widzewa starają się wychowywać młodych działaczy, przyciągać ich do pracy w klubie.

— I to się udaje?

— Udaje. Teraz będziemy mieli wybory, spodziewamy się, że wejdą do Zarządu młodzi ludzie. I co ważne, wychowankowie naszego klubu.

— Panuje także przekonanie, że byli sportowcy niechętnie chcą być działaczami.

— Być może, ale my się z czymś takim nie spotykamy. Na przykład Gapiński wrócił z Danii i zgłosił się do pracy w klubie. Powie pani, że jest asystentem. Jest. Ale Gapiński to nie tylko asystent, to również działacz. Dla niego nie ma sprawy braku czasu, kiedy w grę wchodzi sprawa klubu.

Opowiadał mi Gapiński, że rozmawiał z Bonkiem. Boniek powiedział, że po powrocie zza granicy podej-



Do czego przy- pniemy ostrogę

TERESA JERZYKOWSKA

Przed sklepami z obuwiem na długo przed ich otwarciem kłębiły się tłumy ludzi. Zapowiadano wprowadzenie ogólnokrajowej reglamentacji. Uległam powszechnemu nastrojowi. Przerazona perspektywą zimy we własnoręcznie zrobionych bępacach, zaczęłam gorączkowo rozglądać się za butami, które uda się kupić jeszcze przed wprowadzeniem talonów. Ale ponieważ kolejkę nie lubię, wchodziłam jedynie do sklepów, gdzie nie było ludzi. Trudno stwierdzić, że już w trzecim buty znalazłam. Był upał, a ja mierzyłam kozaki których stanowczo kupić nie powinnam, ich cena bowiem przekraczała moje finansowe możliwości. Kupiłam jednak wydając całą pensję — z dwóch powodów: była to ostatnia para, a jedna z kilku przeglądających się pań stwierdziła, że na takie drogie buty nikogo nie stać. Za niespełna dwa tygodnie dostałam talon, który chowam na okazje trafienia na wyjątkowo ładne pantofle. Odwiedzam sklepy i spokojnie przeglądam się, jak inni się meczą. Tłoku co prawda nie ma, na opustoszałych przez wiele tygodni półkach znowu pojawiły się buty, ale



Podzwonne dla Joanny Rawik?

BOHDAN
GADOMSKI

Są wśród polskich piosenkarzy — artyści, którzy zapisali ciekawą kartę w historii naszej piosenki. I choć nie zakończyli jeszcze czynnej kariery artystycznej, zdawać się może, że przeszli już do wspomnień, odcinając obecnie tylko kupony od swojej popularności, czyli nie robiąc nic nowego poza śpiewaniem na estradowych trasach...

Wydarzeniem więc bywa, a nawet i sensacją (w niektórych przypadkach) ich przypomnienie w środkach masowego przekazu (szczególnie w TV), które nadal dyktują obecność na tzw. rynku lub zejście z niego i popadanie w zapomnienie. 24 października 1982 r., w I programie TVP, obejrzałem program pt. „Spotkanie z Joanną Rawik”, którego zapowiedź bardziej co niektórych widzów zdziwiła aniżeli ucieszyła. Joanna Rawik zeszła przecież z piosenkarskiego rynku dosyć dawno...

Niestety, z telewizyjnego programu o Joannie Rawik nie dowiedzieliśmy się niczego nowego i odkrywczego o bohaterce. Nie wyjaśniono telewizjom przyczyny tej tak długiej nieobecności na małym ekranie, w radio, na płytach czy ostatnich festiwalach piosenki w Opolu dzięki którym zdobyła nazwisko uznane. Aby więc nie pozostać zainteresowanym w dalszych domysłach i niewiedzy, dopisuję, gwoli uzupełnienia kilkadziesiąt zdań o tej oryginalnej i swego czasu wysoko notowanej piosenkarce.

KOLORY

Istotny problem oderywał zawsze u Joanny Rawik kolor jej estradowych kreacji, określający w pewnym sensie ją samą i tak w pierwszym okresie śpiewania domował kolor czarny (w piosenkach przeważała namiętność i protest, wykonywa-

16

Foto: M. Zajdler

Przeгляд prasy

„Z OKOŁO 500 PROMINENTÓW PARTYJNYCH I WOJEWÓDZKICH (KATOWICKICH) ODPOWIADA PRZED SĄDEM TYLKO JEDEN: STANISŁAW KIEMASZEK...”

Kim jest — a raczej — kim był Stanisław Kiermaszek? Oto odpowiedź według cytowanego przez „PRZEGLĄD TYGODNIOWY” (nr 33 z 14 listopada 1982 r.) wpisu do księgi ludzi zasłużonych dla województwa katowickiego:

Urodził się w 1926 roku w Radlinie. Ukończył studia prawnicze, jest magistrzem z zakresu administracji. Ma Order Sztandaru Pracy I i II klasy i inne odznaczenia. Pracę zawodową rozpoczął w 1946 roku w PSS „Spolem” w Radlinie. Pracował później w PSS „Spolem” w Wodzisławiu Śląskim — był prezesem Zarządu. Od 1953 roku pracuje w radach narodowych. W 1973 roku otrzymuje nominację na wicewojewodę katowickiego, a od 1975 roku na wojewodę i pełnił tę funkcję do czerwca 1978 roku. Obecnie jest oskarżonym w procesie o... przysporzenie korzyści majątkowych kilku byłym prominentom.

Sam jest natomiast — jak pisze Edmund Żurek w „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM” — posiadaczem „trzykondygnacyjnego mieszkania”. „Nie dysponujący dachem. Jeżdżący tramwajem. Najbardziej z prominentów. O dużej odwadze cywilnej”. I to właśnie on zasiada na ławie oskarżonych.

„W tym procesie — pisze Edmund Żurek — zabrakło na ławie oskarżonych Edwarda Gierka, Włodzimierza Lejczaka, Tadeusza Pyki i Jana Szydłaka. Zamiast nich odpowiada przed sądem wojewódzkim w Krakowie Stanisław Kiermaszek, były wojewoda katowicki. Schorowany. Po pięciu ciężkich operacjach. Jeden z najbardziej zasłużonych Ślązaków po wojnie.”

Edmund Żurek przeprowadził rozmowę z Stanisławem Kiermaszkiem i opublikował ją w „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM” (nr 34 z 21 listopada 1982 r.). Oto fragment odpowiedzi Stanisława Kiermaszki na pytania E. Żurka:

— „Sprawa byłego I sekretarza KC jest wyjaśniona. Czy panu puszczają ten kawalek? Może doręczyć do ciebie pan prawdy? Gierk jest właścicielem dwóch domów: przy ul. Różycyńskiej w Parku Kościuszki w Katowicach i w Ustroniu Śląskim (willa rodzinna). Nie powiem panu ani słowa o tym, w jaki sposób Gierk wszedł w ich posiadanie. Ani słowa czy zapłacił i ile zapłacił.”

Odpowiadam za przeprowadzenie remontu w tych willach. Czy to nie paradoks: nie odpowiada ten, kto zainicjował wybudowanie tych will, nie odpowiada ich właściciel, nie odpowiadają wreszcie ci, którzy budowali (za ile i z jakich środków?)”

A może inni powiedzą. Są przecież w tym procesie świadkowie którzy w minionym okresie piastowali wysokie stanowiska państwowe i pełniły wysokie funkcje partyjne. Oto

FRAGMENT ZEZNANIA PIOTRA JAROSZEWICZA

złożonego w czasie śledztwa: „Po upływie pewnego czasu Janusz Wieczorek (wówczas szef Urzędu Rady Ministrów — przyp. L.B.), poinformował mnie o tym, że obywatel Edward Gierk zgłasza chęć nabycia na własność zamieszkanego przez niego domu w Katowicach, który stanowi własność miasta. W związku z tym poleciłem szefowi Urzędu Rady Ministrów, aby po omówieniu sprawy z władzami wojewódzkimi i miejskimi w Katowicach, zgłosił się do obywatela Edwarda

Gierka i przedstawił mu warunki kupna, a w szczególności koszty budowy i ceny domu. Po pewnym czasie minister Janusz Wieczorek powiadomił mnie, że przeprowadził rozmowę z Edwardem Gierkiem, w której uzgodnił z nim treść i formę umowy dotyczącej nabycia od miasta Katowic, zamieszkanego przez niego domu, jak też i tryb zapłaty należności. W związku z uzgodnieniem przez Janusza Wieczorka z Edwardem Gierkiem trybu zapłaty, nie interesowałem się dalej tą sprawą.”

Wyjaśnienie to nie właściwie nie wnosi do sprawy. A sprawa jest. Prokurator zarzuca St. Kiermaszkowi, że jako wojewoda katowicki 19 maja 1976 roku podjął „decyzję realizacji budowy nie objętych (...) zadaniami inwestycyjnymi 2 domów jednorodzinnych przy ul. Różycyńskiej” a także „domu dwurodzinnego przy ul. Drozdów” i w grudniu 1976 roku „polecił włączyć koszty tej budowy o wartości kosztorysowej 53,7 mln zł do przedsięwzięcia inwestycyjnego” (nazywanego wówczas umownie „Przebudowa ulicy Murckowskiej”). Chodzi tu o wybudowanie domów dla Z. Grudnia, L. Legomskiego, Adama Gierka. Szczegóły tej „afery” wzbudziły już raz powszechną sensację, kiedy to w maju lub czerwcu 1981 roku Tadeusz Biedziński opublikował w „Trybunie Robotniczej” obszerny artykuł pod tytułem: „Rachunek dla bezkarnych”, a który to artykuł przedrukowała cała niemal prasa krajowa, w tym „Głos Robotniczy”.

Może więc inni pamiętają, jak to było z budową domów dla Edwarda Gierka, jego synów Adama i Jerzego, Jana Szydłaka, Zdzisława Grudnia, Zdzisława Legomskiego i Tadeusza Pyki? Niestety. Okazuje się, że ludzie mają pamięć krótką i zawadną. I stąd wniosek:

NA WSZYSTKO MUSI BYĆ PODKŁADKA

Proszę jednak tego nie rozumieć jako zachęty do dalszego rozwijania i tak już ponad miarę rozwiniętej biurokracji. Nie podobnego. Trzeba tylko pamiętać, że jeśli w „dobrym gronie” decyduje się o milionowych sumach, to jednak nie można nawet najbliższemu partnerom wierzyć na słowo, ale trzeba na wszystko mieć pokrycie w rachunkach. Później bowiem okaże się, że wszyscy szybko o wszystkim dokładnie zapomnieli, a najmniej winnego „zrobili w konia”.

Procesem w Krakowie zainteresował się również Andrzej Luty ze „SZTANDARU MŁODYCH” (19-21 listopada 1982 r.) i opisując dotychczasowy przebieg procesu cytuje fragmenty różnych zeznań. Sprawa dotyczy budowy domów dla prof. Adama Gierka i Zdzisława Grudnia.

Z zeznania Stanisława Kiermaszki: „W tym czasie w Katowicach budowano ul. Murckowską. Chciałem to zadanie wykonać w ciągu jednego roku, brakowało mi jednak środków. W czasie bytności w Katowicach ówczesny premier Piotr Jaroszewicz polecił mi zbudowanie domu bliźniaczego dla Adama Gierka i Zdzisława Grudnia. Motywował tę decyzję tym, że Grudzień jest w złym stanie zdrowia i nie może mieszkać w dotychczas zajmowanym mieszkaniu. Piotr Jaroszewicz zastrzegł jednak, że budynek nie może przekroczyć kosztu 7,5 miliona złotych. Potem Zdzisław Legomski wydał mi polecenie pokrycia różnicy między rzeczywistymi kosztami budowy, a wpiątku z Urzędu Rady Ministrów z funduszu na budownictwo rad narodowych. Nie wyraziłem na to absolutnie zgody. Dostąpiłem zaszczytu, że sekretarz Legomski odwiedził mnie w tej sprawie osobiście. „Podobno nie chcesz zapłacić za dom szejna” — powiedział do mnie. Odpowiedziałem: „jak sobie wystawicie weksel, to go zapłać”. Legomski odszedł, a po trzech dniach odwiedził mnie ponownie i zapytał: „ile potrzebujesz dodatkowych środków na Murckowską?” Oświadczyłem, że dość sporo, na co Legomski stwierdził, że wicepremier Tadeusz Wrzaszczyk pokryje żądaną wielkość, ale pod warunkiem, że zostanie pokryty również koszt budowy bliźniaków przy ul. Drozdów.”

Po namyśle postanowiłem zadzwonić do Wrzaszczyka, a ten potwierdził mi oświadczenie Legomskiego...”

Kto to jest Zdzisław Legomski?

Urodził się w 1927 roku w Dąbrowie Górniczej. Jest z wykształcenia ekonomistą. „Zdolny i niezwykle ambitny” — pisze o nim Edward Żurek. Od 1969 roku pełnił funkcje kierownicze w różnych wydziałach w KW PZPR w Katowicach. Od 1974 roku był sekretarzem ekonomicznym KW PZPR w Katowicach, a od czerwca 1978 do grudnia 1980 roku wojewodą katowickim. Obecnie jest na rencie.

Zdzisław Legomski nie pamięta. Będąc już sekretarzem KW PZPR w Katowicach mieszkał nadal w Sosnowcu i — jak zeznał — mieszkanie to mu „jak najbardziej odpowiadało”. Ale Zdzisław Grudzień wymusił na nim przeprowadzenie się do Katowic, właśnie na ulicę Różycyńskiej. „Nawet nie wiedziałem, gdzie się ta ulica znajduje — oświadczył. — Wcześniej też nie wiedziałem, że tam buduje się jakieś domy. (...) Majster lub kierownik budowy powiedział nam, że sąsiedni jest budowany dla ówczesnego wicepremiera Tadeusza Pyki. Majster mówił, że za ogrodzeniem mieszka Edward Gierk i jego syn, Jerzy.” Zdzisław Grudzień wymógł na Zdzisławie Legomskim, aby przeprowadził się do Katowic, na ul. Różycyńskiej. „Nie wiedziałem” — powiada Z. Legomski — na jakich zasadach były budowane wille przy ul. Różycyńskiej. Nie miałem nic wspólnego z tą inwestycją. (...) Dom objełem na zasadzie kwaterunkowej.”

I oświadczenie w sprawie budowy domu dla Zdzisława Grudnia:

„Jeśli chodzi o dom zbudowany dla Zdzisława Grudnia, to w tej sprawie nie mogę nic bliżej powiedzieć, bo nie interesowałem się tą inwestycją.”

TADEUSZ WRZASZCZYK TEŻ NIE PAMIĘTA

Zeznał on: „Nie znam mi są fakty związane z budową domów dla Zdzisława Grudnia, Adama Gierka, Tadeusza Pyki i Zdzisława Legomskiego. Nie znam mi są zasady finansowania i rozliczania tych budów. Nie znam mi są źródła finansowania w tych inwestycjach.”

Znamy mi był temat przebudowy węzłów komunikacyjnych pod nazwą „Murckowska”. Komisja Planowania globalnie przyznawała limity do planu terenowego i centralnego.”

Ale Tadeusz Wrzaszczyk podpisał pismo z 7 czerwca 1976 roku, w którym znalazł się taki oto fragment:

„Jednocześnie wobec wystąpienia wzrostu zakresu rzeczowego i kosztu przebudowy ulicy Murckowskiej, zobowiązuję Towarzystwa Wojewodę do przedstawienia w terminie do 31 sierpnia br. — zgodnie z obowiązującymi przepisami — odpowiedniej analizy i wniosków dotyczących tego problemu.”

Pismo to cytuje w całości Edmund Żurek w artykule: „Nie bijcie prominenta”.

NA ŁAWIE OSKARŻONYCH

obok Stanisława Kiermaszki zasiadli: Ludwik Brzoska — nadsztygar energetyczny w kopalni „Gottwald”, szwagier Jana Szydłaka, oraz Zdzisław Tabaszewski — były dyrektor Katowickiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego, prawnik z wykształcenia.

— „Nigdy mnie nie nie łączyło z nadsztygarem kopalni „Gottwald” Brzoską — powiedział Edmundowi Żurkowi oskarżony Stanisław Kiermaszek — a Tabaszewski podlegał Ministerstwu Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych.”

Dlaczego więc razem siedzą na ławie oskarżonych?

Sprawę Ludwika Brzoski wyjaśnił po części Andrzej Luty w „SZTANDARZIE MŁODYCH”. W 1974 roku Jan Szydłak postanowił wybudować sobie dom w Katowicach. Zapropował wspólną budowę szwagrowi — Ludwikowi Brzosce. Ustalono, że koszty dzielą na połowę i placą sprawiedliwie — każdy za swoje. Rachunek zapłacili z własnej kieszeni, ale Ludwik Brzoska domyślił się, że zapłacili mniej niżby należało. Poszedł z tym do siostry, ale ta go uspokoiła: „ma się nie

martwić, bo wszystko zostało zapłacone”. Nie martwił się. Pomyślał nawet, że być może szwagier i siostra, zdając sobie sprawę z jego trudnej sytuacji finansowej, pokryli różnicę i nie chcą się do tego przyznać. I oto w 1980 roku otrzymał pismo, że on i Jan Szydłak mają dopłacić po 300 tysięcy złotych. Okazało się wówczas, że z konta... Komitetu Budowy Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie wyasygnowano na pokrycie kosztów budowy domku dla J. Szydłaka i L. Brzoski 600 tysięcy złotych. Pobiegi do siostry po wyjaśnienie, ale siostra powiedziała, że nie ma rady, trzeba zapłacić. Zapłacił i „nie czuje się winnym żadnego wyłudzenia spotecznych pieniędzy”.

Ludwik Brzoska jest chory, ale sąd podszepty sceptycznie do zaświadczenia, powołał biegłych lekarzy, którzy mają stwierdzić, czy rzeczywiście L. Brzoska nie może odpowiadać przed sądem. Podobnie było — jak pisze A. Luty w „SM” — ze Stanisławem Kiermaszkiem i dopiero biegli uznali, że mimo nie najlepszego stanu zdrowia może odpowiadać przed sądem.

Edmund Żurek utrzymuje, że jest to

PROCES — DZIWOŁĄG

Po pierwsze — na ławie oskarżonych zabrakło paru osób. Po drugie — w akcie oskarżenia unika się „wymienienia nazwisk: Adam Gierk, Edward Gierk, Zdzisław Grudzień, Zdzisław Legomski”. Autor więc postanowił rozszyfrować „prokuratorские tajemnice” i napisał, do kogo należą wymienione w akcie oskarżenia „tajemnicze” domy:

„2 domy jednorodzinne przy ulicy Różycyńskiej — domy Zdzisława Legomskiego i Tadeusza Pyki, „Dom dwurodzinny przy ul. Drozdów” — segmenty Adama Gierka i Zdzisława Grudnia, „Dom przy ul. Różycyńskiej 14 w Katowicach” — własność Stanisława i Edwarda Gierków, „Prywatny dom w Ustroniu Śl.” — dom Adama, Jerzego, Stanisława i Edwarda Gierków”.

O remoncie wili w Ustroniu Śląskim Stanisław Kiermaszek tak opowiedział Edwardowi Żurkowi:

„Edwardowi Gierkowi postawiono dom w Ustroniu — Zawodzie, w najbliższym sąsiedztwie posiadłości Jerzego Ziętki. (...) Odwiedziłem mnie generał Ziętek — byłem wtedy wojewodą — i powiedział: „Stuchajcie, Kiermaszek, Edek przyjeżdża na urlop do Ustronia, trzeba posłać ludzi, bo tam rytna urwana i szyby wybite” (...).

Poleciłem dyrektorowi Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Mieszkaniowej Henrykowi Wieczorkowi wysłać ekipę, aby usunęła usterki w Ustroniu, bo przyjeździe i sekretarz Komitetu Centralnego na krótki wypoczynek (gdybym dzisiaj znalazł się w takiej sytuacji, uczyniłbym podobnie). Liczyłem, że koszty będą niewielkie: „rytna urwana i szyby wybite”. Dyrektor Wieczorek dostarczył mi rachunek na 240 tysięcy złotych. Oberwało mi się ode mnie, bo wydawało mi się, że w latach 1975-76 domek można było za taką sumę postawić. Wezwałem Jerzego Karwackiego z Biura Ochrony Rządu. Potwierdził odbiór wykonanych robót. Dałem polecenie, aby zapłacić. (...).

Do zarzutów prokuratora Prokuratury Wojewódzkiej nie przyznaję się. Tak nawiąsem zapytałem pana tylko, jaki standard powinna mieć willa i sekretarz Komitetu Centralnego i z jakim pałacem-siedzibą w krajach Demokracji Ludowej lub z siedzibą w krajach zachodnich można ją porównać? Nie dałem pieniędzy na ten remont i na ponadstandardowe wyposażenie. Wprowadziłem mnie w błąd podlegli mi służby albo uczynili to oficerowie z Biura Ochrony. Na temat remontu wili Edwarda Gierka przy ulicy Różycyńskiej w Katowicach nikt ze mną nie rozmawiał. Żadano ode mnie środków na odnowienie Parku Kościuski — pobudowano w nim dom I sekretarza KC — na odnowę drzewostanu i na remont cmentarza. Takie zlecenie wydałem.”

Proces trwa i wszystko wskazuje, że potrwa długo.

LUCJAN BOGUSZ

Madryt — ostrożny optymizm

Po pierwszym tygodniu madryckiego spotkania przedstawiciele 35 państw-sygnatariuszy Aktu Końcowego w Helsinkach, przewodniczący delegacji PRL, wiceminister spraw zagranicznych, Józef Wielec powiedział wysłannikom „Trybuny Ludu”.

„Pierwsze dni spotkania cechowała rzeczowa atmosfera z odrobiną dialogu między państwami Wschodu i Zachodu. Nie chciałbym jednak przeceniać znaczenia tej atmosfery, bo przecież trudności jest nadal sporo. Nie można też zapominać o wciąż skomplikowanej sytuacji międzynarodowej, która wywiera istotny wpływ na spotkanie.”

Przebieg wydarzeń z 10 listopada w Polsce — wbrew nastrojom szerzonym przez część środków masowej informacji na Zachodzie — wykazał postęp w normalizacji sytuacji w naszym kraju. Myślę, że wywrze to wpływ na pogłębienie zrozumienia, iż sprawy polskie były i są wykorzystywane przez politykę USA jako pretekst do stwarzania napięcia i hamowania pracy na spotkaniu, ze szkodą nie tylko dla Polski, lecz również wszystkich państw europejskich, dla sprawy odprężenia i współpracy między Wschodem i Zachodem.

Uczestników spotkania głęboko poruszyła wiadomość o śmierci Leonida Breżniewa, którego imię tak ściśle zostało związane z najwyższym dobrem człowieka, jakim jest pokój, z polityką odprężenia i procesem KBWE.”

Także madrycka prasa wykazywała w ubiegłym tygodniu bardziej realistyczne spojrzenie na Polskę. Komentator liberalnego dziennika „El País” ocenił, że fiasco sił podziemia w Polsce ma wielorakie przyczyny — słabość działaczy podziemia i ich nikłe wpływy w społeczeństwie, umiarkowana postawa Kościoła, przekonujące działania rządu.

Takiego opanowania i realizmu politycznego nie wykazał w drugim tygodniu madryckiego spotkania ambasador USA Kampelman. Wystąpienie delegata Stanów Zjednoczonych było w napięciu oczekiwane przez cały pierwszy tydzień spotkania. W kuluarach mówilo się, że przedstawiciel USA uzależnia ton swego wystąpienia od wydarzeń w Polsce oraz od odzewu, z jakim spotkają się w krajach dziewiątki najnowsze posunięcia Reagana związane ze zniesieniem embarga na dostawy dla budowniczych rurociągu syberyjskiego.

Przedstawiciel Stanów Zjednoczonych okazał się głuchy na wszystkie pozytywne tendencje i wydarzenia w Polsce, które potwierdzają stopniowe normalizowanie sytuacji społecznej i gospodarczej. Ambasador Kampelman posunął się do ingerencji w suwerenne decyzje Sejmu i rządu PRL, oskarżył rząd polski o łamanie postanowień Aktu Końcowego. Wynikało z tego wystąpienia, że Waszyngton pragnie utrzymać w Madrycie „sprawę polską” jako główny pretekst do jątrzenia atmosfery dialogu.

Wyraźnie widać, że Stany Zjednoczone i ich NATO-wscy sojusznicy nie są przygotowani do pozytywnej ewolucji sytuacji w Polsce i uporczywie realizują wcześniej przygotowane zimmnowonne scenariusze.

Kampelman poparł delegaci RFN, Holandii i kilku innych państw.

Ze spokojną, ale zdecydowaną polemiką wystąpił przewodniczący delegacji polskiej Włodzimierz Konarski (wiceminister Józef Wielec wrócił 14 listopada do Warszawy).

Delegat naszego kraju wskazał, że niektóre wystąpienia zachodnie w sprawie Polski były oparte nie na faktach, lecz na stworzonych przed miesiącami propagandowych „kliszach”.

Polityka Polski — stwierdził przewodniczący delegacji — nie będzie zmieniana pod niedopuszczalnym naciskiem Stanów Zjednoczonych lub w wyniku szantażu gospodarczego. Polityka wewnętrzna Polski będzie realizowana zgodnie z żywotnymi interesami naszego narodu i państwa.

Przedstawiciel Polski zwrócił także uwagę innym delegacjom, które wykazywały jakoby „zatraskanie” sytuacją w Polsce, że nie wypowiedziały one ani słowa krytyki na temat amerykańskiej polityki sankcji gospodarczych. A przecież USA, stosując te sankcje wobec różnych państw Wschodu i Zachodu, brutalnie gwałcą podstawowe zasady Aktu Końcowego, łamią również postanowienia ekonomiczne podpisane w Helsinkach.

W kuluarach konferencji taktyka delegacji USA została przyjęta z mieszanymi uczuciami lub wręcz zdecydowanie krytyczną reakcją delegacji tych państw, które zainteresowane są rzeczowym dialogiem nad projektem dokumentu końcowego, opracowanym przez państwa niezaangażowane. Warto przypomnieć, że tekst tego dokumentu w ok. 80 proc. jest już uzgodniony.

Jednakże pod naciskiem Stanów Zjednoczonych grupa 10 delegacji państw EWG wniosła niespodziewanie do uzgodnionego już projektu cały szereg poprawek, zniekształcających zasadniczo jego wymowę.

Zdaniem państw socjalistycznych poprawki są nie do przyjęcia. Przed poprawkami bronią się także autorzy projektu, delegacje państw neutralnych i niezaangażowanych. M. in. przewodniczący delegacji Austrii, ambasador Franz Cesna stwierdził, że w obecnej sytuacji państwa europejskie nie mogą pozwolić sobie na luksus przedłużania spotkania w nieskończoność lub na rozejście się bez wyników.

W piątek przewodniczący delegacji polskiej Włodzimierz Konarski powiedział dziennikarzowi „Trybuny Ludu”, że dzięki konstruktywnej postawie delegacji państw socjalistycznych, krajów niezaangażowanych, a także niektórych delegacji krajów NATO coraz bardziej widoczny jest postęp w rozmowach, zwłaszcza w grupach redakcyjnych, gdzie panuje dobra atmosfera.

Natomiast na sesjach plenarnych występują jeszcze napięcia, których główną przyczyną jest stanowisko USA. Delegacja amerykańska powraca z uporem do tzw. „sprawy polskiej” usiłując wygrać ją dla zakłócenia normalnego toku prac konferencji. Wywiera też w tej sprawie presję na swoich sojuszników.

Z wielką uwagą uczestnicy spotkania przyjęli krótkie wystąpienie przedstawiciela Związku Radzieckiego, Siergieja Kondraszewa, który stwierdził, że z dyskusji wynika, iż nie do wszystkich delegacji dotarła świadomość tego, że znajdujemy się na nowym etapie pracy spotkania. Delegat ZSRR podkreślił, że jeśli pewne delegacje nie odejdą od linii konfrontacji, do której z uporem wracają nie rozumiejąc nowej sytuacji, to mogą spowodować niepowetowane szkody i straty dla całego procesu KBWE, który ma szanse doprowadzenia do porozumienia w Madrycie. Delegat radziecki przestrzegł przed tym, żeby spotkanie madryckie nie stało się jeszcze jednym forum zmarnowanych szans. Delegacja ZSRR — oświadczył — uczyni wszystko, aby temu zapobiec.

Spotkanie madryckie weszło w trzeci tydzień obrad w atmosferze intensywnych dyskusji, które — mimo oczywistych różnic interesów poszczególnych grup państw — nacechowane są wolą dialogu i rzeczowością w podchodzeniu do kluczowej kwestii obrad — do sprawy bezpieczeństwa i odprężenia militarnego w Europie.

Kilka refleksji o polityce personalnej wzbogaconych cytatami

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Musiał odejść, bo groziło mu odejście z tego świata. Odejść od czynnej działalności uratował tylko kilka miesięcy życia. Ale ludzie nie uwierzyli.

I to jest problem pierwszy — jak odchodzić? Podstawowa zasada polityki personalnej. Wprawdzie Edward Gierk swego czasu odgrażał się, że pokaże, jak się odchodzi, ale lepiej tego przykłać nie brać pod uwagę. Teoretycznie problem jest właściwie rozwiązany. 24 paragraf Statutu PZPR mówi o tym, że „i samą funkcję z wyboru w organach wy-

konawczych można nieprzerwanie pełnić nie dłużej niż dwie kadencje”. Ale mówi jednocześnie, że w „szczególnie uzasadnionych przypadkach konferencje partyjne mają prawo podjąć decyzję o możliwości kandydowania na kolejną kadencję” oraz że „ponownie można kandydować na tę samą funkcję po przerwie trwającej jedną kadencję”. Jak ta zasada sprawdzi się w praktyce? To dopiero pokaże przyszłość. Myślę, że nie można tu postępować zbyt mechanicznie, twarde trzymać się litery Statutu, a raczej jego ducha, każdy przypadek rozpatrując indy-

idualnie w określonych warunkach. Tym niemniej problem odejścia z funkcji pozostaje.

Jan Połudzień odszedł, bo był chory, ale ludzie w to nie uwierzyli i doszukiwali się innych przyczyn. Lekarze zapewniali, że po dłuższym odpoczynku będzie mógł wrócić do dawnej pracy, ale Jan Połudzień wiedział, że takie powroty już się nie udają. Albo udają się rzadko. Wyjątek potwierdza regułę.

Inżynier Wypiór przestał być dyrektorem i został referentem w wydziale kosztów własnych kopalni, bo jego żona nie zrozumiała reguł gry Spółka w kawiarni dawno nie widzianą koleżankę, która pochwaliła się jej, że dzięki Połudzienowi ma koleżanki bywał za granicą. Są bowiem przyjaciółmi syna Połudzenia. Poprosiła, aby koleżanka podszepnęła Połudzienowi — poprzez syna oczywiście — żeby obrugał inżyniera Wypióra, gdyż ten późno wraca do domu i czasem czuł od niego alkohol. Syn Połudzenia, do którego z taką prośbą zwróciła się koleżanka Wypiórowej, usłyszał już wersję ubarwioną. Wypiór został już alkoholiczkiem i dziwkazem. Syn mówiąc o tym ojcu dodał, że inżynier Wypiór katuje żonę.

„Jeden z wiceministrów podjął się obrony zagrożonego dyrektora, ale zrezygnował w tym samym momencie, kiedy usłyszał, że stanowisko instancji jest nieuprzedzone i nikt nie ma zamiaru podejmować dyskusji na ten temat.

— Niech go natychmiast zdejmą — powiedział Połudzień do Jankowskiego.

— Czy coś się stało?

— Nie chcę słyszeć o tym człowieku. On dla nas nie istnieje...”

Wprawdzie Jankowski, gdy zajął miejsce po Połudzeniu i gdy do niego dotarły listy kierowane do KC przez inż. Wypióra (w województwie tym takie listy najpierw trafiały do instancji wojewódzkiej) podjął decyzję o powrocie Wypióra do pracy w ministerstwie. Przed degradacją inż. Wypiór był dyrektorem zjednoczenia.

Jerzy Kwapien (redaktor naczelny gazety partyjnej), a przedtem kierownik wydziału propagandy i sekretarz Mitas odeszli, bo „zyczliwy” doniósł, że spotykają się w mieszkaniu Jana W. Rybarczyka z różnymi paniąkami, gdzie dzieją się orgie i orgietki. Sprawę zbadał i zarzuty potwierdził się.

Ignacego Hubacza zdjęto ze stanowiska, bo miała być reorganizacja, a on był psem na wszelką spekulację, lapownictwo, łajdakowo. Był dyrektorem MHD. Ale dzięki jego uporowi i konsekwencji sprawę zba-

Zaniedbując handel, w tramwajach jest jak w maglu... Ja nie pamiętam, żeby kiedykolwiek przedtem dzwonił się takie sceny Wędlin dobrych nie ma... Nigdy nam dotąd nie brakowało szynki, a teraz masa, przyjdą goście i co ja im podam!

— Zadzwoń do kierownika, może załatwi nam szynkę, na pewno ma w rezerwie kilka puszek — uspokajał ją Połudzień.

— Nie mają, pytałam.

— To jest niemożliwe. Muszą mieć jakiś zapas. Poza tym dla nas powinno być.

Zaniósł siatki do kuchni i usiadł przy stoliku na którym stał aparat telefoniczny. Dość długo szukał w spisie numeru „Delikatessów”. Zapisał go na kartce i zaczął wykręcać cyfry (...)

— Z kierownikiem — powiedział.

— Kto prosi? — odpowiedział kobiecy głos.

— Połudzień.

— Chwilczkę, bo pan kierownik jest zajęty. A o co chodzi?

— Mam do was prośbę — powiedział Połudzień — Potrzebna mi mała szyneczka...

Kobieta po tamtej stronie przewodu zaśmiała się.

— Pan myśli, że mnie nie byłoby potrzebna szyneczka?

— Proszę jednak przywołać kierownika. Moje nazwisko Jan Połudzień. Po-lu-dzień...

— Kierownik nic nie poradzi, bo szynki nie ma... Jeżeli chce pan rozmawiać z kierownikiem, proszę zadzwonić za pół godziny...”

Kilka miesięcy wcześniej takiej rozmowy by nie było. Kierownik znalazłby się natychmiast, a owa pani rozmawiałaby stojąc i trzymalaby słuchawkę z należytym szacunkiem. Czyż ten szacunek należy się funkcji „fotelowi”, czy człowiekowi? Oto jest dylemat każdej polityki personalnej.

Jan Połudzień zrobił dla województwa wiele. Wybudował fabrykę samochodów małodrożowych Wybudował, albo wymusił na centralnych władzach, stawiając je przed faktem dokonanym, jakim był samochód własnej konstrukcji. Samochód popularny. Przebudował centrum wojewódzkiej metropolii. Próbował rozwiązać komunikacyjne kłopoty. Czyż tym nie powinien być zasłużony na odrobnie szacunku u ludzi?

Kiedy już jako emeryt siedział w parku z Romanem Latusem — byłym działaczem związkowym, też na emeryturze — inni emeryci, przychodzący wygrzewać się na słońcu i odpoczywać w parku udawali, że też ławki nie widzą. Mieli żal do Jana Połudzenia za jego politykę personalną.

Komendant milicji ustanowił dyskretną ochronę Jana Połudzenia, bojąc się, że może go spotkać od ludzi jakaś przykróść. Połudzień poprosił nawet o zdjęcie tej ochrony. Komendant uznał wszakże, że ochrona powinna być bardziej dyskretna, ale powinna pozostać.

„Frowadziłem swoich współpracowników za rączkę — napisał Jan Połudzień w swoim pamiętniku — aby nauczyli się nowego stylu kierowania. Trzeba im było mówić o sposobie przyjmowania interesantów, którzy nie odczuwali dotąd trudności w dostępie do sekretarzy, o konieczności oszczędnego wypowiedziania się i niepokazywania się w miejscach publicznych, kiedy nie jest to konieczne. Dystans wymaga szacunku, wniemożliwia przyjęcie się brakiem i utomańciami działacza (...)

Z zespołu, z którym zaczynałem pracę w 1957 roku, już nie było nikogo w najbliższym otoczeniu. Moi współpracownicy zostali w ciągu tych lat wybrani osobiste przeze mnie, pozostawiając od Jankowskiego...”

Jacy to byli ludzie? Dobrzy, posłuszni wykonawcy. Ale Jankowski, zajmujący miejsce Połudzenia, sprawił mu srogi zawód. Zabronił pracownikom aparatu partyjnego pomagać w załatwianiu przydziałów samochodów, postanowił zabierać głos tylko w tych sprawach, na których się zna i w których ma rzeczywiste coś do powiedzenia, nie zgodził się, aby zastępca kierownika wydziału Zawada zajął stanowisko dyrektora wydawnictwa (piastującego to stanowisko trzeba byłoby oczywiście pod być jakim pozorem zwolnić), gdyż nie miał do tego kwalifikacji i wreszcie nie zgodził się być liberalnym wóbec pupila Połudzenia — redaktora Jerzego Kwapienia.

Ale zawiódł się nie tylko Jan Połudzień. Zawiódł się również sam autor — Zenon Borkowski. Oto co na ten temat napisał w przedmowie.

„Fabuły zawarte w książce oparte na znanych mi faktach, które optymistycznie zniekształciłem, co było potwierdzeniem mojej wari w możliwości oca-

lenia się władzy, spojrzenia jej pełnoocentków na swoje działanie przez losy podwładnych.

Nie spełniły się moje nadzieje. Książka nie ukazała się w czasie, gdy czułem potrzebę jej napisania. Bohaterowie przedstawieni w niej musieli przyjąć inny los, niż im to wyznaczyłem, optymistycznie kończąc prowadzoną tutaj wątki. Życie narzuca konieczność opisania dalszego ciągu działalności sekretarza Jankowskiego, jego podwładnych i zależnych...”

Tak patrząc na tę książkę można jeszcze powiedzieć, że jest to powieść... historyczna. Byłoby jednak tak, gdyby nie fakt, że problemy polityki personalnej są nadal istotne, budzą wiele kontrowersji i różnie są rozumiane. A bezcie tak długo, jak długo jasno i wyraźnie nie zostaną określone kryteria tej polityki.

Co wyznacza politykę personalną?

Po pierwsze — kwalifikacje zawodowe, polityczne i moralne ludzi delegowanych, wybieranych i mianowanych na stanowiska i funkcje.

W Uchwale IX Zjazdu PZPR tak to zapisano:

„W doborze ludzi na stanowiska kierownicze opowiadamy się za rozszerzeniem udziału emerytów socjalistycznych stronnictwo i bezpartyjnych, za ścisłym przestrzeganiem zasad kompetencji i odpowiedzialności oraz socjalistycznych kryteriów moralnych...”

W tymże dokumencie stwierdza się również, że „w życiu partii muszą obowiązywać proste, bezpośrednie i szczerze stosunki między wszystkimi towarzyszącymi niezależnie od pełnionych przez nich funkcji, rzetelność i prawdziwość, odważa cywilna i poczucie odpowiedzialności, stawianie sobie wysokich wymagań, silne poczucie więzi ideowej i wzajemne zaufanie”.

Jakże inny to duch od tego, który wieje z kart książki Zenona Borkowskiego, a jest ona przecież obrazem przeszłości, do której nie chcielibyśmy wracać. Jest też przestroga przed tą przeszłością, przed powrotem do niej.

Po drugie — sprawnie działający system kontroli władzy. IX Zjazd PZPR powiedział się też „za kontrolą społeczną nad sposobami i efektami działania kadr kierowniczych w której zasadniczą rolę odgrywać musi opinia partyjna i społeczna”.

Są ludzie, którzy bardzo kochają władzę i chcą ją pełnić za wszelką cenę, choć nie zawsze do pełnienia tej władzy są predysponowani. Są ludzie, którzy grzeją się w ciepło od władzy promieniującym i którzy będą zawsze kadziły podlizywali się, wiernie służyli każdemu, kto władzę piastuje. Nie zdają oni sobie sprawy z tego, że pełnienie władzy, kierowanie zespołami ludzi, jest trudna, ciężka i odpowiedzialną pracą wymagającą określonych predyspozycji. Potrzeba do tego wielkiego hartu ducha, odporności na wszelkie pokusy, jakie władza niesie z sobą. Nie rozumieją, że ludzie sprawujący jakąkolwiek władzę nie mogą odrywać się od rzeczywistości, że potrzebny im jest możliwość szeroki kontakt z ludźmi, wysłuchiwanie ich opinii, często nawet krytycznych i niesprawiedliwych. Ludzie sprawujący władzę, pełniący kierownicze funkcje muszą znać prawdę o tym, co robią, o skutkach ich kierowania. Bez tego mogą popaść w samouwielbienie, dojść do błędnego przekonania, że wszystko potrafią i nieczyjej pomocy im już nie potrzeba. A to początek ich kłębki i szkód społecznych, jakie tym wyrządzają. Dlatego niezbędne jest funkcjonowanie sprawnego systemu kontroli, który byłby w stanie szybko i skutecznie naprawiać nieprawidłowości, prostować i wznosić się kontakty, pomagać w skutecznym sprawowaniu władzy i kierowaniu. Taki system istnieje w postaci szeregu różnych instytucji, konferencji sprawujących zwierzchnią władzę nad ogniwami wybieralnymi, walnych zebrań, różnych komisji. Chodzi tylko o to, aby pełniły one swoje statutowe funkcje bez żadnej taryfy ulgowej bez uników i przyzywania oczu. I tak musi się stać. Ażalzy to tylko od nas wszystkich.

Zenonowi Borkowskiemu wypada życzyć, aby napisał ciąg dalszy, tym razem o „działalności sekretarza Jankowskiego, jego podwładnych i zależnych”, ale też, aby już nie musiał pisać trzeciej części.

1 Książka, o której pisze 10 lat leżała w szufladzie. Powstała, jak to stwierdza sam autor w Katowicach między 13.VIII a 7.XI.1970 roku. Do września 1980 roku autor dwukrotnie próbował maszynopisem zainteresować wydawnictwo. Próbował też obublikiować fragmenty w „Odrze”. Dopiero we wrześniu 1980 roku zainteresowała się nią „Książka i Wiedza”, która też wydała ją w lipcu 1980 roku. Jeszcze tu i ówdzie można kupić tę książkę.

Jej autor: Zenon Borkowski. Jej tytuł: „PAMIĘTNIK SEKRETARZA POŁUDZIENIA ILLUSTROWANY SCENAMI Z ŻYCIA JEGO PODWŁADNYCH”.

2 Jaka to jest książka? Można ją różnie zakwalifikować. Można uznać, że jest to powieść polityczna. Można też uznać, że jest to literacki portret sekretarza KW Połudzenia, albo inaczej, że jest to próba pokazania typowej kariery politycznej. Ale można też powiedzieć, że jest to literacki montaż sceny z życia wojewódzkich prominentów. I to też będzie część prawdy. Ale prawdą będzie również stwierdzenie, że książka ta jest próbą ukazania sprzeczności jakie narastają między poszczególnymi układami i grupami ludzi sprawującymi władzę i próbą ukazania kierunku ich rozwiązania. Wszystko to jednak sprowadza się do mechanizmów jakie rządzą ludźmi sprawującymi władzę. I o tym właśnie jest ta książka.

Chciałbym tu się zastrzec, że nie piszę recenzji z książki Zenona Borkowskiego. Niech jej wartości literackimi, konstrukcją, zaletami i wadami zajmą się inni. Mnie interesuje przede wszystkim zarys owych mechanizmów, jakie odgrywają na ludzi sprawujących władzę, mechanizmów rządzących polityką personalną. Bardziej od warstwy literackiej interesuje mnie postawa polityczna. I choć wiem, że jednej nie można odrywać od drugiej, bo w książce muszą stanowić zwartą całość, to pozwalam sobie na taki zabieg, traktując pamiętnik Połudzenia i sceny z życia jego podwładnych jako pretekst do szerszych nieco rozważań.

3 Książka obejmuje lata sześćdziesiąte. Jej akcja konczy się gdzieś w listopadzie roku 1970, gdyż Jan Połudzień kończy pisać swój pamiętnik 27 października 1970 roku i w kilka dni później nagle umiera. Autor zdaje sobie sprawę z tego, że oddając tę książkę do druku w 1980 roku powinien był wpisać niejako ciąg dalszy jej bohaterów.

„Nie wprowadzałem żadnych uzupełnień — pisze we wstępie — zmian i komentarzy do tekstu, chociaż mogłem, korzystając z wydarzeń grudnia 1970, czerwca 1976 i sierpnia 1980 roku. Zostałbym „fotograficzny” ujęcie portretu sekretarza i jego podwładnych, nie opatrzyłem tych kadrów psychologiczną podbudową. W 1970 roku wydawało mi się szkodliwym dla osiągnięcia celu (miałem nadzieję, że ktoś się odważy wydać książkę), a teraz... byłoby załotowaniem mojej pracy. Oddaję ją do rąk Czytelników taką, jaką stworzyłem wówczas, przed erą ludzi Połudzenia.”

4 Kim był Jan Połudzień? Urodził się w czerwcu 1915 roku. Był synem robotnika rolnego. Od 12 roku życia musiał pracować aby utrzymywać matkę i rodzeństwo. Wcześniej zetknął się z ruchem związkowym, a także komunistycznym. Był na emigracji, między innymi w Belgii. Pracował przed wojną w Łodzi i Pabianicach. Walczył przeciw hitlerowcom. Walczył o umocnienie władzy ludowej. Był pracownikiem KC, był sekretarzem KW PPR, później KW PZPR. Był członkiem KC PZPR, posłem na Sejm PRL.

Zyciorys można powiedzieć typowy dla wielu partyjnych i państwowych działaczy „pierwszego pokolenia”, a więc tych, którzy umiejętność politycznego działania i kierowania zdobywali jeszcze przed wojną, przeżyli okupację i którzy tworzyli zrebry państwa socjalistycznego. Przeżyli zjednoczenie ruchu, walkę z odchyleniem nacjonalistyczno-prawicowym, stalinizm, rok 1956 i weszli w pełnię swojej politycznej działalności w latach sześćdziesiątych.

Jan Połudzień odszedł z funkcji i sekretarza KW PZPR z powodu złego stanu zdrowia. I tu parados. On rzeczywiście był ciężko chory odchodząc.

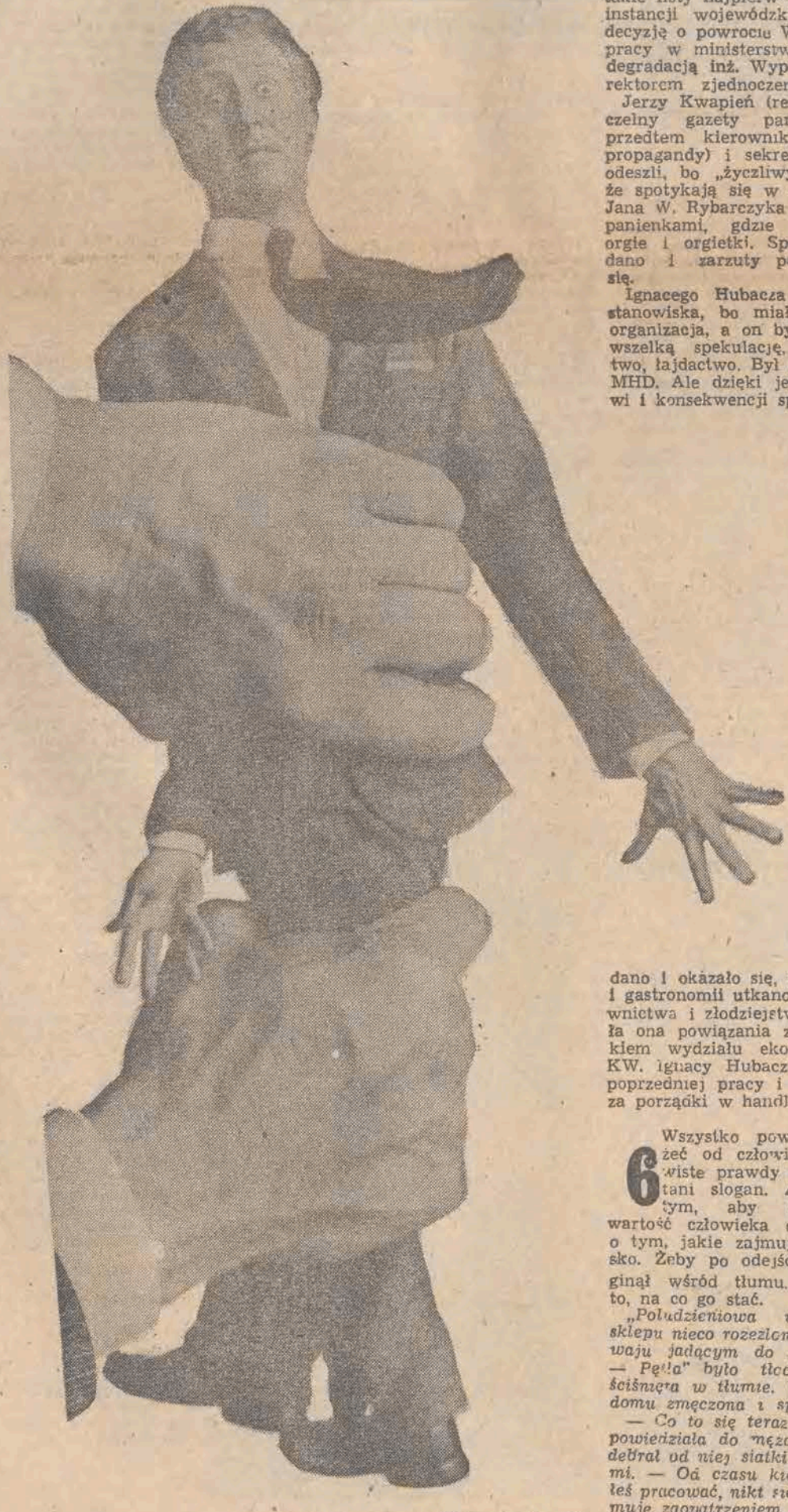


Foto: Archiwum

Nasz czas przeszły

4. STRAJK SOLIDARNOŚCIOWY

W drugiej połowie sierpnia 1980 r. w kraju powszechnie znany był fakt, że na Wybrzeżu trwa strajk, ale bardziej szczegółowe wiadomości na ten temat rozbudziły się przede wszystkim poprzez ludzi wracających z urlopów nad morzem, oni także przywozili ulotki i inne wydawnictwa strajkujących szlachtyców. Spółki masowego przekazu, informując ogólnie o sytuacji w Gdańsku i Szczecinie, wzywały do rozwagi, spokoju, podkreślały uciążliwość i straty jakie przynosi strajki.

W Łodzi aż do 26 sierpnia 1980 r. panował spokój, mieszkańcy z uwagą śledzili wydarzenia w kraju, ale można powiedzieć, że narastała gotowość do podjęcia akcji strajkowej. Niewątpliwie wpływ na ten stan rzeczy miał fakt kolportowania na terenie zakładów pracy ulotek "O co walczą robotnicy Wybrzeża" oraz instrukcji "Jak strajkować".

Wydarzeniem wywołującym falę strajków w łódzkich fabrykach stało się przerwanie pracy przez pracowników komunikacji miejskiej około godz. 10 we wtorek 26 sierpnia. Był to strajk szczególnie spektakularny, bowiem z ulic zniknęły tramwaje i autobusy. Przed sklepami spożywczymi natychmiast ustawily się długie kolejki po chleb, mleko i inne artykuły żywnościowe. Tego samego dnia przerwała pracę kilka dużych zakładów, między innymi ZPB im. J. Marchlewskiego, ZPB im. F. Dzierżyńskiego, ZPDZ "Olimpia", III Oddział PKS.

W "Marchlewskim", nazwanym przez publicystkę "Polityki" "barometrem miasta, a przynajmniej łódzkiego przemysłu włókienniczego", raczej nie spodziewano się, aby doszło do strajku. Wprawdzie robotnice na przewijalni z trytacją komentowały ogłoszenie o podwyżce płac o 2-4 grosze za każdy wyprodukowany kilogram przędzy (dawało to ok. 200 zł podwyżki w miesiącu), ale sytuacja taka trwała już od kilku dni, to jest od czasu podania do wiadomości tego ogłoszenia. Szczególnie rozdrażnienie wywołała kwota, na którą nawet brakowało monet w obiegu pieniężnym — "dają tyle co nic", "robią z nas głupich". Problem owych dwóch groszy pojawił się potem wśród odpowiedzi na pytania o powód rozpoczęcia strajku, choć nikt nie wskazywał go jako przyczyny bezpośredniej.

Strajk w "Marchlewskim" rozpoczął się 26 sierpnia około godz. 19 na przewijalni, gdzie na zmianie pracowały wtedy 123 osoby. Odbyło się to w ten sposób, że robotnice jednocześnie wyłączyły maszyny w trzech salach produkcyjnych i zaraz potem schowały się w szatni, ubikacjach, palarniach.

Nie udało się uchwycić, w jakim momencie padło hasło przerwania pracy i dlaczego właśnie o tej godzinie. Niektóre z robotnic słyszały, że przyszedł ktoś spoza przewijalni i ogłosił, że o godz. 19 zakład zaczyna strajk, ale nie udało się nam odnaleźć nikogo, kto widziałby owego człowieka. Faktem jest, że w tym czasie cały zakład pracował bez zakłóceń, trzy godziny później kolejna zmiana przerwała pracę na przewijalni, a inne wydziały rozpoczęły strajk następnego dnia rano.

Wprawdzie w dniach poprzedzających strajk w przywożonych z portów belach z bawelną dotarła do zakładu pewna liczba ulotek "O co walczą robotnicy Wybrzeża", a także instrukcji "Jak strajkować", razem około 300 egzemplarzy, jednak znajomość ich treści była ograniczona i raczej na rozpoczęcie strajku nie wpłynęła w sposób zasadniczy. Zapytywane przez nas robotnice, które uczestniczyły w strajku, o to co wiedzą o postulatach z Wybrzeża, odpowiadały: "chcą nowych związków zawodowych", "jak strajkują to widzą mają rację i rząd z nimi rozmawia".

W zasadzie można powiedzieć, że strajk w "Marchlewskim" rozpoczął się spontanicznie, choć domyślamy się, że musiała istnieć grupa inicjująca, która działała w konspiracji. Potrafiła ona wykonać niezadowolone kobiet pracujących na przewijalni i spowodować protestacyjne przerwanie pracy, a następnie rozpowszechnić strajk na terenie całego zakładu. O konspiracyjnym charakterze grupy wywołującej strajk świadczą między innymi to, że żadna z ponad sześćdziesięciu osób, z którymi rozmawialiśmy w "Marchlewskim", nie potrafiła niczego powiedzieć na jej temat. Jedynie informacje, jakie uzyskaliśmy, ograniczały się do stwierdzenia "podobno jakiś ludźcie nawoływali do strajku".

Kilkaście minut po przerwaniu pracy rozmowę ze zgrupowanymi w jednej z sal robotnicami przewijalni podjął zastępca dyrektora do spraw produkcji, kierownik oddziału i mistrzowie. Trwające około 40 minut spotkanie nie przyniosło żadnego efektu — wszystkie, pytane przez nas uczestniczki tego spotkania zgodnie twierdziły, że "był okropny krzyk", "każda krzyczała swoje", "nikt nie mógł nikogo zrozumieć".

Między godziną 21.00 a 21.30 zaczęły schodzić się robotnice i zmiany, pracujące na noc i zmieniające III zmianę, która strajk rozpoczęła. Według ich relacji, gdy przyszły do pracy, zdziwili, a nawet zaskoczyli je brak szumu maszyn, co uznali za sytuację niecodzienną, wywołującą zdenerwowanie, przestrasz. Motywem przyłączenia się do strajku była solidarność z innymi: "dotyczyłam się do innych, to naturalnie", "jak wszyscy to wszyscy, jedność musi być", "cała sala stała, to ja też". Obok tego rozdziła się obawa, zresztą uzasadniona, że "jak nie stanę to koleżanki mi nawymyślają". W jednej z sal część robotnic i zmiany chciały ururomić maszynę, ale zostały przez swe współtowarzyszki pracy "okurwione", grożono im pobiciem.

Od chwili przyścia I zmiany aż do zakończenia strajku każdy z jego uczestników przebywał po 16 godzin w fabryce, bowiem stale razem były po dwie zmiany. Większość nie potrafiła wyjaśnić dlaczego "tak już jest, że jak się strajkuje, to siedzą dwie zmiany". Tylko niektóre z uczestniczek strajku potrafiły zracjonalizować problem — jedna zmiana drugą pilnuje, aby nie przerwał strajku i dlatego do domu można wychodzić tylko na osiem godzin.

Po trzech godzinach od rozpoczęcia strajku, około godz. 22 druga próba porozumienia się ze strajkującymi podjął dyrektor naczelny zakładu. Znowu przez ponad półtorę godziny trwała ogólna wrzawa, w której ponad 200 kobiet wykrzykiwało swoje żale i pretensje że "lekarz zakładowy jest niedobry", że "maszyny w przypadku awarii powinny być natychmiast naprawiane, a nie dopiero po godzinie lub dwóch", "dlaczego pomidory są po 30 zł", że "nie jest z zaopatrzeniem a wszędzie drożyzna", "dlaczego dostawy do kiosków zakładowych są w dzień i te z administracji to mogą wystawać w kolejkach, a robotnice pracujące na zmiany to już nic nie kupią". Próby ustalenia wspólnych postulatów i ich skonkretyzowania nie udało się, spotkanie zostało przerwane, a przewijalni nie podjęła pracy. Następnego dnia dołączyły się do strajku inne wydziały — przedziałnia, tkalnica, wykończalnia.

W drugim dniu strajku własnych oczekiwań i żądań załoga "Marchlewskiego" nie sprecyzowała. Strajkujący najczęściej wskazywali na solidarność z Wybrzeżem, dopiero na trzeci dzień wyłonily się 2-3-osobowe wydziałowe komitety strajkowe i gdy powstał zakładowy komitet strajkowy zaczęto spisywać postulaty. Ogółem zebrało ich 120, ale ostatecznie komitet strajkowy wystąpił do dyrekcji z 16 postulatami.

Pytane przez nas uczestniczki strajku, czy mogłyby wymienić najważniejsze postulaty, a zarazem najpilniejsze do realizacji, ograniczały się jedynie do stwierdzeń ogólnych: podnieść pensje, poprawić zaopatrzenie w podstawowe artykuły żywnościowe (odpowiedzi najczęstsze), lepsze warunki pracy, żeby ceny były niższe, żeby lekarz rozumiał człowieka, wysłuchał go i pocieszył. Nawet członkinie zakładowego komitetu strajkowego nie potrafiły odwozwyc z pamięci całej listy postulatów, choć ich informacje były już bardziej konkretne, np. podwyżka pensji o 20 proc. dotychczasowego zarobku brutto, poprawa zaopatrzenia kiosków z artykułami żywnościowymi na terenie zakładu, poprawa pracy zakładowej służby zdrowia i usuniecie nie cieszących się zaufaniem lekarzy.

Obok postulatów wewnątrzzakładowych i socjalnych pojawiły się także: powstanie wolnych związków zawodowych oraz solidarność z żądaniami Wybrzeża. Przyjęcie listy odbyło się przez rodzaj akla-

Wydarzenia z Sierpnia 1980 roku należą już do historii Wprawdzie jeszcze do końca nie wygasły emocje, ale można dziś spojrzeć na ten fragment naszego czasu przeszłego z pewną dozą naukowego obiektywizmu. Dlatego właśnie zdecydowaliśmy się opublikować

w dwóch fragmentach szkic socjologiczny, oparty na badaniach i dokumentach, a ukazujący działania różnych mechanizmów społecznych i politycznych, bez poznania których zrozumienie przeszłości będzie zawsze niepełne.

macji, co jedna z robotnic określiła, że "wszyscy powiedzieli, że się zgodzą". Jedną z członkin komitetu strajkowego, zapytana skąd wiedziała o treści żądań na Wybrzeżu, skoro prasa ani radio ich nie podawały, wyjaśniła "po cichu wiedziliśmy czego żądają, przystali nam", potwierdzając tym samym znajomość treści ulotki "O co walczą robotnicy Wybrzeża".

Warto jednak zwrócić uwagę, że na przykład zgłoszony na Wybrzeżu postulat trzytygodniowego urlopu płatnego dla matek wychowujących dzieci spotkał się wśród części strajkujących robotnic z następującą reakcją: "jak to, będą co trzy lata rodzic dzieci, brać pieniądze, a my będziemy na to pracować". Również problem związków zawodowych uległ zmistyfikowaniu. Oto gdy zadawaliśmy uczestnikom strajku pytanie: czy mają istnieć w zakładzie dwa związki zawodowe — nowy, "wolny" i dotychczasowy, ich reakcją była natychmiastowa: "dotychczasowy związek powinien dogadać się z nowym i powinien być jeden, bo gdy będą dwa, to będzie balagan", "podwójność nie będzie dobra".

Na drugi dzień po rozpoczęciu strajku, gdy minęły pierwsze emocje i zdenerwowanie, nastąpiło odprężenie. Kioski w zakładzie były dobrze zaopatrzone, dopisywała ładna pogoda, pojawiły się nawet komentarze "najedliśmy się, możemy strajkować". Wszędzie panował jednak zadziwiający brak organizacji, komitety strajkowe na wydziałach zaczęto powoływać na trzeci dzień, a zakładowy komitet utworzył się dopiero w nocy 28 sierpnia 1980 r.

„Łódzki Sierpień 1980”

STEFANIA DZIĘCIELSKA-MACHNIKOWSKA
GRZEGORZ MATUSZAK

Robotnice zapytywane przez nas o przyczynę takiej zwłoki, wyjaśniały, że tak musi być, bo do 48 godzin jest postój, a dopiero potem strajk i wszystkie wynikające z niego konsekwencje. Najczęściej spotykaliśmy się ze stwierdzeniami typu: "komitet strajkowy powołuje się po 48 godzinach, krócej to jest postój i wtedy nie przysługują wynagrodzenie", "stary pracownicy mówią, że trzeba 48 godzin, bo wtedy jest strajk i płacą za niego". Niestety, nie udało się nam jednoznacznie wyjaśnić genezy tego rozróżnienia, poza wskazówką, że gdy w 1971 r. był w "Marchlewskim" strajk, to przybył do zakładu na rozmowy ówczesny premier i przewodniczący CRZZ, w taki właśnie sposób rozdzielił pojęcia "postój" i "strajk".

Wybór zakładowego komitetu strajkowego miał także osobliwy przebieg. Oto relacja robotnic z przewijalni: "kobiety biły się po sali i jakieś dwie takie postawne, co umieją się wypowiedzieć weszły w skład komitetu", a delegatka do zakładowego komitetu strajkowego wyjaśniła: "mnie i koleżankę jednogłośnie wszystkie zmiany wytypowały". Wcześniejszego uzgadniania kandydatów ani głosowania nie przeprowadzono. Ostatecznie zakładowy komitet strajkowy ukształtował się w składzie 27 osób, w tym 19 mężczyzn i 8 kobiet, 2 mistrzów, 15 członków PZPR. Na czele komitetu stanął jeden z mistrzów, członek partii. Następnie przedstawił dyrektorowi swój skład już selekcji postulatów i komitet przedstawił dyrektorowi swój listę do zatwierdzenia. Dyrektor odmówił zatwierdzenia, ale podpisał listę jako przyjęcie jej do wiadomości, uczynił to także i sekretarz komitetu zakładowego i przewodnicząca rady zakładowej. Tak ukształtowały się dwa zespoły, które w czwartym dniu strajku rozpoczęły rozmowy na temat postulatów załogi. Podobnie jak w przypadku opisanego strajku w "Famidzie", przedstawiciele partii i związku zawodowego znaleźli się w roli antagonistów strajkujących robotników, tym samym przestawali być rzecznikami interesów pracowniczych, opowiadali się po stronie "władzy".

Komitety strajkowe nie miały doradców ani konsultantów w trakcie prowadzonych rozmów. Na teren zakładu nie wpuszczano nikogo spoza pracowników "Marchlewskiego", porządku pilnowali powołane przez komitet strajkowy patroli. Przeszeregano między innymi i tego, aby każdy siedział przy swojej maszynie i nie przechodził na teren innych wydziałów. Na podkreślenie zasługuje bardzo dobra frekwencja w czasie strajku, nawet chorzy, posiadający zwolnienia lekarskie przychodzili do fabryki.

Rozmowy między kierownictwem zakładu a komitetem strajkowym trwały około 8 godzin, jedną z członkin komitetu, należąca do partii, powiedziała wprost: "były to rozmowy szczerze, takie powinny być zebrania partyjne, trzeba mówić sobie całą prawdę". Po pierwszej, czterogodzinnej turze rozmów podpisano dokument: "Proponujemy realizację zgłoszonych uwisłoków...". Członkinie komitetu strajkowego przedstawiły je na poszczególnych wydziałach załogi. Ta jednak uznała, że odpowiedź na niektóre postulaty są zbyt ogólne, na przykład dotyczące podwyżki płac, kontroli pracy kiosków zakładowych, zwolnienia z pracy nie cieszących się zaufaniem lekarzy z zakładowej przychodni. Ostateczną wersję odpowiedzi na postulaty, zaakceptowaną przez komitet strajkowy, zredagowano po następnej czterogodzinnej dyskusji.

Tekst porozumienia z dyrekcją członkinie komitetu strajkowego mieli przedstawić załogi i wezwać ją do podjęcia pracy. Jednakże strajkujący uszytnili swoje stanowisko, a podjęcie pracy uzależnili od podjęcia pracy przez MPK i podpisanie porozumień na Wybrzeżu. Przewodnicząca komitetu strajkowego spotkał się z obelgami i pogrozkami, podobnie inni członkowie, załoga nie chciała podjąć pracy. Sądymy, że wpływ na to miały informacje w środkach masowego przekazu mówiące o rychłym podpisaniu porozumień w Szczecinie i Gdańsku. Nowych postulatów strajkujący nie wysuwał, ale z rezultatów swego strajku byli wyraźnie niezadowoleni. Wydaje się, że przyczyną tego niezadowolenia tkwiła w tym, iż strajk nie dał żadnych natychmiastowych wyników oraz brak było konkretnych wiadomości z Wybrzeża.

W rozmowach z robotnicami zadawaliśmy im pytania — czego o oczekiwały przystępując do strajku, jakiego skutku? Motywacją przystąpienia do strajku w "Marchlewskim", poza podkreśleniem solidarności ze strajkującymi na Wybrzeżu, była w zasadzie ograniczona do spraw placowych oraz lepszego zaopatrzenia sklepów, głównie w artykuły żywnościowe. Jako typowe można przytoczyć takie stwierdzenia: "na wielkie rzeczy nie liczyliśmy, ale żeby było lepsze zaopatrzenie", "żeby użyć kobietom, polepszyć zaopatrzenie", "nie specjalnego, ale żeby było lepiej w pracy, lepsze zarobki, mniej obowiązków". Jedną z robotnic oświadczyła wprost — "niczego się nie spodziewałam, ponieważ Polska jest w długach".

Na nowo zostały podjęte rozmowy kierownictwa zakładu z komitetem strajkowym, ale załoga pracy nie zamierzała podejmować, mimo że ogłoszone zostało stanowisko dyrekcji dotyczące wynagrodzenia za czas strajku — kto nie podejmie pracy otrzyma tylko 40 proc. średniej płacy. Ogólnie panował bierny opór, a część strajkujących zachowywała się wręcz agresywnie. Rozczarowanie i impas w działaniu przeciągały się, w sobotę 30 sierpnia 1980 r. nikt nie chciał słuchać ani dyrekcji, ani komitetu strajkowego.

Dopiero ogłoszenie o parafowaniu porozumienia w Szczecinie spowodowało zmianę, od godz. 14.30 załoga stopniowo zaczęła opuszczać fabrykę, trwający ponad 90 godzin strajk dobiegł końca. Wprawdzie około 300 osób rozczarowanych jego wynikiem oraz niepewnych, czy porozumienia na Wybrzeżu będą także dotyczyły, "Marchlewskiego" chciało przedłużyć okupację zakładu, jednak z pomocą komitetu strajkowego przekonano je, że powinny iść do domów i od poniedziałku, 1 września podjąć normalną pracę. Najbardziej opornych i opierających się wyprowadzono poza teren fabryki. Następnego dnia, 31 sierpnia w Szczecinie i Gdańsku zostały podpisane porozumienia, strajk, z którym solidaryzowała się załoga "Marchlewskiego" dobiegł końca.

Strajk w "Marchlewskim", zakończony równocześnie ze strajkami na Wybrzeżu, spowodował inne niż w "Famidzie" przemyslenia i refleksje. Można powiedzieć, że dominował w nich ostrożny optymizm wyrażony w następujących wypowiedziach: "zobaczymy, co będzie dalej, czy się polepszy, czy się pogorszy", "mam nadzieję, że się polepszy, choć przecież trzeba poczekać i popracować".

Interesującą sprawą są porównania, jakie robotnice czyniły między strajkiem w sierpniu 1980 r. a strajkami wcześniejszymi. Na podkreślenie zasługuje fakt, że wszystkie nasze rozmówczynie brały już udział w co najmniej jednym strajku, przy czym stosunkowo najlepiej pamiętały strajk w 1971 r. Wszystkie zwracały uwagę na to, że o ile w sierpniu 1980 r. panujące wśród strajkujących silne zdenerwowanie miało raczej podłoże psychiczne, to w 1971 r. napięta atmosfera tworzyła plonące na terenie zakładu ogniska, część strajkujących pila wodkę, a do fabryki próbował dostawać się ludzie z ulicy. W ostatnim strajku nie takiego nie miało miejsca.

Kolejną, przestrzeganą przez robotnice różnicą był, wspomniany już fakt, że na rozmowy w fabryce w 1971 r. przyjechali przedstawiciele władz centralnych. Wreszcie swoistego rodzaju zawód sprawiło to, że strajk w 1980 r. znalazł się na dalszym planie wydarzeń w mieście i kraju.

Robotnice, z którymi rozmawialiśmy, nie potrafiły dokładnie powiedzieć o co chodziło w strajku w 1971 r., a tylko z trudem przypominały sobie niektóre postulaty, między innymi takie, jak: obniżka cen mięsa i jego przetworów, poprawa warunków pracy, sprawy bhp, dodatek 150 złotych zwany progresją. Część z nich nie potrafiła także przypomnieć sobie, czy postawione wtedy żądania zostały spełnione — przeważały odpowiedzi "raczej tak". Świadczy to, jak się wydaje, o pewnej doradczności strajku, tzn., że służy on załatwieniu bieżących, a zwykle nagromadzonych w pewnym czasie pretensji. Kiedy powód strajku tracił swą zasadność, szczególnie wydarzenia zacierają się w pamięci, choć sam fakt pozostaje silnie zapisany w świadomości strajkujących. Utrwalony zostaje jego instrumentalny charakter jako drastycznego środka nacisku na spełnienie żądań.

Strajk w "Marchlewskim", aczkolwiek nie znalazł się wśród pierwszoplanowych wydarzeń w kraju w końcu sierpnia 1980 r., to jednak był dowodem silnego poczucia solidarności klasowej oraz wspólnoty interesów robotników. Głównym jego motywem było wyrażenie potrzeby podmiotowego traktowania pracujących, zaspokojenia ich potrzeb i oczekiwań. Mimo spontaniczności i pewnego chaosu w niektórych fazach, strajk ten dał dowód umiejętności organizowania się, odpowiedzialności za miene społeczne oraz opanowania przejawów zachowań anarchicznych, jakie wykazała załoga "Marchlewskiego".

5. SWOISTOŚĆ ŁÓDZKICH STRAJKÓW

Nazakończenie naszych rozważań o łódzkim Sierpniu 1980 r. pragniemy zwrócić uwagę na pewne specyficzne cechy strajków w fabrykach Łodzi, które w istotny sposób odróżniają je od podobnych wydarzeń w innych regionach Polski. Najważniejsze, naszym zdaniem, swoistości łódzkich strajków są następujące:

— W lecie 1980 r. nie odegrały one samodzielnej, pierwszoplanowej roli w wydarzeniach politycznych i społecznych, tak jak to było np. w 1971 r., gdy strajk łódzki włókienniczy spowodował cofnięcie decyzji o podwyżce cen na mięso i jego przetwory.

— Hasła i żądania polityczne miały w Łodzi trzecioplanowe znaczenie i pojawiały się głównie w aspekcie solidaryzowania się ze strajkującymi w innych miastach, gdzie takie hasła i żądania były postawione.

— W strajkach łódzkich brało udział wiele załóg kobiecych, stąd też wśród żądań i postulatów przeważały sprawy związane z warunkami życia, zaopatrzenia, prowadzenia gospodarstw domowych. Fakt ten nie sprzyjał artykułowaniu przez strajkujących warunków politycznych.

— W czasie strajków nie było elementów dewocyjnych, tak charakterystycznych np. w Gdańsku i we Wrocławiu. Wynikało to jak się wydaje z braku przywódców o silnie manifestowanym związku z religią i Kościołem, ale także z faktu, że duchowni nie podejmowali prób włączenia się do strajku. Poza tym sądzimy, że o braku publicznych nabożeństw, manifestacyjnego wieszania symboli religijnych zadecydował brak bezpośrednich doświadczeń związanych z fizycznym zagrożeniem życia w czasie protestów robotniczych — w Łodzi ani w 1956 r., ani w latach następnych nie było ofiar, tak jak w Poznaniu, Gdańsku, Gdyni.

— Strajki łódzkie były strajkami izolowanymi, to znaczy poszczególne zakłady działały oddzielnie i niezależnie od siebie. Wszystkie wydarzenia odbywały się wewnątrz fabryk, bez udziału publiczności przed bramami, bez manifestowanego poparcia oraz bez prób propagandowego wywołania zainteresowania strajkiem w mieście.



Ostatnią sprawą, o jaką zapytaliśmy robotnice i robotników "Marchlewskiego", był problem — co ich zdaniem jest najważniejszą sprawą po zakończeniu strajków w sierpniu 1980 r. Opinie były następujące (kolejność według liczby wskazań):

- lepsze zaopatrzenie w sklepach, głównie w żywność,
- podniesienie płac,
- żeby w Polsce był spokój i żeby wszystko się ułożyło,
- aby nie było wojny,
- skończyć ze strajkami i zaspokoić żądania ludzi.

Jedną z robotnic ujęła to następująco: "najważniejszą sprawą jest dogadać się z rządem i normalnie żyć". Dziś, z perspektywy dwóch lat od przedstawionych wydarzeń, słowa te nadal zdają się nie tracić nic ze swej treści.

Wiele lat minęło od dnia, gdy legendarna Nawojka przybyła do Krakowa w męskim przebraniu i zapisała się w poczet studentów Akademii. Kiedy wyszło na jaw, że jest dziewczyną i stanąć musiała przed sądem biskupim, miała oświadczyć, że do naruszenia praw i obyczajów skłoniła ją — miłość do nauki.

Przez całe następne stulecia, dla kolejnych pokoleń Nawojek, była to miłość bez szans na jakiegokolwiek spełnienie. Studia wyższe pozostały zastrzeżone dla mężczyzn. Jeszcze w wieku XIX wybitny polski pedagog — Bronisław Trentowski, w sposób dobitny, acz mało delikatny, taką głosił opinię na temat niewieściej edukacji: „Kobieta zaniedbująca dzieci swe i gospodarstwo, żyjąca w księgach i rozprawiająca w gronie profesorów, jest zazwyczaj uczoną krową.”

Dopiero pozytywistę ze swoim kultem nauki i wiedzy wzniesli w publicystyce i literaturze radykalne hasła równouprawnienia. Przypomnieć tu można choćby głośną „Martę” Elizy Orzeszkowej, powieść — wołanie o pełne wykształcenie, także zawodowe, dla kobiet ze środowiska szlachecko-inteligenckiego.

Pozytywistyczny ferment przyczynił się do wyzwolenia szeregu oświatowych inicjatyw adresowanych do środowiska kobiecego. Aby jednak rozpocząć normalne studia, ówczesne emancypantki musiały wyprawić się w podróż do Szwajcarii lub Francji. Pęd naszych prababek do kształcenia był przecież tak silny, że w końcu ubiegłego stulecia stanowiły one jedną trzecią ogółu kobiet studiujących w obu tych krajach.

Trzeba przyznać, iż większość pań traktowała studia jako etap otwierający drogę do samodzielnej pracy zawodowej, głównie nauczycielskiej. A jak pojmowały niektóre z nich spełnienie swych pedagogicznych obowiązków, poświadczyć może piękny literacki portret „Sielaczki” Stefana Żeromskiego.

KOBIECA INWAZJA

W 1897 roku otworzyły się wreszcie przed kobietami bramy krakowskiej Alma Mater Stanisław Pigoń, znany historyk literatury, wspomina, jak to w pierwszych latach naszego wieku widywał tam tylko smętne resztki pierwszej, szturmowej generacji entuzjastek traktujących naukę poważnie, niemal z nabożeństwem. Jego młodsze koleżanki były już inne — „rozświegotane, strojne, zalotne”. Znaczną ich część „niekonięcznie szukała fachowych uprawnień do zawodu zarobkowego i z miłą chęcią kończyła studia nie przed komisją egzaminacyjną, ale przed ołtarzem...”

Rozwój szkolnictwa i rozszerzenie dostępu do nauki, w tym do studiów, zapoczątkowały, trwając do dziś, inwazje kobiet na wyższe uczelnie. W połowie lat trzydziestych stanowiły one ponad jedną czwartą ogółu studiujących, obecnie — już ponad połowę absolwentów kierunków dziennych i wieczornych. Warto zauważyć, że z takim wskaźnikiem sytuujemy się na pierwszym miejscu wśród krajów socjalistycznych, wyprzedzając przy okazji Francję, Anglię, RFN, Włochy, Szwecję, Kanadę, Japonię...

Przy tradycyjnie niskim udziale kobiet w studiach technicznych i pewnej równowadze płci w uczelniach rolniczych czy artystycznych, przewaga pań zaznacza się wyraźnie na uniwersytetach, akademiach medycznych i ekonomicznych oraz w wyższych szkołach pedagogicznych. Do najbardziej sfeminizowanych należą kierunki nauczycielskie — z odsetkiem od 80 do 100 proc. studiujących tam niewiast.

Kim są te współczesne Nawojki, jakimi motywami się kierują idąc na studia?

Należy przede wszystkim przypomnieć, że w hierarchii aspiracji życiowych młodzieży kończącej aktualnie szkoły średnie zdobycie dyplomu magistra mieści się ciągle na jednym z czołowych miejsc. Dokonując wyboru kierunku studiów, kandydat na nie uwzględniają zaś głównie swoje osobiste zainteresowania.

Natomiast ocena studiów pod kątem przygotowania do przyszłego zawodu jest elementem wtórnym, a niekiedy nawet trzeciorzędny. Co charakterystyczne, częściej taką ocenę przeprowadzają chłopcy, rzadziej dziewczęta. Ma to niewątpliwie związek z funkcjonującą dotąd obiegową opinią, uznającą konieczność myślenia kategoriami praktycyzmu przede wszystkim w odniesieniu do młodzieży męskiej.

Precyzyjniej na pytanie, kim są kandydaci na studia, odpowiadają m.in. autorzy wydane-go w połowie lat siedemdziesiątych opracowania pt. „Maturzyści”, oparte na szerokich badaniach ankietowych. Modelowym kandydatem na studia wyższe jest u nas dziewczynka liceum ogólnokształcącego, mieszkanka dużego miasta posiadająca bardzo dobre wyniki w nauce, której rodzice mają wyższe wykształcenie i zapewnijają jej płatną pomoc w formie korepetycji.

BEATA

Ojciec Beaty jest znanym łódzkim lekarzem, matka — prawnikiem. Beata ma własny pokój w willi rodziców, z bogatą biblioteką.

Na wybór studiów filologicznych zdecydowała się w klasie maturalnej. Jej zainteresowanie literaturą było dość ogólne, jednak wszystkie inne kierunki wydawały się jej jeszcze mniej ciekawe. O tym, żeby nie studiować w ogóle nie było oczywiście, w jej środowisku rodzinnym, mowy.

Egzamin wstępny zdała bez trudu, w szkole średniej uczyła się bowiem dużo, była oceniana jako uczennica zdolna i dyscyplinowana. Po pierwszym roku studiów stwierdziła jednak, że nie ma sensu przykładać się do wszystkich zajęć, krytycznie zresztą oceniała poziom wielu z nich. Literaturę, głównie zachodnioeuropejską, interesowała się w dalszym ciągu. Czytała okresowo bardzo dużo, ale tylko to, co jej się podobało, natomiast obowiązkowe lektury wymagane przy egzaminach, oceniała jako wyjątkowo nudne.

Jak każdy student wołała dobre stopnie, choć nie uważała, że jest to powód do bardziej wyłożonej pracy. Na zajęcia nie chodziła systematycznie, stąd miała kłopoty z uzyskaniem

obniżaniem pensum dydaktycznego, możliwością wcześniejszych emerytur, zmniejszeniem liczby uczniów w oddziale, będzie się nadal pogłębiał. Oświata zmuszona jest niejednokrotnie przyjmować do pracy osoby bez kwalifikacji, nie-rzadko tylko ze świadectwem ukończenia liceum ogólnokształcącego, co spotykane jest szczególnie na wsi”.

Pytanie, skąd brać kadre pedagogiczne, wywołuje popłoch za biurkami ministerialnymi. No, przecież kierunki nauczycielskie kończyć będzie corocznie ileś tam tysięcy absolwentów. Jeśli tylko trafią do szkół...

Kto trafi? Beata?

A może jej młodsze koleżanki, które obserwował na ostatnim egzaminie wstępnym na pedagogikę uniwersytecką w Warszawie publicysta „Rzeczpospolitej”?

„Większość kandydatek nie zdawała sobie sprawy, do czego te studia przygotowują, ja-

Indeks dla Beaty

MAREK PRYT

zaliczeń. Od trzeciego roku studia stały się dla niej sferą aktywności peryferyjnej. Skoncentrowała się na intensywnym życiu towarzyskim, tyle że ograniczonym do wąskiej grupy koleżeńkiej.

Jej osobiste zainteresowania sięgały w tym okresie wielu dziedzin szeroko pojętej humanistyki, zwłaszcza filozofii i religii. Duże czytanie, orientacja w bieżących zjawiskach życia kulturalno-artystycznego pozwalały jej, mimo nieprzykładania się do nauki, na zdawanie kolejnych egzaminów.

Dyplom ukończenia studiów, który za jakiś czas otrzyma, jest dla niej papierkiem stanowiącym formalne uwieńczenie obecnego etapu jej drogi życiowej. Etapu, którego celem jest, jak mówi, zdobycie statusu osoby z wyższym wykształceniem.

Plany życiowe ma bardzo mgliste. Startu do samodzielnej egzystencji właściwie się boi. Zastanawia się więc nad ewentualnością podjęcia studiów podyplomowych: filozoficznych lub dziennikarskich. Alternatywnym rozwiązaniem byłby wyjazd, przynajmniej na rok, za granicę, do rodziny w Anglii. Chciałaby dokładnie poznać kraj i ludzi, zaliczyć jakieś kursy językowe.

Własnej pracy zawodowej jeszcze sobie nie wyobraża. Choć studiuje na kierunku nauczycielskim, szkoła ją nie interesuje. W ostateczności, gdyby nie było innych możliwości zdecydowałaby się zatrudnić, ale tylko w którymś z łódzkich liceów. Z praktyk pedagogicznych w szkołach podstawowych wyniosła jak najgorsze wspomnienia.

Absolutnie nie widzi swego miejsca pracy na tzw. „prowincji”. Pobyt tam nie stwarza, jej zdaniem, żadnych możliwości intelektualnego rozwoju, nie daje szans na stałe kontakty z kulturą. I co dla niej bardzo ważne, skazuje na zerkanie, bądź przynajmniej osłabienie, dotychczasowych więzi towarzyskich i rodzinnych.

MROczne PERSPEKTYWY

Prasa codzienna bije na alarm: „W szkołach brakuje nauczycieli. Ten deficyt spowodowany

ka będzie przyszłość zawodowa, czego na studiach uczą... Ot, była świadomość, że przydałyby się jakieś studia wyższe, łatwe, nie wymagające na etapie egzaminów ani talentów szczególnych, ani pracowitości...”

I takie właśnie osoby mają rozpocząć naukę na pierwszym roku studiów? Studiów przygotowujących do zawodu jednego z najtrudniejszych i najbardziej odpowiedzialnych? Zawodu, którego adepci najbardziej będą potrzebni w małych, terenowych ośrodkach?

Ponuro rysują się perspektywy oświaty. W roku 1984 ponad sto tysięcy nauczycieli uzyska uprawnień emerytalne — póki co, administracja szkolna woli o tym nie myśleć. Tu i ówdzie rodzą się desperackie pomysły powoływania przy liceach fakultetów nauczycielskich. Wypadnie więc chyba powrócić chyłkiem do organizacji zapomnianych liceów pedagogicznych i przyznać, że wizja całego stanu nauczycielskiego z dyplomami magisterskimi w kieszeniach była zwykłą mrzonką.

Toczy się obecnie dyskusja na temat tzw. doktryny kształcenia. Czy kształcić dla potrzeb kraju, czy dla indywidualnych aspiracji. Ostrość dysputy wynika ze świadomości rosnących kosztów, materialnych i społecznych, przygotowywania tysięcy specjalistów, którzy nikomu nie są potrzebni.

Ża mało jednak mówi się o tych absolwentach wyższych uczelni, którzy są autentycznie niezbędni w różnych dziedzinach naszego życia, a jednak nie podejmują ostatecznie pracy, do jakiej są przygotowani.

Jeśli więc o marnotrawstwie mowa, to wypada otwarcie powiedzieć, że również taka organizacja kształcenia pilnie poszukiwanych kadr, która od samego początku nie daje żadnych gwarancji ich zawodowego wykorzystania, jest działaniem wysoce społecznie szkodliwym.

Przejawy takiego działania widzę od szeregu lat w rekrutacji na stacjonarne studia nauczycielskie. W tym roku limity przyjęte na nie zostały podniesione w wyniku usilnych starań resortu oświaty i wychowania, właśnie z myślą o kandydatach do pracy głównie w małych ośrodkach.

I co się stało? To co zwykle — limity zostały wykorzystane w większości przez młodzież wielkomiejską. A przecież ministerstwo szkolnictwa wyższego dysponuje informacjami, że tylko co dziesiąty absolwent uczelni uniwer-

syteckiej i pedagogicznej — mieszkaniec miasta — podejmie pracę poza domowymi pieleszami!

JAKIE WYJŚCIE!

Czy rzeczywiście nie nie można zrobić, aby młodzi ludzie, kształceni na nauczycieli, wybierali pracę pedagogiczną i zatrudniali się tam, gdzie są najbardziej potrzebni?

Wielu od razu odpowie — wyjściem jest stworzenie odpowiedniego systemu zachęt finansowych, mieszkaniowych itd. To rozwiąże kwestię przemieszczenia kadr.

Wybądźmy się takich złudzeń. Jakaż zachęta może być na przykład kilkudziesięcioty-sięcny kredyt dla absolwentki z nieźle sytuowanej, wielkomiejskiej rodziny? Jakim magnesem służbowe mieszkanie, kiedy czeka się na własne, wykupione przez rodziców w spó-dzielczym bloku?... Dodajmy, że w perspektywie wielu jeszcze lat standard życia w małych ośrodkach, w tym poziom tamtejszej infrastruktury usługowo-kulturalnej, nie zrówna się przecież z cywilizacyjnymi osiągnięciami dużego miasta.

Teoretycznie można byłoby sobie wyobrazić wprowadzenie bardzo silnych zachęt materialnych, służących pozyskaniu kadr nauczycielskich, choćby rzędu tych, które stawiają obecnie na nogi nasze górnictwo węglowe. No, ale nie bądźmy fantastami!

Co wobec tego proponuję?

Następujący tok myślenia: Jeżeli kształcą od lat na studiach pewną zbiorowość ludzką, nie osiągamy pożądanego rezultatu, należy zmienić albo sposób kształcenia, albo zbiorowość. Ponieważ zmiana sposobu kształcenia jest działaniem długofalowym i żmudnym, a nam są potrzebne efekty natychmiastowe, wymieniłem trzeba kształconą zbiorowość.

Mówiąc konkretniej, rozwiązanie problemu kształcenia nauczycieli w uniwersytetach i wyższych szkołach pedagogicznych widzę w doprowadzeniu do tego, by podstawowy trzon młodzieży studiującej w nich stanowili mieszkańcy terenów, gdzie występują niedobory kadr pedagogicznych. Większość tej młodzieży, co potwierdzają badania, wraca bowiem po ukończeniu studiów do miejsc rodzinnych.

Realizacja takiej koncepcji wymaga odejścia od dotychczasowej zasady otwartych egzaminów wstępnych na uczelnie i wprowadzenia na stacjonarne kierunki nauczycielskie tzw. rekrutacji kierowanej.

Polegałaby ona na postępowaniu kwalifikacyjnym prowadzonym w ramach posiadanych limitów przyjęć, przez poszczególne okręgi szkolne — kuratoria. Widzę tu możliwość zastosowania formy konkursów — bądź dla wszystkich maturzystów z danego terenu zainteresowanych studiami, bądź dla tych, którzy rekomendowani byłiby przez rady pedagogiczne lokalnych szkół ponadpodstawowych. Postępowanie kwalifikacyjne, w którym powinni brać udział przedstawiciele uczelni, nie tyle winno się opierać na sprawdzianach wiedzy kandydatów, ile na badaniu ich dyspozycji osobowościowych, motywacji do pracy w zawodzie nauczycielskim.

Niezbędnym warunkiem rozpoczęcia studiów powinno być podpisanie odpowiedniej umowy między właściwym kuratorium (może również uczelnią) a przyszłym studentem. Przewidywałaby ona z jednej strony — zapewnienie zakwalifikowanej osobie odpowiednich świadczeń materialnych, jak stypendium, miejsce w domu akademickim itd., wraz z określeniem przyszłego miejsca pracy i warunków mieszkaniowych. Z drugiej, zawierałaby ona zobowiązanie zainteresowanego do zatrudnienia się we wskazanym miejscu i na określony czas, pod rygorem zwrotu całkowitych kosztów wykształcenia.

Czy rekrutacja kierowana ograniczałaby szanse młodzieży z większych miast, planującej podjęcie studiów nauczycielskich? Nic podobnego! Każdy młody człowiek autentycznie zainteresowany pracą w tym zawodzie miałby prawo stawać do konkursu w dowolnie wybranym przez siebie okręgu szkolnym, gdzie chciałby w przyszłości pracować.

Czy prezentowana koncepcja jest w pełni oryginalna? Chyba nie. Zawarte w niej są przecież rozwiązania już wcześniej stosowane (np. rekrutacja kierowana na studia zaoczne), niekiedy poddawane zresztą ostrej krytyce.

Jednakże propozycja ta gwarantuje, moim zdaniem, na kierunkach nauczycielskich jedno. Zastąpienie studiujących tam Beatek, Anetek, Wioletek itd. marzących o dziennikarstwie filozofii czy wyjeździe do Anglii — zwyczajnymi Marysiami, widzącymi miejsce swojej przyszłej pracy w szkole wiejskiej.

Nie wykluczam, że znajda się inne, szczęśliwsze mojej kontrowersyjnej rozwiązania. Nie jest ważne w końcu, które z nich będzie przyjęte, byleby został zrealizowany możliwie szybko ważny cel społeczny — zapewnienie dopływu kadr nauczycielskich do jednostek oświaty.

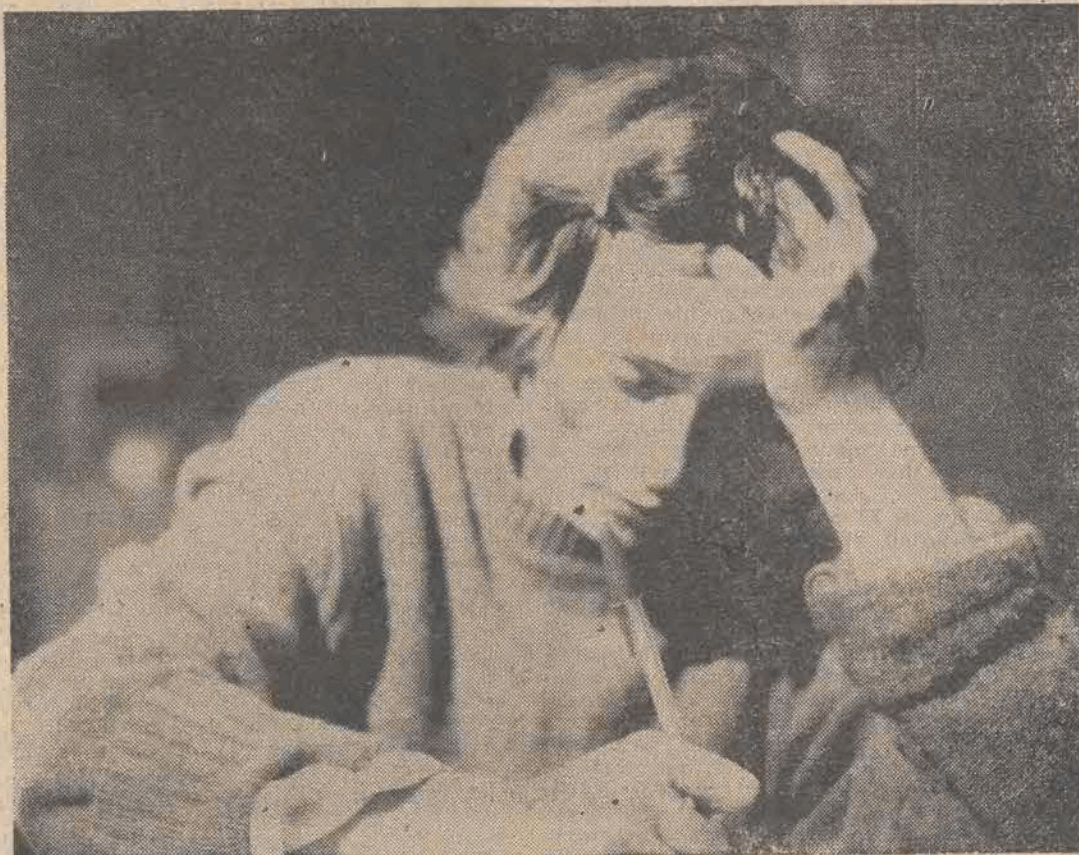


Foto: Paweł Edelman

Do czego przypniemy ostrogi

Dokończenie
ze strony 1

nie każdy, kto chciałby już teraz zrealizować talon, może to uczynić. Klienci, z którymi rozmawiałam, narzekają na brak odpowiedniej numeracji, niewłaściwy asortyment obuwia, w tym zwłaszcza brak typowo zimowego, a także na jego jakość. Uwagi te są słuszne. Bez większych trudności dostać można jedynie niezbyt ładne kozaczki na wysokim słupku, nie nadające się do codziennego używania, mokasy, których producenci postanowili chyba przystąpić do nas w społeczeństwo kulawych, oraz wizytowe męskie półbuty w skrajnych rozmiarach. Wędrują więc ludzie po sklepach przymierzają i jeżeli nie są w sytuacji przymusowej, odkładają zakup na później. Ożywienie zaobserwować można, gdy trafia do sklepu dostawa atrakcyjniejszego towaru z importu, lub tzw. wydłużenie serii eksportowej, zwane dawniej odrzutem. I wtedy też na producentów, dystrybutorów oraz wielu innych, określanych niezbyt precyzyjnie jako „oni” sypią się gromy: że w kraju butów nie ma, a oni eksportują, że co lepsze i ładniejsze, to za granicę, a tu ludzie wkrótce łapcie z lyka zaczną wyplatać. I żeby jeszcze jakieś dolary z tego były, ale to przecież za pół darmo idzie, wiadomo w którą stronę. Podobnie uwagi wygłaszali również niemal wszyscy zwiedzający pawilon „Skórimpexu” w czasie ostatnich Międzynarodowych Targów w Poznaniu, gdzie prezentowano bardzo ładną kolekcję nie tylko obuwia, ale także odzieży ze skór i futer.

Jak to więc jest z eksportem, czy rzeczywiście zabuza w drastyczny sposób krajowy rynek obuwia, a jeżeli nawet nie, czy nie byłoby celowe, choćby dla uspokojenia części społeczeństwa, zaniechanie go na jakiś czas? O wyjaśnienia poprosiłam Jerzego Szaniawskiego, dyrektora do spraw ekonomiczno-handlowych Centrali Eksportowo-Importowej Skórimpex w Łodzi. Zaczniemy może od stwierdzenia, że braki obuwia nie wynikają z faktu, że butów w ogóle nie ma, ale z generalnego braku stabilizacji rynkowej. W I półroczu br. nastąpił spadek produkcji, a także — co równie ważne — znaczne zachwiania rytmiki dostaw. Popytu, jaki obserwowaliśmy w ostatnich miesiącach, polski przemysł obuwniczy nie zaspokoiłby jednak nawet w latach swych największych osiągnięć. Nie ma powodu cieszyć się z dalszego rozszerzania systemu reglamentacji, ale w tym przypadku

wprowadzenie sprzedaży sterowanej było krokiem niezbędnym, który powinien przyczynić się do zaspokojenia podstawowych potrzeb społeczeństwa (druga część — mniejsza — zdołała bowiem jeszcze przedtem zgromadzić kilkuletnie zapasy), a także w pewnym miarze ustabilizować rynek. Zjawisko tak gwałtownego wzrostu popytu jest bowiem szalenie trudne do opamiętania, a ponadto stanowi swego rodzaju fenomen. Jak bowiem wynika z badań, których rezultaty nie są powszechnie znane, zapotrzebowanie na obuwie jest w bardzo długich, kilkudziesięcioletnich przedziałach czasowych wielkością niemal stałą, a ponadto charakteryzuje się brakiem zależności od dochodów ludności. Nie jest więc prawdą, że wraz ze wzrostem możliwości społeczeństwa jego członkowie zaczynają kupować coraz więcej butów. Posłużę się kilkoma przykładami.

NIE CHODZIMY BOSO

W skali światowej zużycie butów przez statystycznego obywatela wynosi 0,37 pary rocznie. Cyfra ta, jak i pozostałe w dalszych częściach artykułu, obejmuje tylko podstawowy rodzaj obuwia, tj. buty o wierzchołkach skórzanych. Przytaczam ją jedynie jako ciekawostkę, bowiem na jej wysokości w znacznym stopniu wpływają te obszary świata, gdzie ze względów klimatycznych i kulturowych butów nie używa się w ogóle. Do porównania mogą natomiast służyć dane z państw o zbliżonym do naszego klimacie i takim samym stopniu rozwoju cywilizacyjnego. W USA średnia, obliczona na podstawie danych za 40 lat, wynosiła od 2,2 do 2,4 pary rocznie. Z państw europejskich równie duże zużycie występowało jedynie w RFN, we Francji natomiast wynosiło 1,98 pary rocznie, a we Włoszech, stanowiących w tej branży światowe centrum mody, tylko 1,78. Polacy zużywający w tym samym, objętych badaniami okresie 1,95 do 1,98 pary nie musieli więc wcale czuć się jak ubodzy krewni. Warto, aby zastanowili się nad tymi liczbami ci wszyscy, którzy uważają, że talon na jedną parę butów to stanowczo zbyt mało. Mielibyśmy rację jedynie w tym przypadku, gdybyśmy byli zbiorowością zupełnie bosych, a do tego przecież — mimo wszystko — daleko.

Wróćmy jednak do pytania, czy musimy utrzymywać eksport butów, przy czym konieczności spłaty długów dewizowych, czego samymi węgłami nie załatwimy, rozważać nie będziemy, jako zbyt oczywistej.

W dziedzinie obuwnictwa posiadamy wcale niemały i dość nowoczesny potencjał przemysłowy, jest on jednak niemal w całości, podobnie zresztą jak przemysł garbarski, oparty na importowanych maszynach i urządzeniach, pochodzących z drugiego obszaru płatniczego. Na nowe inwestycje nas nie stać, tym bardziej więc należy dokładać starań, aby istniejące zakłady utrzymywane były w należytej sprawności. Zużywają się części, zachodzi konieczność wymiany czy uzupełnienia parku maszynowego, niewielkich lecz koniecznych inwestycji odbudowawczych. Na to wszystko potrzebne są dewizy, a jedyną drogą do ich uzyskania jest właśnie eksport. Natychmiastowa rezygnacja z zakupów za granicą oznaczałaby „położenie” w bardzo krótkim terminie całego przemysłu obuwniczego. Zmęczony wędrówką po sklepach klient może w tym miejscu zapytać: dlaczego jednak buty, można przecież uzyskać środki sprzedając na przykład wełniane dywany. Zmieni jednak zdanie, gdy kozaki już kupi, a w jego własnym wyobraźni zrobi się dziura. Generalnie obowiązującą powinna zasada, że każdy przemysł, a więc i obuwniczy, powinien sam zarobić na pokrycie swych dewizowych potrzeb. W tej dziedzinie nie ograniczają się one tylko do maszyn i urządzeń. Obejmują również materiały podstawowe, jak skóry (własnych nie mamy w potrzebnej ilości) oraz setki uzupełniających — od podszewek po ozdoby. W skali roku kosztuje to miliony dolarów. Oczywiście można, a w naszej konkretnej sytuacji jest to nawet konieczne, zastąpić je produktami krajowymi. Tyle, że na obecnym etapie wszystkie dziedziny produkujące na potrzeby przemysłu obuwniczego nie są w stanie zaspokoić ich w pełni, a ponadto całkowita rezygnacja z importu, nawet gdyby była możliwa, w sposób zdecydowanie nie niekorzystny odbije się na naszym rynku. Zastanówmy się bowiem, wspominając zaopatrzenie sklepów sprzed kilku lat, które buty były lepsze jakościowo i ciekawsze wzorniczo — męskie czy damskie? Otóż męskie, a wynika to z faktu, że od wielu lat sprzedajemy za granicę właśnie obuwie dla pici brzydkiej, damskie natomiast stanowiło zawsze tylko niewielkie uzupełnienie eksportu. Odbiorca zagraniczny ma zwykle wysokie wymagania i byle jakiego towaru, nawet jeśli jest tani, nie weźmie. Spełniając je, polski przemysł doskonalił swoje możliwości, podwyższał średni standard wyrobów, przy okazji także i tych przeznaczonych dla krajowych odbiorców. Następujący w ten sposób transfer mody i technologii wyraźnie widoczny był na

rynku właśnie na przykładzie obuwia męskiego. Rezygnacja z handlowej wymiany z zagranicą w krótkim czasie skazałaby nas na znaczne pogorszenie, czego pierwsze symptomy już zresztą widać. Można, co prawda, wzbogacić rynek importując wyroby gotowe, co robimy w tym roku we wcale niemałych rozmiarach, ale właśnie sprzedając obuwie trzeba na te zakupy zarobić. A już niech się handlowcy głowią komu i za ile sprzedać, aby było to dla nas korzystne.

Uznając wszystkie korzyści płynące z eksportu i konieczność jego rozwijania w przyszłości, nadal możemy zastanawiać się, czy mimo wszystko nie byłoby celowe okresowe jego wstrzymanie do czasu, gdy sytuacja w naszych sklepach nieco się poprawi. Odpowiedź w tym przypadku jest zdecydowanie negatywna. Opuszczenie choćby na krótki czas jakiegokolwiek rynku, odnosi się to zwłaszcza do krajów kapitalistycznych, oznaczałoby jego całkowitą utratę. Konkurencja w tej dziedzinie jest tak duża, że ponowne zdobycie kontrahentów byłoby niemożliwe. Żaden z handlowców z nawet z sympatią odnośszący się do Polski, mogąc wybierać wśród wielu ofert, nie będzie czekał, aż miną nasze wewnętrzne trudności rynkowe. Wysiłki naszych handlowców zmierzają więc do utrzymania się na tych rynkach zachodnich, na które dostarczalny obuwie dotychczas, a także na poszukiwaniu zapasowych obszarów zbytu, nie są natomiast ukierunkowane na szukanie sposobów zmniejszenia eksportu. Nie jest on zresztą w liczbach bezwzględnych zbyt wielki. Do krajów drugiego obszaru płatniczego Skórimpex wysiły w tym roku niepełna 8 proc. tegorocznej produkcji. Do największych naszych odbiorców, których zresztą nie ma tak wielu, Centrala bowiem nastawiona jest na handel z mniejszą liczbą kontrahentów, ale za to w ilościach zauważalnych na reprezentowanych przez nich rynkach należą: Wielka Brytania, RFN, Austria, Holandia, Kanada i USA. Do tych krajów wysłane zostaną również pewne ilości odzieży ze skór i futer, a część uzyskanych w ten sposób dewiz wykorzystana będzie na import obuwia.

Jeszcze niższy będzie w tym roku eksport do krajów RWPG, zwłaszcza do Związku Radzieckiego. W stosunkach handlowych z tymi krajami także niepodważalne są obowiązujące na całym świecie zasady opłacalności handlu i konieczności terminowego wywiązania się z umów, ale możemy jednak liczyć na pewne względy, wynikające ze zrozumienia naszej sytuacji. Dla przykładu z 8 milionów par butów, jakie przemysł nasz



Foto: M. Zajdler

wyprodukuje w kooperacji z ZSRR, w oparciu o skóry radzieckie, zgodnie z umowami, na naszym rynku miało pozostać 1,2 miliona par. Ilość ta została zwiększona do 4 milionów. Na takie odstępowanie od umowy bez ogromnych skutków finansowych nie zgodziłby się żaden z kontrahentów zachodnich.

JEDNAK SIĘ OPLACA

I wreszcie ostatnia sprawa, czy eksport jest opłacalny, co niektórzy ludzie poddają w wątpliwość, zwłaszcza w odniesieniu do handlu (nie tylko obuwem) ze Związkiem Radzieckim. Skoro za uzyskane w ten sposób środki kupujemy części do maszyn, skóry i inne niezbędne materiały, a także gotowe buty, skoro powiększają się konta, powstałe z odpisów dewizowych zakładów eksportujących, to znaczy, że jednak się oplaca. Niestety, nie mogę przytoczyć liczby, która by w sposób jednoznaczny pokazała, ile my z tego mamy, bowiem, jak stwierdził dyrektor Szaniawski, żaden rozsąd-

ny kupiec nie mówi, jak opłacalny jest jego handel. Mimo to z rozmowy wynoszę przekonanie, że jednak warto sprzedawać, a jednocześnie wiem, że gdyby nawet zilustrować tekst fotokopiami wszystkich dokumentów Centrali i tak znajdą się ludzie, którzy nie uwierzą. No to nie. Może by jednak we własnym, dobrze pojętym interesie, zamiast domagać się rezygnacji z eksportu, zwiększyć presję na producentów, aby to, w co nas obuwają, było rzeczywiście dobre. Dorosłemu człowiekowi, który nie zaczyna od zera, czyli w tym przypadku od bosości nogi, jedna para skórzanych butów rocznie wystarczy, pod warunkiem, że będzie mógł użytkować je dłużej niż jeden rok, a więc że będą trwałe, wygodne, a trochę ponadczasowym fasonie. Inaczej za 2-3 lata, przy wynikającej z „wionów” ilości, rzeczywiście grozi nam zima w trenach, bez względu na import i eksport.

TERESA
JERZYKOWSKA

Dla kogo ta pogoda?

Zycie nas nie pieści. Do ogromnej większości polskich domów zgląda widmo kryzysu. Tylko niewielka grupa, która zeruje na kryzysie, czuje się dobrze, zbija fortunę. Myślę, że w takiej sytuacji zamiast posługiwać się groźnymi uogólnieniami, lepiej powiedzieć kilka słów gorzkiej prawdy. Ukrywanie faktów doprowadziło wszakże do robotniczego protestu w Sierpniu.

Oto dnia 2 listopada br. w „Głosie Robotniczym” ukazał się krótki artykuł Andrzeja Tumialisa pt. „Pogoda dla rolników”. Jeśli urodzony mieszcuch nie zajrzy do tekstu, to ów tytuł natychmiast skojarzy mu się z „Pogodą dla bogaczy”. Wprawdzie autor stara się przysiąc nieco ów blask kwitnący nad wsią, przypisując wszelkie dobra Panu Bogu, czyli słońcu i pogodzie, ale też nie powstrzymuje się przed wyliczeniem, czego to nam nie przybyło, zapewniając, iż nie zabraknie także ziemniaków, że do końca roku nie będzie kłopotów z mięsem na kartki. A. Tumialis pisze z przekonaniem, że sejmowa i rządowa pogoda dla rolników już w przyszłym roku przyniesie efekty, że samorządność, trzy eksperymentalne Izby Rolnicze oraz ustawa o spółdzielczości i emeryturach pomogą szybko odrobić zaległości w najlżejszym sektorze gospodarki, jakim jest rolnictwo.

Po prostu na wsi żyć nie umierać. Teraz te chłopiska będą już tylko leżeć do góry brzuchem i bogacić się do oporu. Ładuje się w nich masę pieniędzy, a żywności, niestety, nie przybywa. O tym mówi się nie tylko w kolejkach, ale i na poważnych naradach.

Osobiście nie neguję „sejmowej i rządowej pogody dla rolnictwa”. Mam natomiast wątpliwości, czy same akty prawne natychmiast wpłyną na wzrost produkcji żywności. Uplynie przecież trochę czasu, nim te akty zostaną wprowadzone w życie, przy czym w drodze do wsi tu i ówdzie mogą zostać zdeformowane. Do dziś bowiem mamy jeszcze takich naczelników, którzy marzą, żeby stan wojenny trwał jak najdłużej, żeby chłopci nie mieli samorządu, i byle tylko urzędów gmin nie nawiedziły te cholerne kontrole wojskowe.

Ale to są dywagacje polityczne, do czego ja się raczej nie nadaję. Przejdźmy do konkretnych, czyli do mitycznego bogacenia się chłopów. Otóż dane opracowane przez Instytut Ekonomiki Rolnej wskazują niezbicie, że w roku 1980 parytet dochodów ludności wiejskiej spadł do poniżej 88 proc., natomiast w 1981 r. wzrósł do ponad 100 proc., czyli był wyższy niż w mieście. Stało się tak dlatego, że znacznie wzrosły ceny skupu, natomiast ceny środków produkcji niewiele się zmieniły. Jednak w bieżącym roku ceny skupu wzrosły średnio od 20 do 35 proc., zaś środki produkcji podrożały dwu- i trzykrotnie. Ktoś powie, że traktor lub siewnik kupuje się raz na wiele, wiele lat. To prawda. Ale pasze, węgiel, nawozy, środki ochrony roślin kupuje się co roku. Stąd też dzisiaj pewne korzyści mogą uzyskiwać jedynie ci chłopci, co wcześniej pobudował się i zaopatrzył w niezbędny sprzęt. Dzisiaj, w co mieszkankowi miasta trudno będzie uwierzyć, rolnik pragnący zbudować swój warsztat pracy od podstaw, musi być milionerem. Aby na być 10 ha ziemi, zbudować dom i budynki

inwentarskie, kupić wszystkie maszyny oraz zwierzęta hodowlane, trzeba dysponować sumą 10 mln zł.

Jaki więc wniosek ogólny? Ano taki, że wraz ze wzrostem kosztów utrzymania oraz pogorszeniem się relacji między cenami skupu a cenami środków produkcji, pogarsza się sytuacja finansowa większości gospodarstw. I to by było na tyle, jak chodzi o bogacenie się chłopów.

Wracając zaś do optymistycznych twierdzeń red. Tumialisa śmiem stwierdzić, iż słońce i pogoda daly nam więcej zboża i jabłek, mniej więcej tyle samo cukru, co w zeszłym roku, ale ziemniaków i buraków pastewnych zdecydowanie mniej. To znaczy, że ziemniaków do konsumpcji winno być pod dostatkiem, natomiast na pasze nie wystarczy. Jeśli do tego dołączyć brak importowanych pasz treściwych, to nie powinno nikogo dziwić, że chłopci wzbijają się proszą i macior. Na rynku krajowym ziemniaki i zboże są drogie. W punktach skupu kwintal karbofii kosztował 1000 zł, a zboża 1400 zł. W tym widzę także groźbę rezygnacji wielu rolników z hodowli. Bardziej opłaca się zebrać z hektara 200 kwintali ziemniaków, niż 25 kwintali żyta. Mamy i będziemy mieć jeszcze głębszy spadek produkcji zwierzęcej. Dlatego nie byłbym taki spokojny o pokrycie dla naszych katek mięsnych. Tym bardziej, że rolnicy zebrałi w zasadzie jeden pokos traw. Drugi pokos wypaliło słońce, poplonów nie było wcale, a buraków pastewnych i brukwi mało. Stąd na naszych kartkach znalazł się „przymusowy” przydział wołowiny lub cielęciny z kością. Po prostu krowy i cielęta idą na rzeź. To oznacza zmniejszoną podaż mięsa i jego przetworów.

A więc ci, co krzyczą, że ładuje się w rolnictwo, które nie zwiększa produkcji żywności, niech się zastanowią, czy mają rację. Trzeba, panowie, zacisnąć pasy i poczekać. Bo gdy jest

pasza, to takie brojlery np. można wyhodować w dziesięć tygodni. Ale gdy paszy treściwej nie ma, to trzeba poczekać rok, żeby zebrać zboże, potem dalsze dziewięć miesięcy, by utuczycy świnie. Na młodą dojną krowę czeka się trzy lata...

Wierzę, że przyjdzie pogoda dla rolników. Ale na razie jest ciężko. Na rynku dobra siekiera kosztuje 1000 zł, trójzębna dziabka do pielienia — 600 zł, wóz konny bez skrzyni — 40 tys. zł, a zwykły kosz wiklinowy — 400 zł. Owszem, przemysł dostarcza więcej maszyn, niż w roku ubiegłym, ale jest tego o wiele mniej, niż w latach siedemdziesiątych. Spójrzmy prawdzie w oczy: jeśli chodzi o dostawy pasz treściwych, nawozów sztucznych i ochrony roślin, to w tej dziedzinie przeżywamy regres. W związku z tym efekty w rolnictwie nie od razu staną się odczuwalne. Nie spodziewajmy się przeto schaboszczaka na naszych stołach. Państwo będzie powoli zwiększać dostawy środków produkcji na wies. Ale nie po to, żeby hodowano tam tylko świnie. Do niedawna schabowy konsumowało się za pożyczone dolary, on „rosi” na importowanej paszy. Dzisiaj nie ma za co kupować pasz, trzeba więc przede wszystkim zwiększyć krajową produkcję roślinną, szczególnie zbóż. Bo najważniejszy jest chleb. Potem mleko, dalej tłuszczowe roślinne, a dopiero na końcu mięso. I myślę, że na te produkty, w tej właśnie kolejności, trzeba ustalić godziwe ceny, żeby rolnicy chętnie wytwarzali je w swoich gospodarstwach.

Jak z tego widać, mitu o pogodzie dla bogaczy nie trzeba przypisywać chłopom. Owszem, mamy grupy rodzinnych milionerów, ale nie należy do nich ci, co sieją zboże, sadzą kartofle, hodują bydło lub trzodę chlewną.

RYSZARD BINIKOWSKI

Komunikaty Głównego Inspektora Sanitarnego były nadzwyczaj spokojne. Przytaczane fakty były alarmujące, ale inspektor na alarm nie bit.

Wzmoczenie zachorowań na chorobę surowicowego zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych — głosił komunikat z września — występuje o tej porze każdego roku. Obecnie szczególnie wzrosło zachorowań notowane jest na terenie województw: elbląskiego, toruńskiego, tarnobrzegskiego, krakowskiego, wrocławskiego, nowosądeckiego, katowickiego, częstochowskiego, koszalińskiego, kaliskiego, jeleńskiego i bydgoskiego. Liczba zarejestrowanych zachorowań od stycznia do połowy sierpnia wynosi 1263 i jest tylko o 117 przypadków wyższa od liczby zachorowań zarejestrowanych w analogicznym okresie ubiegłego roku. Różnica w przebiegu epidemiologicznym zachorowań polega na tym, że obecnie nie tuje się ich ogniskowe występowanie, podczas gdy w ub. roku notowano jedynie zachorowania sporadyczne.

Kwidzyn jest piękny.
Ale nie zawsze.

Zawsze — gdy bywały takie dni — Kwidzyn jaśniał w promieniach niezastuszonego słońca.

Ostatnimi czasami słońce nad Kwidzynem znowu przygasało.
I znowu — niezastuszone.

To z powodu budującej się — wciąż — „Celulozy”.

W ostatnich miesiącach Kwidzyn wrócił na czołówki gazet i języki ludzi, lecz już nie z jej powodu. Na mieszkańców padło przerażenie z powodu wirusa, który jak prawdziwy pasożyt opanował zdrową tkankę organizmu miasta, zakłócając normalny rytm jego życia.

Zastępca terenowego inspektora sanitarnego w Kwidzynie — Danuta Dwińska jednak uspokaja. — Proszę pana — powiedziała — nie szczególnie jednak się nie dzieje. Epidemia wprawdzie, ale o spokojnym wręcz przebiegu.

Podobna epidemia miała miejsce w rejonie Kwidzyna w 1974 roku. Dużo mniej zachorowań niż obecnie, dlatego też łagodniej i szybciej przeszła. Podobne też były objawy: sztywny kark i bóle głowy.

Pierwsze przypadki w tym roku na terenie działania ZOZ obejmującym prawie 100 tysięcy mieszkańców wystąpiły pod koniec maja tego roku. Miały miejsce pojedyncze zachorowania na zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych najpierw w Kwidzynie, potem w Prabutach i Kisielicach. Nie zanępkowały one lekarzy i władz sanitarno-epidemiologicznych. Uwagę jednak zwrócił ich ostry przebieg. Występowały silne bóle głowy i nudności, wymioty, gorączka ok. 39 stopni.

— Były to istotnie sporadyczne przypadki — mówi dyrektor Zespołu Opieki Zdrowotnej w Kwidzynie, Józef Kogut, pracujący na tym terenie już 19 lat. — Jednak pod koniec czerwca, zwłaszcza na początku lipca zaobserwowaliśmy wyraźne nasilenie zachorowań na zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych. W każdym z tych przypadków osoby hospitalizowaliśmy na naszym oddziale zakaźnym.

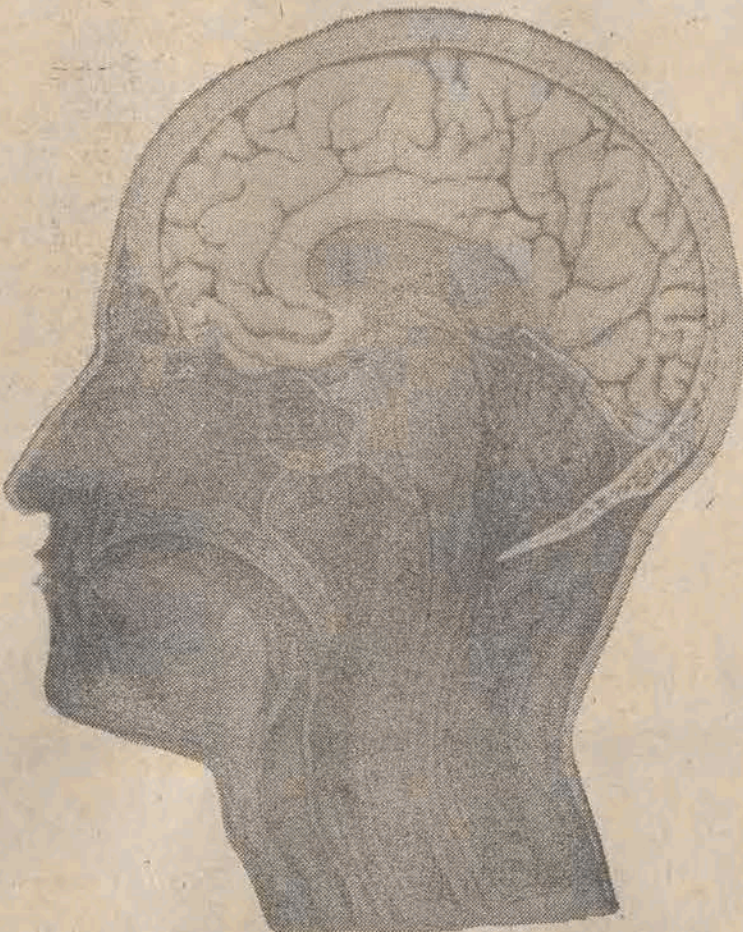
W związku z tym, że ilość zachorowań przewyższała jednak możliwości kwidzyńskiego szpitalnictwa zorganizowano jak gdyby pododdział chorób zakaźnych z pięćdziesięcioma łózkami w Prabutach. Lekarze i personel z Kwidzyna.

W sierpniu zachorowania nie spadały zorganizowano dlatego drugi taki pododdział na 46 łóżek w Prabutach.

Następnie po nakłuciu pobieraliśmy do badania płyn mózgowo-rdzeniowy który wyspecjalizowane instytucje potem badały i określały charakter wirusa.

Leczenie jest objawowe: podawane są środki orzeciwobólne i moczopędne. Żadne drogie środki nie są stosowane. Następnie wkrótce szybkie cofanie się objawów.

Środki przeciwbólowe są konieczne — powtarza dr Kogut —



WACŁAW OPACKI

Wirus

ponieważ bóle głowy są bardzo silne. Pacjent powinien leżeć.

Przebieg choroby wirusowego zapalenia opon mózgowych, — mówi dr Kogut — ma charakter łagodniejszy od zapalenia ropnego. Punkcją mimo to jest wykonywana wszystkim, tzn. pobierany płyn mózgowo-rdzeniowy do zbadania określonego wirusa. Jest to niezbędne, ponieważ w tych przypadkach, które mieliśmy tutaj — pojedynczo zdarzają się, jak zawsze zresztą, ropne przypadki zapalenia opon mózgowych. Tu zaś leczenie jest zasadniczo różne. Punkcja jest wykonywana — uspokaja dr Kogut — przez wkiucie igły, co jest trochę przykre dla pacjenta, ale nie pozostawia po tym żadnych powikłań typu uszkodzenia rdzenia kręgowego.

Pytam dr Koguta o przyczyny zachorowań.

— Pewne jest, że jest to choroba wywołana przez określony rodzaj enterowirusa, o gwałtownym przebiegu trwającym od 7 do 10 dni. Wymaga on leczenia szpitalnego, dlatego, że bóle są bardzo silne, a samopoczucie pacjentów bardzo złe. Wszyscy jednak po okresie hospitalizacji trwającym właśnie od 7 do 10 dni wychodzą do domu zdrowi i bez większych powikłań. Nie było dotychczas zgonów.

W największym nasileniu było od 10 do 15 przypadków zachorowań dziennie.

Obecnie obserwujemy spadek zachorowań. Dziennie bywa ich 3 do 4. Natomiast cała fala zachorowań przesunęła się w kierunku pasa nadmorskiego. Szumy i Elbląga. Z tego rejonu chorzy tanowią ok. 70 proc. Jak widać fala u nas wygasa, natomiast tam rośnie. Łódka dlatego są nadal zajęte, chociaż na dzień dzisiejszy dysponujemy jeszcze wolnymi 15 łózkami dla osób dorosłych.

W tej chwili obliczamy, że z Kwidzyna chorowało ok. 400 osób, z rejonu Kwidzyna — ok. 700 osób.

Jak się przed tym wirusem zabezpieczyć?

— Prawdopodobnie jest to wirus, który przedostaje się do organizmu poprzez drogi pokarmowe. Trudno powiedzieć na 100 proc., ale zalecamy w naszym postępowaniu izolowanie pacjenta, zachowanie czystości, ochronę przed zanieczyszczeniami poprzez m.in. dokładne mycie rąk, owoców, jarzyn, stosowanie przegotowanej wody.

Czy istnieje groźba naturalnego zakażenia otoczenia?

Istnieje, ale bardzo mała. Chociaż były takie przypadki, że najpierw zachorowało dziecko, potem matka, później ojciec. Zresztą na wirusowe zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych chorują najczęściej osoby młode, w tym dzieci.

Służba sanitarno-epidemiologiczna dokonuje zabiegów dezynfekcyjnych, ale nie we wszystkich przypadkach. Wirus ten jest zresztą bardzo odporny.

Na samym początku 1982 roku była w Kwidzynie inna epidemia, chociaż dr Kogut jak i inni rozmówcy chcieliby nazwać ją inaczej: masowymi zachorowaniami, które charakteryzowały się silnymi bólami w okolicy brzucha, wymiotami, biegunką. Choroba trwała dzień, dwa lub trzy i przechodziła bez leczenia, chociaż profilaktycznie były podawane sulfonamidy. Rzadkie przypadki były hospitalizowane.

Zdaniem lekarzy i epidemiologów — źródłem jej był zły stan wody w Kwidzynie.

Badania laboratoryjne potwierdziły bakterie typu fekalnego. Przewody którymi biegała woda są w fatalnym stanie: one są po prostu stare i skorodowane i wtedy, szczególnie w okresie nasilonych opadów i roztopów, do przewodów dostawała się woda podskórna, powodując znaczne pogorszenie jakości wody. Efektu polepszenia jakości nie daje chlorowanie.

Dlatego do picia nadaje się tu woda dopiero po przegotowaniu.

Można tu spotkać powszechnie opinie, że źródło tej epidemii — obecnej, jak i z początku roku — tkwi w rozbudowującej się „Celulozie”.

— Nie sądzę, że w „Celulozie” — odpowiada dr Kogut. — Źródło raczej tkwi w buźliwej rozbudowie miasta. Przyrost ilościowy mieszkań powoduje coraz większe przeciążenie sieci wodociągowej. Woda w Kwidzynie pobierana jest ze studni głębinowych z pokładów kredowych, bardzo dobrej jakości. Ale przecież, powtarzam, źródło tkwi nie w miejscu poboru, ale w jakości przesyłania.

Czy „Celuloza” stwarza jednak obecnie jakieś zagrożenie dla środowiska naturalnego miasta. Trudno w sposób stanowczy już teraz na to pytanie odpowiedzieć. W tej chwili bardzo dokuczliwe są gazy złozone, które nie są może szkodliwe dla zdrowia, ale uciążliwe zapachem. Ludzie, którzy przyjeżdżają kręcąc nosami, bo strasznie śmierdzi. Miasto nie posiada własnej, z prawdziwego zdarzenia stacji biologicznych oczyszczalni. Zdarza się dlatego, że ścieki z „Celulozy” trafiają do miejscowej rzeki Liwy.

W październiku zakłady planują uruchomienie spalarni gazów złozonych. Mniej będzie czuć, ale szkodliwość spadnie tylko minimalnie.

W Kwidzynie istnieją poważne kłopoty kadrowe w służbie zdrowia, co istniejące zachorowania na zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych szczególnie uwypukliły. I o tym dr Kogut, jak i inni rozmówcy chcieliby przede wszystkim mówić. Chcieliby zaalarmować, poruszyć kogo trzeba, by wpłynął na złagodzenie obecnej sytuacji w tej dziedzinie.

Urzędujący od stycznia 1982 roku naczelnik miasta jest bezradny.

— Na dzień dzisiejszy mam 58 lekarzy tj. wskaźnik poniżej 7 lekarzy na 10 tysięcy. Brakuje nam do minimum ok. 40 lekarzy. Sytuacja z pielęgniarkami jest dużo lepsza, w pobliżu bowiem znajduje się szkoła pielęgniarska, z której trzy roczniki podjęły już pracę.

W samym Kwidzynie — rozwiła temat dr Kogut — powinno pracować na rejonach przynajmniej 10 lekarzy a pracuje na razie tylko 3. W „Celulozie” powinno 4, pracuje 2. W Przedsiębiorstwie Budownictwa Rolniczego znajduje się pięćnaście przychodni: powinnen pracować tu jeden lekarz na pełnym etacie, nie ma zaś żadnego.

W tej chwili jest 9 absolwentów wydziału lekarskiego i 4 stomatologów skierowanych przez wydział zdrowia Urzędu Wojewódzkiego, nie ma zaś żadnego mieszkania.

Brak mieszkań, brak więc lekarzy. I kofko się zamyka. Szkoły nie mają lekarzy, podobnie jest właśnie z zakładami, żłobkami i innymi placówkami socjalnymi.

Nie ma więc medycyny szkolnej, a dzieci chore trafiają po prostu do przychodni, rejonów leczniczych.

Brak łóżek szpitalnych. Budowa szpitala miała ruszyć w 1974 roku, a jak dobrze pójdzie to ruszy dopiero w lutym przyszłego roku. Cykl inwestycyjny wynosi 66 miesięcy. Szpital więc stanie, jak dobrze pójdzie, dopiero w 1990 roku.

Są w tej sprawie sprzyjające uchwały Rady Ministrów, które mówią, że szpital w Kwidzynie ma stanąć obok sześciu innych budowanych w Polsce. Sprawa rozbija się jednak o nie dokończoną dokumentację. Nie jest przygotowana dokumentacja formalno-prawna wywłaszczenia terenu. Nie wiadomo też z jakich środków szpital ma być budowany: czy z Narodowego Funduszu Ochrony Zdrowia, funduszu terenowego czy centralnego.

Największy kłopot oczywiście istnieje w znalezieniu wykonawcy. Jedynym do tej pory takim wykonawcą był „Budopol” z Bydgoszczy który jest jednostką pisaną przez „3 s”...

Dietfurth o filipińskich uzdrowicielach

Od wielu już lat cieszą się w świecie wielkim zainteresowaniem zabiegi lecznicze filipińskich uzdrowicieli, popularyzowane szeroko przez środki masowego przekazu. Zwłaszcza stosowane w kilku ostatnich latach krwawe operacje, wykonywane gołą dłońmi, budzą największe emocje, dzieląc opinie na entuzjastów i sceptyków. Ci ostatni zresztą znajdują znacznie mniejszy posuch wśród ludzi chorych, którzy w filipińskich „eudotwórcach” upatrują ostatnią nierez nadzieję uratowania zdrowia czy nawet życia.

Są już tysiące obywateli krajów zachodnich, którzy mogą sobie pozwolić na dość kosztowną wyprawę na Filipiny, skorzystali skwapliwie z tej możliwości, a po powrocie opowiadają cuda o rezultatach uzdrowieńczych zabiegów, co jeszcze wzmacnia i tak już ogromne zainteresowanie opinii, przysparzając dochodów biurom podróży, które na przykład w Niemczech Zachodnich organizują zbiorowe wycieczki w cenie od 3.500 marek od osoby.

Ostatnio i polska telewizja, korzystając w swoim programie z niedawno nakręconego filmu telewizyjnego zachodniemieckiej, przyzysłała się do dalszego rozgłosu filipińskiego „fenomenu leczniczego”. Oglądaliśmy więc, jak palce uzdrowiciela zagłębiają się zdecydowanym ruchem pod powłoki brzuszne pacjenta i jak z krwawiącego pola operacyjnego, obłożonego tamponami, usunięta zostaje przyczyna cierpienia w postaci chorego narządu lub obcego ciała. Po kilku minutach, w miejscu operacji nie widać śladu blizny, a pacjent wstaje zdrowy i rześki. Któż z cierpiących nie marzy o takim bezbolesnym i nieryzykownym uleczeniu!

Ostatnio w zachodniemieckiej tv ukazał się (jak informuje tygodnik „Spiegel” nr 43 z 25.X. br.) nowy program na ten bulwersujący temat, a jego głównym autorem jest, nie wymagający chyba rekomendacji, słynny popularyzator wiedzy, profesor Holmar von Dietfurth (autor m.in. książki „Na początku był wodór”). Ale — po kolei.

Owóż Dietfurth zainteresował m.in. jedno ze zjawisk towarzyszących zabiegowi, a mianowicie, że krew pacjenta, zamiast spływać w głąb pola operacyjnego, czyli pod powłoki brzuszne, niezwykle obficie wypływa na zewnątrz. Co ciekawe, nikt spośród zachodnich lekarzy, którzy interesowali się filipińskimi zabiegami, nie zwrócił na to uwagi.

Prof. Dietfurth udał się na Filipiny (zresztą na zlecenie tv) i wielokrotnie obserwował przebieg zabiegów. Zwrócił przy tym jego uwagę następujące okoliczności, a mianowicie, że w czasie zabiegu asystenci uzdrowiciela natychmiast w twargnięciu jego dłoni pod powłokę brzuchną okładają pole zabiegu dwoma tamponami, nasączonymi dwoma różnymi płynami, co po zetknięciu się tamponów powoduje obfite wydzielanie się najpierw jasnoróżowego, a następnie czerwonego płynu. Dietfurth nie nazwał tego oczywiście „krwią”, ponieważ płyn nie był przez niego badany.

Następnie dociekliwy badacz spostrzegł (zapewne za którymś kolejnym seansem), że w tamponach ukryte są rybte pecherze (lub niekiedy prezerwatywy), zawierające oprócz „krwi” także chrząstki i kości oraz fragmenty różnych organów przewodnych, niewątpliwie zwierzęcych, lub też rozmaite inne przedmioty, rzekomo polknięte, które demonstruje się potem jako usunięte z ciała pacjenta. Zwrócił też uwagę na to, iż na grzbiecie dłoni uzdrowicieli występują wyraźnie ścieżki, co by świadczyło, że palce nie zagłębiają się w głąb brzucha pacjenta, lecz są jedynie podwinięte.

Oczywiście, te enuncjacje Dietfurtha, któremu — jak się domyślamy — żaden uzdrowiciel nie zezwolił wytknąć nosa czy palca w proces operacyjny, nie byłyby w stanie nikomu udowodnić, że jego podejrzenia są zasadne, a więc że zabiegi filipińskich uzdrowicieli są zwykłą, choć niezwykle zreżaną szarlatanerią, polegającą na — jak to określił — „trickach złodziei kieszonkowych” oraz oczywiście na niewzruszonej wierze pacjentów, iż istotnie byli operowani, zwłaszcza, iż wielu z nich odczuwało znaczną ulgę.

Profesor wystąpił więc z programem w tv, przy współudziale asystenta w osobie znanego na Zachodzie iluzjonisty, Christiana, trzykrotnego mistrza świata w konkursach magii. Co znamienne, kierownictwo telewizji (o czym „Spiegel” pisze z burzeniem) postawiło warunek, iż program będzie opatrzone zapowiedzią, że profesor wypowie się jedynie „ze swojego punktu widzenia”. Stanowisko telewizji można chyba wytłumaczyć tym, że nadzwyczajne umiejętności filipińskich uzdrowicieli oceniał poprzednio jak najbożytniej doktor Rolf-Detlev Berensmann, sekretarz generalny zachodniemieckiego Towarzystwa Popierania Rozwoju Diagnostyki Lekarskiej, któremu w Manili — jak twierdzi — usunięto z ucha gruzełki tkanki o łącznej wielkości pestki wiśni. Profesor Dietfurth jednak nie ukrywa, że sceptycznie odnosi się do krytycznych naukowych niektórych przedstawicieli wiedzy, ponieważ jego zdaniem, wyjątkowo łatwo dają się nabierać na „tego rodzaju bzdury”.

Zdumieni telewidzowie mogli więc obejrzeć przebieg zabiegu najzupełniej identyczny z tym, co demonstrowały poprzednie programy z udziałem Filipińczyków: wymiowanie z brzucha młodej damy, która poddała się operacji, najróżniejszych przedmiotów. Potem, oczywiście, mistrz Christian ujawnił widzom zastosowaną technikę iluzjonistyczną.

Jak się dowiadujemy, Dietfurth zainteresowały dochody owych „eudotwórców”, którzy mieniąc się dobroczyńcami ludzkości, biorą od pacjentów rzekomo „co łaska”, zwykle od 30 do 50 marek, choć — co prawda — wizyty bywają zwykle powtarzane wielokrotnie. W każdym razie musi to być wysoko zorganizowany i silnie rozgałęziony biznes, skoro w rzeczywistości dochody miesięczne uzdrowicieli sięgają dziesiątków tysięcy dolarów, a dwaj najajnylniejsi zarabiali podobno około czterech milionów dolarów miesięcznie.

Profesor nie zaprzecza zresztą, że większość pacjentów odczuwa poprawę stanu zdrowia. Sam rozmawiał z wieloma spośród nich, ale — stwierdza też — że po niewielu miesiącach spotyka ich się znowiek na... omentarzu. (O tym, rzecz jasna, już się nie pisze, nikt bowiem nie jest w tym zainteresowany.)

Tyle „Spiegel”, który konkluduje lakonicznie: „Prawa przyrody są ważne również na Filipinach”.

Oprac.: J. K.



Foto: Archiwum

M

arina Cwietajewa to fenomen poetycki, nie wyjaśniony dotąd i w małej części. Nie opublikowano jeszcze całej spuścizny literackiej poetki choć ona sama za życia wydała 14 tomików wierszy, pośmiertnie zaś wydano 10 tomów dzieł — poezji, prozy, sztuk teatralnych. Wielu utworów nie zebrano — znajdują się na łamach licznych czasopism rosyjskich; niektóre zachowały się wyłącznie w przekładach na języki obce; niektóre, wygaszane na wieczorach poetyckich i spotkaniach autorskich, nie zostały wydrukowane nigdy; część archiwum zniszczyła się w czasie okupacji Paryża; wiele znajduje się w zbiorach bibliotek europejskich i amerykańskich; nie została ujawniona duża część korespondencji z różnymi osobami; głównym zaś źródłem tekstów jest archiwum poetki w posiadaniu jej córki, Ariadny Efron (rękopisy — brudno- i czystopisy oraz warianty utworów i listy, w tym — kopie autorskie), a także — Centralne Państwowe Archiwum Literatury w Moskwie. Cwietajewa jawi się więc jako tytan pracy. I nie ma w tym bogatym dorobku rzeczy słabych, wtórnych, naśladowczych, nieinteresujących, piętlik. Wszystkie wykazują wielki miary talent i niezwykły kunszt poetycki.

„Są poeci z historią i poeci bez historii” — pisała w eseju krytyczno-literackim. To nie znaczy: dobrzy i źli. To znaczy: ukształtowani, dojrzali od pierwszego swojego wiersza i niezmienni w swojej manierze poetyckiej, i ci, którzy formują, doskonalą swój styl przez całe życie. Do drugiej grupy zaliczyć można i samą Cwietajewą.

Szorstwo twierdzenia: aby osiągnąć artyzm, trzeba opanować rzemiosło, dowodziła niezmordowaną pracą, setkami zapisańych stron, wielością wariantów, zmian i poprawek.

„Tortura” — „Zdzierż” — „Jak wyschły łę — Gardio nami” Rzeż! Też przecie — dźwięki” „Lwów, a nie bab, Rzecz to!” — Dzieci; Orfeusz — padł, A wciąż — szpieg niecił!”

Rozmowa z Genuszem Szkoła wiersza, tj. Joanna Salomon.

W tym dążeniu ku doskonałości formy mieści się praca nad osiągnięciem precyzji myśli, jasności spostrzeżeń, celności sformułowań. Jedność rytmu uczuć i rytmu wiersza — to zdobycie poezji największej. Styl twórczości Cwietajowej ewoluuje. Zmieniają się ramy wiersza, zmieniają się obrazy, zmieniają się bohaterowie. Ale w pewnym aspekcie jest ona poetką „bez historii”: w aspekcie filozoficzno-światopoglądowym. Urodziła się romantyczną idealistką i światopogląd ten zachowała do końca życia. Przejawia się on — z różnym natężeniem — na przestrzeni całej drogi twórczej. Wyraźny jest w jej wysokich, bezkompromisowych wymaganiach, stawianych własnemu słowu poetyckiemu, i w pragnieniach i oczekiwaniach, związanych z własnym losem — człowieka i poety.

Pisać — najsubtelniejszym piórem, ale i żyć — pięknie, wzniosło, spokojnie. „Chciałabym mieszkać z Tobą W małym miasteczku, Gdzie wieczne są gwiazdy I wieczne są dzwony” w wierszu z 1916 r.

Chciała zrozumienia i uznania dla swojej sztuki, w którą nigdy nie wątpiła „I nigdy nie

dam złych wierszy”. Jej oczekiwania wobec własnego losu nie spełniały się. „Nie mogę wypalić w sobie uczucia prawa” — pisała uchyłku swojej życiowej tułaczki w liście do przyjaciółki. Jej poezja i jej życie — to wyzwanie rzucone losowi. Co podtrzymało, co chroniło niezłomność ducha i wysokie nuty talentu?

W pracy — głęboka wiara w słusność własnej drogi twórczej, w życiu — może, jak napisała w wierszu do Achmatowej (życie i poezja — jedność) „mur polskiej dumy” — Płynęła w niej polska krew — babka ze strony matki była polską szlachcianką; Cwietajewa podkreślała te związki w swej twórczości, „polską” naturę znajdowała w sobie; będąc w Paryżu i w Londynie kontaktowała się ze swoją polską rodziną — dowiedziała się wtedy, że jej babka jako kilkunastoletnia panna wraz ze swoimi siostrami przechowywała w Warszawie 1863 roku broń powstańcza. „Jak ja siebie w tym rozpoznaje” — napisała w jednym z listów. A dwadzieścia lat wcześniej, w wierszu: „Babcu! — Czy ten okrutny bunt!”

W moim sercu — nie po tobie? Ma swoją rangę w pisarstwie Cwietajowej owa dwoistość pochodzenia — upatruje się we wpływie matki, w której płynęła krew polska i niemiecka, europejskie źródło jej kultury poetyckiej, źródło zaś rosyjskie — w rodowodzie ojca, popowicza spod Włodzimierza Wielkiego, profesora historii sztuki na uczelniach moskiewskich, społecznika i działacza kulturalnego, twórcy Muzeum Sztuk Pięknych (Im. Puszkina) w Moskwie.

Życie i poezja — jedność. Cwietajewa żyła, by pisać. I pisała, aby żyć... Rodziców straciła wcześniej: matkę, gdy miała lat 14, ojca — gdy miała lat 21. Przemiany społeczne w Rosji pozbawiły ją zabezpieczenia materialnego. Nie mógł go zapewnić mąż, nie mający stałej pracy, ciągle zagrożony gruźlicą. Przez dwadzieścia lat twórczość literacka Mariny Cwietajowej stanowiła podstawowe źródło utrzymania czteroosobowej rodziny — córka Ariadna (Ala), urodzona w roku 1913 i syn Georgij (Mur), w roku 1925; druga córka, Irina, umarła w głodującej Moskwie 1920 roku.

Pióro pisarza-emigranta zwykle nie zapewnia utrzymania, nie zaspokaja potrzeb finansowych — nawet pióro wieszacza i proroka, wielbionego, docenianego, drukowanego. To sprawy znane i w losach polskiej literatury. Cóż dopiero, jeśli to poeta krytykowany, nie rozumiany (bo „niezrozumiały”).

Cwietajewa pisała dużo — niejednokrotnie kilka wierszy nosiła sama datę dzienną. Debiutowała jako gimnazjalistka w roku 1910; do wybuchu I wojny światowej opublikowała jeszcze dwa tomiki wierszy. Kilka zbiorów wydała w latach dwudziestych — i w Moskwie, i za granicą: w Berlinie, Pradze, Paryżu. W 1928 roku — ostatni. Pozostały czasopisma. Było ich coraz mniej. Istniejące — nie chciały drukować wybrzydzały, odrzucały, skreślały, cięły, stawiały wymagania techniczne. Poematy — nie, bo za długie. Trzeba udostępnić tamy również innym poetom. Niejako więc z konieczności zaczęła pisać utwory prozatorskie. Za prozę płać więcej. Eseje krytyczno-literackie, proza autobiograficzna Benefisowa wieczory autorskie Komorne, węgiel przymusowe ubezpieczenia szkoła dla syna. „Dlaczego posłałam syna do szkoły prywatnej? Mój ojciec na swój

koszt co roku wysyłał kilku młodych ludzi na studia zagraniczne. Kiedy umierał zapisał w testamencie 20.000 rubli dla najzdolniejszej młodzieży ze swoich stron rodzinnych na opłacenie nauki. I dlatego mam prawo płać za dobrą szkołę dla swego syna, mam prawo umieścić go w klasie, gdzie jest 15, a nie 40 uczniów” — pisała poetka.

Miała prawo... Ale nie miała pieniędzy. Wspomnienie z dzieciństwa: „Nasz dziadek” (A. D. Mein, ojciec matki — przyp. E.-K. N.) jest lepszy Nasz przynosił banany — i to dla wszystkich. Dziadek Howajski — tylko złote pieniądze — i tylko dla Andruszy (chodzi o teścia I. W. Cwietajewa, ojca jego pierwszej żony, i syna

Marina Cwietajewa, czyli sztuka w świetle sumienia

EWA KATARZYNA NOWAK

z pierwszego małżeństwa, przyrodniego brata poetki — przyp. E.-K. N.) — od razu do reki — nawet jakby obok reki — nieczego nie mówiąc i nawet nie patrząc — i tylko na urodziny albo Boże Narodzenie. Mama te złote pieniądze zaraz Andruszy zabiera. „Augusto Iwanowna, proszę wymyć Andruszy ręce” — „Ależ monet całkiem niefutłki!” — „Nie ma czystych pieniędzy!” (I tak już w nas, dzieciach, zostało: pieniądze — brud.) (...) (Złoto było dla nas od małości nie tylko: brudem, ale pustym dźwiękiem.)

Rok 1933. „Pastwią się tu nade mną okrutnie, grając na mojej dumie, na moim ubóstwie, na moim braku praw (obrony żadnej nie ma.) (...) Nędzę, w jakiej żyje nie można sobie wyobrazić. Nie umiem inaczej zdobywać środków do życia niż pisanem. Mąż jest chory i pracować nie może. Córka zarabia 5 franków dziennie, robiąc na drutach czapki. Za te pieniądze żyjemy we czwórce (mam jeszcze ośmioletniego syna, Georgija), tzn. po prostu powoli zdychamy z głodu.” (tj. Roman Zimand).

Inny list z lat 30-tych: „Pamięta Pan Katarzynę Marmieładową — w łachmanach z obłądem w oczach, mówiącą nienaganną francuszczyzną? — To ja.”

A poezja? Już najwcześniejsze utwory Cwietajowej (z lat 1908-1915) przepełnione są romantycznym idealizmem. Wzniosłe, szlachetne uczucia, gorące porwy, żarliwe pragnienie „cudu”, poznanie „wszystkich naraz dróg”, fascynacja młoda bohaterką śmiercią, uwielbienie dla wybitnych postaci, tworzących literaturę i historię — fałszywych carewiczów, Maryny Mniszech, a nade wszystko — kult Napoleona i Orlątka (Lata trzydzieste. Esej „Dwaj Leśni Królowie” — o oryginalne Goethego „Erkönig” i przekładzie Żukowskiego „Leśni Król”). Nie wspomnieliśmy jednak o własnym, sprzed 25 laty; tytuł „W Schönbrunn”. Napoleon porwał Orlątka z Schönbrunn. Koń, lotny jak Pęgaż, unosi obu do Paryża okresu I-ego Cesarstwa. Ojciec otula syna płaszczem. Ale to nie syn, jak u Goethego i poprzedników, lecz ojciec płonie gorączkowym ogniem. I obydwa słyszą dziwne odgłosy:

„Co to za hałas tam, w gęstwinie? Czy to morze?” — „Wojska, synu” „O mój ojcie! Jak ty ploniesz. Popatrz, w dole tam, na prawo — Czy to raj?” — „To synku, Paryż” — „A schyłona nad nim?” — „Sława!”

Wierszom swoim z wczesnego okresu twórczości nadała autorka kształt artystyczny XIX-wieczny, romantyczny i post-romantyczny.

A gdy mówi się, że Cwietajewa zbliżona była do akmeistów — chodzi właśnie o te utwory.

Cwietajewa staje się osobowością poetycką z rokiem 1916. Nie zrywa radykalnie ze

zwyczajem, którego osobowość — wydobyla. Typowość i przeciętność anonimowego tłumy, statystyczna standardowość jego zachowań budzi w poecie niechęć, wrogość Indywidualizm — tak. Masowość — nie. Nieustannie: romantyczne poszukiwanie bohatera. Naciekowanie emocjonalne charakterystyczne jest dla całej twórczości Cwietajowej i tego właśnie — tj. równej miłości, ekwiwalentnych uczuć, współodczuwania, zrozumienia, pochwały tego, co wielkie i szlachetne i wzdargy dla tego, co niskie i podłe, oczekiwała od życia, od świata i ludzi, od swoich czytelników. „Kochajcie mnie — za to wszystko, czym jestem, i co kocham. Kochajcie mnie jeszcze i za to, że umrę.” — prosiła poetka.

W godzinie na szczycie gór i miłości. Lecz pozornym jest pokonanie konfliktu: „I przede wszystkim jedna Pościel. Chciałabym przepaść Powiedzieć”

Równocześnie z rozkwitem i dojrzewaniem miłości zachodzi proces fizycznego oddalania się bohaterów, kończący się rozstaniem: „Bo miłość to znaczy: łuk Napięty łuk: rozłąka”.

Proces ten rozwija się równoległe ze wzrostem wzajemnego zrozumienia: „Pragnąc — to sprawa ciąża A myśmy dla siebie — dusze Od dzisiaj...”

Pragnąc — to sprawa tamtych A myśmy dla siebie od dzisiaj Cieniami (...)

Bo wspólny płacz — Więcej, niż sen!”

Stopniowo, ze wzrostem świadomości zaczyna się skorygowane pojmowanie miłości jako najwyższego dobra, przewartościowanie: miłość fizyczna staje się punktem wyjścia dla rozwoju duchowego.

Dopiero w momencie rozstania staje się zrozumiała istota świata idealnego. Hiperboliczność, wymagająca ekspresję wypowiedzi (przeżyć), w końcowym rezultacie służy do stwarzania wizji świata idealnego. Jest on doskonały i aksjologicznego punktu widzenia. Rządzą nim uczucia. Uczucie jest wartością ze znakiem „plus”. Z ontologicznego punktu widzenia świat ten jest i realny, i materialny.

Platoński źródła światopoglądu Cwietajowej widoczne są w jej utworach Kochać — to znaczy sięgnąć ku najwyższemu wartościom etycznym, kochać — to znaczy zdobyć prawo do życia w lepszym świecie, kochać — znaczy odnaleźć swoją drugą połowę, stworzyć byt idealny, znaczy rozstawać się i cierpieć, poznać i rozumieć świat.

Poezja — to rekompensata. „Poeł — to żydostwo”. Wzgardzeni tułacz bez domu i ojczyzny. Niezrozumieni przez obcych, tuziemych, gromieni, przepędzeni.

„Chrystusie! Boże! Pragnę cudu! Pragnę od razu — wszystkich dróć!” Została jej (wybrała — noszą) jedna droga, trudna, zawita Ale i dająca nierządka satysfakcję. Zachwyt mistrzów — Wołoszyna. Pasternaka, Rilkego. „Asiejew cała noc przesyłał swój poemat”. Trafia i do literatury. Inspirując powstanie powieściowych bohaterów Erenburga („Życie i śmierć Nikołaja Kurbowa”) i Kawierina („Przed lustrem”).

Cwietajewa o Polsce — o polskiej naturze — jak ja polnowała: дума i bunt (ze znakiem „plus”). Cwietajewa w Polsce — osobicie, kilka razy — przejazdem, w Warszawie i Krakowie; ostatnia podróż — czerwiec 1939: statkiem z Hawru do Gdyni, pociągiem z Gdyni do Warszawy, przesłanka na pociąg do Moskwy. Cwietajewa w Polsce — literacko: wcześniej, — już w 1923 roku, w antologii „Nowa poezja rosyjska”, i mało bo próż to jeszcze kilka wierszy w „Kamieniu” w drugiej połowie lat trzydziestych; po wojnie — od lat sześćdziesiątych, dwa tomy poezji, jeden tom prozy, oddzielne utwory w czasopiśmie literackich i antologach.

Marina Cwietajewa: urodzona 26 września 1892 r. (starego stylu), zmarła śmiercią samobójczą 31 sierpnia 1941 r. „Swoją na prawo — do — życia kwit!”

Możesz powiedzieć różne rzeczy: — rozstrzygnięciu konfliktu między powinnością a namietnością jest spokojna i prosta: „W godzinie drogocennej, serdecznej

MARINA CWIETAJEWĄ



Z toba, kochanecko dziwny, Słodkich czasów nie rozdziele, Bo się zesłam z nowym, z innym, Z marnotrawnym przyjacielem.

Ty — dwory — komnaty, On — lasy — pustynie, On — piaski — piernaty, Ty — wojsko — drużynie, Dzisiaj bawimy z nim na morzu, Jutro — hejże w las z wilkami, Co noc śpimy w innym łozu: Dzisiaj — żwir a jutro — kamień. Ach jak lubi mój paniczek, Zebym jasno, jak w Wielkanoc: Dzisiaj — miściaczek nam poświeci, Jutro — gwiazdki nam latarnia.

Był — ci jeźdźcem — pozazdrościł,

Milim gościem, carskim synem. Ale ujrzał moje oczy — I porzucił swą drużynę.

10 listopada 1918

Opady z drzew liście a twojej mogiły I zima już pachnie. Postuchaj mnie martwy, postuchaj mnie, miły: Mój jesteś — na zawsze.

Zaśmiałeś się! Płaszcz uskrzydłony — i w konie!

Wysoki był księżyc, Mój — niepodważalnie tak i tak widomie, Niżym moje ręce, Jak zawsze, z węzełkiem pójde rano, wcześniej. Do szpitalnej bramy. Po prostu — pojechałeś tam, gdzie kraje ciepłe, Wielkie oceany. Całowałam ciebie! Dobre snulałam wróżby! Z zamogilnych ciemności się śmieję! I śmierz! — nie wierzę! Czekam cię z podróży —

Z nadzieją!

Niech — liście opadły, niech — zmyte i starte. Napisy żalobne na szarfach. Jeśli dla całego świata ty — umarłeś, I ja — jestem martwa.

Widzę cię i słyszę — wyczuwam cię wszędzie, Co tam — szarfy od waszych wienców! Ciagle cię pamiętam i zawsze tak będzie, Aż po wieki wieków.

Obietnice takie, wiem, puste i ponne, Nicosis ich rozumiem. Listy — w nieskończone, w nieograniczone, Listy — w próżnię.

1 października 1911

Z cyklu „Przewody”

Zeby powiedzieć ci... Ach, w wiersze, W rymy zdławione... Serce — góra! Lękam się — mało dla tych nieszczęść Racine'a i Szekspira pióra! „Płakali wszyscy — jeśli krew boli... Płakali wszyscy — jeśli węże w różach...” Ale jeden — dla Fedry był — Hipolit,

Ariadny płacz — po jednym — Tezeusz! Męczarnia! Brzegów ani dróg — nie widać! Tako i rzekę wam — cyfry się zbiły — I w tobie — razem wszystkich utraciłam, Gdziekolwiek i kiedkolwiek — niebyłych! Nadzieje jakie — gdy powietrze wskroś Już przepełnione toba — już przywykło! Nakossem jest mi — moja własna kość! A własna krew pod skórą — Styksem! Daremność! We mnie jest! I w nadziei!

Oczy: bez dna jest! dnia nie ma! I data Kalendarzowa że...

Jam nie Ariadna i nie... — Strata! Szukać mi ciebie — po miastach jakich i morzach? (Niewidzialnego — niewidzaca — nie zobaczę!) Pożegnania — przewodem więc powierzam. Oparzysz się o stup telegraficzny — płacz.

18 marca 1923

TLUMACZYŁA: EWA KATARZYNA NOWAK

„Szewcy” w Teatrze Powszechnym

EWA PANKIEWICZ

Zarówno twórczość Stanisława Ignacego Witkiewicza, jak i zrodzone w drugiej połowie lat pięćdziesiątych nagle i niemal powszechnie nie zainteresowanie stanowią zdumiewające zjawiska. Osobowość artystyczna Witkiewicza, dzieło i percepcja utworów autora teorii Czystej Formy mimo coraz dogłębniej analizy pozostają ciągle pełne tajemnic. Wokół postaci tego twórcy narosło wiele legend i jeszcze więcej nieporozumień. Renesansowa mnogość zainteresowań i uzdolnień artystycznych Witkiewicza, ich wzajemne przenikanie się i owocowanie działaniami nie dającymi się wpisać w żaden krag, „szkołę” czy kierunek prowokowały do sporów i odmiennych, często skrajnych ocen.

Boy-Zeleński, Irzykowski, Kotarbiński, Ingarden, Tatariewicz formułowali tak różniące się od siebie opinie o twórczości Witkiewicza, że dziś tylko jedno, stwierdzić można na pewno: twórca ten zaciekał i nie dawał spokoju. Co dziś wydaje się najbardziej zdumiewające, ale i paradoksalne w osobowości i dorobku artystycznym Witkiewicza, to fakt absolutnie niemal symbozy przeciwności. Teoretyczna i historyczna analiza twórczości literackiej i teatralnej Witkiewicza pozwala stwierdzić, że wyprzedzał on swoją epokę w takim samym stopniu, w jakim był wobec niej spóźniony; z jednej bowiem strony pozostawał on wierny poglądom ukształtowanym w młodości przez „dekadentów” — Przybyszewskiego i Micelińskiego, z drugiej zaś wcześniej niż inni rozciągał przed oczami odbiorców swych dzieł wizję końca świata jednostki, kresu sztuki w bezdusznym świecie tyranii mas i całkowitego wchłonięcia indywidualności przez zuniifikowane, „automatyzowane” społeczeństwo. Pozostając z jednej strony pod wpływem myśli estetycznej początku XX wieku zbudował jednocześnie teorię Czystej Formy zawierającą w niej myśl o koniecznej rezygnacji z jakiegokolwiek treści. W realizacji tego postulatów widział jedynie dla sztuki rozwiązanie na przyszłość, lecz jednocześnie, będąc nie tylko rzecznikiem, ale i praktykiem, a nawet twórcą polskiej awangardy jej rozwój interpretował jako ostatnie i przez to najpiękniejsze tchnienie sztuki. Perspektywa zmechanizowanej, ale na swój sposób doskonałej przyszłości wizja idealnego lecz rugującego wszelkie indywidualności (zwłaszcza indywidualności twórcze) społeczeństwa przerażała go do granic obłędu, ale taką przyszłość uważał za konieczną. Kres, koniec, zniszczenie i samozagłada artysty i sztuki, samobójstwo cywilizacji jednostki i samobójstwo artysty, zabójstwo na jedynostkę jako pierwszy etap samobójstwa społeczeństwa stały się motywem jego twórczości i obsesją życia. Swoje własne samobójstwo Witkacy zapowiadał kilkakrotnie. Popelniał je 18 września 1939 roku. Katastrofizm Witkiewicza nie był postulatami, był pragnącą usprawiedliwić samą siebie gniewną i pokorną jednocześnie zgodą na katastrofę, którą artysta ów uważał za tyleż nieuchronną co niezbędną.

Najpełniejszym wyrazem przemysłu i przekonania filozoficznych i historyzoficznych Witkiewicza wydają się być „Szewcy”, („naukowa sztuka ze śpiewkami w trzech aktach”), której bohaterów, niezależnie od odmienności ich dą-

żeń i pragnień niszczy bieg historii automatyzujący wszystkich i wszystko: nieświadomych nieszczęścia tytułowych szewców i rozkoszujących się własnym upadkiem ich fizycznych i moralnych ciemiężycieli, perwersyjną księżną i oszalałego z niespełnień erotycznych prokuratora.

W „Szewcach”, do których ze wszystkich sztuk Witkiewicza najbardziej przystaje ukute przez Boya dla całej twórczości dramatycznej ich autora pojęcie „metafizycznego nadkabaretu”, czyha na inscenizatora wiele niebezpieczeństw. Największym z nich jest użycie wyłącznie klucza politycznego i doraźnej aluzyjności. Ten bowiem „metafizyczny nadkabaret” łatwo uczynić może płaski, ubożuchny i prymitywny kabarecik, który nie pozwoliłby już dostrzec tego, co w „Szewcach” najważniejsze i najcenniejsze: myśli historyzoficznej Stanisława Ignacego Witkiewicza, rodującej przekonanie, że kultura (jeśli twórczość nie ma być wyłącznie zmechanizowaną produkcją) nie może rozwijać się w społeczeństwie bezdusznym automatów, choćby były one najdoskonalsze i najbardziej funkcjonalne.

Daniel Bargielowski, reżyser „Szewców”, których na swojej scenie zaprezentował Łódzki Teatr Powszechny, uniknął tego największego moim zdaniem niebezpieczeństwa, słusznie eksponując historyzoficzną oś dramatu. Myśl Witkiewicza jest w tym przedstawieniu czytelna i czyni spektakl klarownym i zrozumiałym. Gdyby jeszcze reżyser nie dał uwieść się inscenizacyjnym wskazówkom autora, a autorka scenografii, Kosa Gustkiewicz, zrezygnowała bodaj z części wpisanych w tekst główny i didaskalia dramatu sugestii rozwiązań plastycznych, przedstawienie byłoby chyba głębsze i bardziej przejmujące. Mój zgłaszany post factum postulat większej drapieżności czy też ostrości spektaklu nie jest jednoznaczny z zarzutem braku tych niezbędnych każdemu przedstawieniu „Szewców” walorów, sygnalizuje on po prostu ich zmniejszony nieco w moim przekonaniu wymiar. Wysoko oceniając to przedstawienie oraz jego szlachetną i godną uznania wierność autorowi nie mogę jednak oprzeć się pokusie napisania o nim jeszcze kilku zdań zaczynających się od „gdyby...”. Gdyby więc reżyser skrócił nieco tekst, wtedy całe przedstawienie oglądałoby się z takim skupieniem i jakim oglądano jego pierwszy akt. Gdyby niezłym skądinąd pomysłem wprowadzenia postaci Didaskalionek posłużył się on inaczej niż tylko z zamiarem ozdobienia nimi spektaklu, uzyskałby oprócz efektu estetycznego i skuteczności tego dość prostego chwytu kompozycyjnego, także nowy, cenny (bo niosący nasze współczesne, identyczne niepokoję) element i efekt dramatyczny, który z całą pewnością, przez pewne wtedy wrażenie dystansu, ale i naszego bycia w środku, oprócz innych korzyści przyniosłoby większe zdynamiczowanie rytmu przedstawienia.

W tym spektaklu-machinie, przygotowanym i granym z dużym rozmachem obejrzelśmy kilka interesujących ról. Mnie najbardziej podobali się: Tadeusz Sabara, inteligentnie i z dużą kulturą sceniczną kreujący postać Sajatana i Bronisław Wrocławski ze znakomitą wycuciem witkacowskiej groteski wcielający się w postać Prokuratora. Charakterystyczne i, co ważne — bardzo odmiennie postacie Czeladników stworzyli Jerzy Korsztyn i Andrzej Fogiel. Renata Frieman-Kryńska jako Księżna Irina nie w pełni wykorzystwała bogactwo kreowanej przez siebie postaci, a przy tym rolę swą prowadziła nierówno, co sprawiło wrażenie, że wyłącza się z akcji scenicznej w tych fragmentach przedstawienia, w których obecna na scenie nie uczestniczy w dialogu. Wszyscy pozostali wykonawcy zrealizowali postawione im zadania, choć tu pewna monotonia środków wyrazu aktorskiego (dobrze, że „rozbita” czasem aż nazbyt ostro charakterystykami kostiumami) sprawiła, iż stali się oni tylko tłem dla wymienionych wyżej postaci pierwszoplanowych, mimo że każda z ról tej drugiej grupy ma bardzo wyraźną funkcję semantyczną i dramatyczną.

Przedstawienie „Szewców”, którego premiera odbyła się w Teatrze Powszechnym wydaje mi się spektaklem znaczącym w dziejach tej sceny.

Podział muzyki na dobra i zła — bardzo modny w różnego rodzaju wywiadach — jest może i efektywnie brzmiały, ale też względny. Zasadniczo, tradycyjnie już, dokonuje się podziału muzyki na poważną i rozrywkową, chociaż i te terminy mogą mieć różne znaczenie, w zależności od tego, kto wspomnianie „przekroju” dokonuje i na czyj użytek. Tak czy inaczej, „muzyka rozrywkowa” jako określenie o mniej lub bardziej ostrym zakresie funkcjonuje nie od dzisiaj i — mimo, iż niejednokrotnie wybuchają spory o nazwy, których jest na jej oznaczenie bez liku — każdy właściwie wie o co chodzi.

Znacznie ważniejszym problemem współczesnego polskiego melomana zainteresowanego muzyką rozrywkową, a jest to hobby dość powszechne i w zależności od kategorii wiekowej różni się niemal wyłącznie natężeniem, pozostaje brak poycji książkowej o charakterze encyklopedycznym umiającej ten gatunek sztuki w sposób popularny i podreklamowy zarazem. Tam właśnie mógłby sympatyki muzyki zaspościć swoją ciekawość, potwierdzić własne przypuszczenia, lecz także — rozszerzyć wiedzę o temacie swych zainteresowań i pogłębić znajomość zagadnień teoretycznych stając się dzięki temu odbiorcą bardziej wrażliwym i bardziej świadomym. Takiej książki w zasadzie u nas nie ma.

Góra urodziła mysz

Było, co prawda, wiele prób w tym kierunku, by wydać pozycję o charakterze encyklopedycznym dotyczącą muzyki rozrywkowej, ale jak na razie — nic z tego. Oczywiście, podstawowe hasła z tego zakresu znaleźć można w „Małej Encyklopedii Muzyki”, która wydana w stosunkowo niskim nakładzie zniknęła z półek natychmiast, a obecnie pojawia się od czasu do czasu w antykwariatach lub u prywatnych handlarzy za sumę tysięcy złotych i więcej. Jednakże można sobie wyobrazić, że kilkadziesiąt wieków, jakie dzielą nas od pojawienia się pierwszych znanych nam form muzycznych, uczyniło muzykę dziedziną tak szeroką, iż w jednej — choćby grubej — książce nie można pomieścić wszystkiego poświęcając każdemu hasłu odpowiednią ilość miejsca. Stąd też przydałaby się — nazwijmy ją umownie — encyklopedia muzyki rozrywkowej. Może nie jest to w dobie kryzysu pierwsza sprawa do załatwienia, ale biorąc pod uwagę powszechność zainteresowania tą muzyką, w czym celuje zwłaszcza młodzież, trudno byłoby dyskutować z zasadnością tego postulat.

Powiedziałem wcześniej o próbach w kierunku stworzenia takiego kompendium. Najbardziej udaną z nich był chyba Romana Waszki — „Przewodnik ISKRIER: muzyka jazzowa i rozrywkowa” przygotowany przez wydawnictwo „Iskry” w cyklu przewodników po świecie sztuki i kultury (książkę wydano w Warszawie w roku 1970 i nie wiadomo mi, by pokazały się później wznowienia wydania pierwszego). Pozytywa ta została pomysłowa głównie jako słownik hasel jazzowych i dopiero sugestia wydawcy sprawiła, że autor włączył do zestawu także wiadomości dotyczące muzyki rozrywkowej niekoniecznie związane z jazzem. Zresztą, jak pisze R. Waszko w przedmowie, było wiele trudności ze skompletowaniem materiału, toteż nie można się dziwić, że niektóre hasła potraktowano wrywkowo, a inne po prostu pominięto. Tak się składa, że gdy podobną pracę wykonuje jeden autor (choćby z pomocą konsultantów), a nie cała wyspecjalizowany zespół, dobór materiału jest — być może zupełnie nieświadomie — nieco tendencyjny, czy raczej — niepełny i jednostronny. Odszedł wrażliwy, iż tak jest również w przypadku książki Romana Waszki sprzed dwunastu lat.

Innym niebezpieczeństwem czerpiącym na autorów tego typu pozycji jest fakt stałego rozwoju dziedziny, o której piszą — w tym wypadku muzyki rozrywkowej. Tempo zmian i pęd życia w branży estradowej sprawia, że równocześnie z przygotowywaniem poszczególnych rozdziałów w kolejności alfabetycznej rozrasta się też aneks, bo dezaktualizują się informacje, przybywa hasel, wyjaśnienia stają się niewystarczające lub wręcz nieprawdziwe. Jeśli dodamy do tego proces produkcji trwający minimum parę miesięcy, będziemy mieli obraz trudności, z jakimi boryka się potencjalny autor chcąc nadać swemu dziełu aspekt aktualności, co w końcu i tak zawsze jest dalekie od ideału. Z tego też powodu przeważają tutaj „tutaj” swego rodzaju „miniencyklopedie — jednodniówki”, o które od czasu do czasu starają się gazety i czasopisma (pamiętam np. opublikowaną przed kilkunastu laty w „Sztandarze Młodych” kolumnę hasel z zakresu muzyki rozrywkowej, których aktualność w dniu wydania tego dziennika była bezsporna), ale są to tylko półśrodki. Nie można też wykluczyć, że w dziedzinie encyklopedycznych podręczników „do muzyki rozrywkowej”, choćby polskiej, słownika autorów i kompozytorów wydanego przed trzema laty przez ZAKR. Jest to raczej część składowa większej całości, która jednakowoż w najbliższym czasie z pewnością się nie ukazuje. Nic dziwnego, wszyscy znamy trudności gospodarcze, z jakimi boryka się kraj. A encyklopedia muzyki rozrywkowej, o której pisałem, nie jest przecież artykułem pierwszej potrzeby w tych ciężkich czasach.

Mając to wszystko na uwadze, z prawdziwą radością powitałem — i chyba nie tylko ja — „Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej”, którego prezentację w odcinkach rozpoczęła Telewizja Polska przed kilkoma miesiącami. Wprawdzie podane w ten sposób wiadomości encyklopedyczne są ulotne, ale równocześnie inicjatywa miała w moim mniemaniu same plusy: atrakcyjna forma, szeroki zakres odzwierciedlenia, możliwość fonicznego ilustrowania hasel, wreszcie — szanse na aktualność przy ewentualnych korektach. Przygotowanie i prowadzenie „Leksykonu polskiej muzyki rozrywkowej” na małym ekranie powierzono trzem wieloletnim krytykom muzycznym: Dariuszowi Michalskiemu, Ryszardowi Wołańskiemu i Andrzejowi Witkowskiemu, co wydawało mi się dodatkowym atutem. Jednak już dziś mogę powiedzieć, że „Leksykon” bardzo mnie rozczarował i to nie dlatego, że nie umieszczono w nim hasła z moim nazwiskiem, bo będąc ponoc umieszczony w aneksie gdzieś za rok z hakiem, a może i dalej. Wiadomości jest autorytatywna; pochodzi bowiem od jednego z autorów cyklu.

Jeżeli jednak autorzy i realizatorzy „Leksykonu” zdecydowali się tak właśnie nazwać ten cykliczny program, to dlaczego dla omawianych nazw, nazwisk, wyrazów i pojęć nie zachowują choćby układu alfabetycznego — owszem literki idą po kolei, ale już co do drugiej litery panuje całkowita dowolność (Dudziak jest zaraz obok Debicha, a Exodus przed Elkana, a za nią Extra Ball). Wydaje mi się, że przyjęcie — nawet z nazwy — formy encyklopedycznej zobowiązuje.

Poza tym wątpliwość budzi dobór prezentowanego materiału — ot, choćby umieszczanie hasel będących tytułami „piosenek. Dobrze, gdy był to autentyczny duży przebieg, ale co w towarzystwie szlagierów robiła np. mniej niż średnio popularna piosenka „Dom w malwy malowany”? Wiem, że autorzy dysponowali akurat telewizyjnym nagraniem tego utworu i chcieli podawać wiadomości o kraś piosenką, lecz na tej zasadzie można by włączyć do tego programu coraz to nowe utwory stare i nowe, znane i nie znane. A „Leksykon” by się rozrastał... Inna sprawa, też dotycząca doboru hasel. Skończyła się litera „D”, toteż mam pytanie: gdzie było hasło „Renata Danel”? Czyżby ze mało znane? Uważam, że w prezentowanym dotąd zestawie wcale nie raz — wręcz przeciwnie. Dlaczego nie znalazło się w minionych odcinkach „Leksykonu” hasło „Andrzej Dyszak”? Dlaczego brakło hasła „Anita Dymaszówna”? Ich profesje z muzyką, ze śpiewaniem wiążą się przecież ściśle. Takich „dlaczego” mogłoby być daleko więcej, gdyby sięgnąć jeszcze do wcześniejszych edycji tego wspaniałego ABC. I niezbyt miarodajnym będzie tutaj wyjaśnienie, że w przypadku tego czy innego wykonawcy autorzy nie dysponowali materiałem ikonograficznym. Już przed premierą pierwszego fragmentu „Leksykonu” należało o taki materiał się postarać, a jeśli było to niemożliwe — przyjąć taką formułę, która nikogo by nie krzywdziła. Bo — z drugiej strony — nie bardzo chce mi się wierzyć w to, że w archiwach Telewizji Polskiej leżały i czekały prywatne zdjęcia niektórych twórców polskiej piosenki, a autorzy „Leksykonu” po prostu je tam znaleźli.

Zastrzeżenia może też budzić komentarz do poszczególnych hasel — nierówny, jakby źle wyważony; do jednego hasła tylko encyklopedyczne objaśnienie, do innego — publicystyczno-felietonowe omówienie. Zaś podstawowa niezręczność w tym całym przedsięwzięciu jest brak stałej porzy prezentowania kolejnych odcinków „Leksykonu polskiej muzyki rozrywkowej”, ale za to nie można winić autorów — raczej redaktorów programowych.

Zatem — góra urodziła mysz. Pocięszający jest jedynie fakt, że wzięto na warsztat wyłącznie polską muzykę, w której większość z telewidzów jako tako się orientuje. Gorzej gdyby z tego „Leksykonu” chcieli nas uczyć muzyki rozrywkowej w ogóle. A swoją drogą, jeśli ten felieton dotrze do autorów telewizyjnego „Leksykonu polskiej muzyki rozrywkowej”, to już nie będzie mnie chyba także w aneksie gdzieś za rok z hakiem, a może i dalej. Trudno, poczekam.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Kronika kulturalna

Dn. 28 listopada br. w Dużej Sali Teatru Nowego odbędzie się premiera „Sześciu Skopien” Mollera, w reżyserii Marii Kaniowskiej, ze scenografią Jolanty Kunkel. Grają w niej: Danuta Rynkiewicz, Krystyna Tołewska, Barbara Wajkówna, Ludwik Benoit, Ryszard Stogowski, Bogusław Semotiw, Witold Krasucki, Stefan Niemierowski, Jacek Paolak, Adam Gwara, Marek Jasinski i Jan Kasprzykowski.

W minioną środę w Centralnym Muzeum w Warszawie w Łodzi otwarto wystawę „Tkanina artystyczna CEPELII 1982”. Zgromadzone na niej 551 prac nadesłanych z 23 spoiłzeń z terenu całej Polski. Wystawa jest prezentacją dorobku spoiłżelni artystycznych w Centralnym Związku Spoiłżelni Rękodzieła Ludowego i Artystycznego.

W Salonie Sztuki Współczesnej czynna jest wystawa prac Kazimierza Wasy. Kazimierz Was jest absolutnie łódzkim PWSzP. Przez wiele lat uprawiał grafikę użytkową, nie zapominając jednak o malarstwie. Ekspozycja prezentowana obecnie jest pierwszą wystawą malarstwa Wasy. Pokazuje na niej 46 akwale i wszystkie związane są tematycznie z baletystyką i historią.

W Domu Kultury RONDO 20 listopada odbył się wieczór poezji i piosenki patriotycznej pt. „Rozkwitły paki białych róż”. Wykonawcą był chor. im. Karola Szymanowskiego.

Teatr Powszechny w Warszawie, 21 listopada wysuwał z drugą już w tym sezonie premierą. Tym razem była to sztuka amerykańskiej autorki, Marthy Norman „Wysze”. Premiera ta była jednocześnie polską premierą tego dramatu. Przedstawienie reżyseruje Zygmunt Hubner, scenografią projektował Paweł Dobrzycki. Sztuka to przede wszystkim wielki popis gry dwóch bohaterów: młodułki dziewczyny i jej matki, zwolnionej niedawno z więzienia. W warszawskim przedstawieniu rolę te odwarzają Joanna Zółkowska i Ewa Dalkowska. Akorkom partnerują: Gustaw Lutkiewicz, Andrzej Grzegulewicz, Mirosława Dubrawska i Anna Mozdzanka.

W Gdańsku zakończył się 4-dniowy trzypięciodniowy IV Ogólnopolski Konkurs Tańca i Choreografii, organizowany przez Departament Muzyki MKiS, Zarząd Sztuki Artystycznych, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku oraz Operę i Filharmonię Bałtycką. Do uczestnictwa w konkursie zgłosiło się około 30 kandydatów w dwóch kategoriach: tancerzy profesjonalnych i uczniów szkół baletowych.

Jury Międzynarodowego Komitetu dla Książki dla Dzieci i Młodzieży (IBBY) przyznało Złoty Medal Nagrody im. H. C. Andersena znanemu artyście-grafikowi, Zbigniewowi Ryhliciemu, za wybitne osiągnięcia artystyczne w dziedzinie ilustracji książek dla dzieci. W swojej 25-letniej działalności IBBY uhonorował dotychczas tym niezwykle cennym odznaczeniem zaledwie 17 twórców, wśród których Zbigniew Ryhlicki jest pierwszym Polakiem. Dyplomy honorowe IBBY przyznał także Małgorzacie Musierowicz za książkę „Kwiat kalafioru” i Wiesławowi Majchrzakowi za ilustracje do „Walcu panny Ludwiki” H. Januszewskiej, których książki IBBY w tym roku wpisał na światową listę andersenowskich bestsellerów literatury dziecięcej i młodzieżowej.

W Oddziale Martyrologii i Walki na Radogoszczu MHR udośćpioną została zwiędającym nowa wystawa czasowa pt. „Społeczeństwo łódzkie w walce z hitlerowskim okupantem”. Prezentująca, po raz pierwszy w tej formie szeroki front walczących reprezentujących różne siły polityczne oraz najbardziej charakterystyczne formy walki na tym terenie. Szczególny akcent w treści wystawy położony został na zaprezentowanie, mniej znanego, pierwszego okresu okupacji, w którym powstała spontanicznie wiele grup oporu reprezentujących wielość postaw politycznych, z których dopiero w późniejszym okresie wykrystalizowały się dominujące w podziemiu łódzkim: Polska Partia Robotnicza i jej siła zbrojna Gwardia Ludowa oraz Armia Krajowa. W wystawie wykorzystane zostały materiały w części po raz pierwszy wystawione, jak przykładowo gazetki i biuletyny Polskiej Organizacji Bojowej, wiele nie znanych zdjęć ludzi konspiracji, podrobionych po mistrzowsku dokumentów, informacji, wywiadowcze i inne.



Foto: Jerzy Neugebauer

nica, za zdradę której grozi śmierć.

O ile Morze Śródziemne słynie ze statków-widm, dowodzonych przez „zalegalizowanych” piratów, to na innych akwenach korsarstwo przybiera rozmaite, czasem wręcz okrutne dla załogi czy pasażerów, formy napaści.

Wybrzeże Florydy. Łupem piratów działających w pobliżu 1300-kilometrowego wybrzeża Florydy stają się przede wszystkim luksusowe jachty, ślizgacze i łodzie spacerowe. Z rzadka chodzi tu o grabież mienia znajdującego się na tych jednostkach, na ogół bowiem celem rabusiów są same jachty czy łodzie, które potrzebne są do przemytu narkotyków.

rejsów przemysłowych. Aby zatrząć po sobie ślady, piraci zatapiają jacht bądź pozorują katastrofę. Niektóre zagarnięte jachty piraci wyposażają — jak stwierdza policja amerykańska — w nowoczesną aparaturę, do podłuchu rozmów radiowych prowadzonych przez kutry patrolowe organizacji do walki z przemytem morskim, zwanej EPIC.

Według statystyk amerykańskich, w ubiegłym dziesięcioleciu piraci uprowadzili na wodach oblewających Florydę około 700 jednostek, a w czasie tych aktów bandyckich zginęło co najmniej 2000 ludzi. Z pewnością liczba zarejestrowanych porwań byłaby więk-

O tym jak wyrafinowana technika stosują tamtejsi piraci i jak duże stanowią oni niebezpieczeństwo dla żeglugi, najlepiej może świadczyć, że do walki z nimi kraje ASEAN (Indonezja, Filipiny, Malesja, Tajlandia i Singapur) muszą angażować lotnictwo. Tak było m. in. w przypadku zaatakowania i opanowania panamskiego frachtowca o wyporności 7.700 ton, który płynął z ładunkiem z Japonii do Sri Lanki. Dzięki właśnie samolotom wojskowym udało się odbić tę jednostkę.

Ale na ogół ofiarami napaści w tej strefie są kutry rybackie i mniejsze statki pasażerskie oraz transportowe. Piraci opanowawszy jednostkę zabierają ładunek, grabią kosztowności wzięte przez pasażerów, a niekiedy wymuszają od załogi okup. Statki lokalnej żeglugi ponoć regularnie wnoszą okup piratom, za co ci ostatni gwarantują im „bezpieczeństwo rejsu”. Organizacje pirackie, a także przemysłowcy, związane są ze skorumpowanymi strażnikami wód przybrzeżnych.

Zatoka Syjamska. Plaga piractwa w tej zatoce rozwija się zwłaszcza w związku z ucieczkami Wietnamczyków na łodziach do pobliskiej Tajlandii. Napaści na łodzie uchodźców (jest to z zasady element związany z dawnym reżimem sajskońskim), dokonują grupy bandyckie składające się albo z Wietnamczyków (kryminalistów, którzy opuścili kraj), albo z Tajlandczyków uprawiających piractwo w Zatoce Syjamskiej już od dawna. W 8 na 10 przypadkach sprawcami tych napaści są Tajowie.

Jak podaje Biuro Wysokiego Komisarza ONZ do spraw uchodźców w Bangkoku, w ubiegłym roku niemal 80 proc. łodzi z uciekinierami zostało zaatakowanych przez piratów. Niektóre załogi próbowały się bronić — w walce obronnej zginęło około 500 Wietnamczyków. Kilkaset kobiet i dziewcząt piraci uprowadzili do Tajlandii.

Podczas gdy piraci pochodzenia wietnamskiego z reguły dokonują tylko grabieży pieniędzy i kosztowności, to Tajowie znani z wrogości wobec Wietnamczyków, dziesiątkują załogi pod brykretkstem. W ostatnim jednak czasie pod wpływem protestów organizacji międzynarodowych i dzięki pomocy finansowej niektórych krajów, a zwłaszcza USA, policja tajlandzka podjęła walkę z tym bandytyzmem.

Różne formy rabunków na otwartych morzach niepokoją Międzynarodową Morską Organizację Konsultatywną, IMCO z siedzibą w Londynie. Organizacja ta szacuje, że akty piractwa na wodach wschodniej części Morza Śródziemnego, w rejonie Afryki, Ameryki Łacińskiej i u wybrzeży Azji, rocznie przynoszą straty w wysokości czterech miliardów dolarów. Na skalę problemu wskazuje również fakt, że w bezkarności piraci sięgają po... tankowce. Tak właśnie było w styczniu 1980 roku, gdy załoga płynącego pod liberyjską flagą tankowca sprzedała ropę w innym niż port docelowy miejscu i... zatopiła statek.

Państwa morskie powołały specjalną grupę roboczą, która rozważa środki przeciwdziałające narastającemu piractwu i innego rodzaju przestępności na pełnym morzu. Przede wszystkim postulują one zaostrzenie i ujednolicenie międzynarodowych przepisów obowiązujących w portach, a także zaostrzenie wymagań przez towarzystwa ubezpieczeniowe w stosunku do tzw. „tanich bander”: greckiej, cypryjskiej, liberyjskiej, honduraskiej, panamskiej itd. Kraje te oferują armatorom duże korzyści: zyski nie podlegają opodatkowaniu, jedyny podatek obliczany jest od tonażu i to w o wiele mniejszym procencie niż w innych krajach. Ponadto władze morskie w tych krajach nie dokonują ani regularnych inspekcji w celu ustalenia warunków bezpieczeństwa żeglugi, ani też nigdy nie sprawdzają sprawności statku. IMCO domaga się też, poza zaostrzeniem kontroli statków w portach, stosowania wyższych sankcji w stosunku do kapitanów i załóg winnych zagarnięcia ładunku na statku i sprzedania go poza miejscem przeznaczenia.



Piractwo morskie, które jest coraz częściej poruszonym tematem w prasie zachodniej, dostarczyło nie lada kłopotu Koronie Holenderskiej. Otóż z pozwem do tej Korony o 30 miliardów koron wystąpił spokojny, nie wadzący dotąd nikomu, mieszkaniec Oestersund w Szwecji, Kurt Eriksson. Powołując się na swoje związki rodzinne z XVIII-wiecznym piratem, z którym rząd haski miał zawrzeć pakt o podziale łupów, a którego nie przestrzegali, obliczył iż właśnie z odsetkami należy mu się kwota 30 miliardów koron szwedzkich, tj. ponad 7 miliardów dolarów. Jestem święcie przekonany, iż sprawiedliwość stanie się zadość — powiedział Kurt Eriksson.

Mafia morska i ...piraci

HENRYK SROCYŃSKI

Piraci korzystając z tego, że każdy bogaty właściciel jachtu doбира zaogę tuż przed rejssem, podstawią im swoich ludzi. Ci wyprowadzają jednostkę na pełne morze, wyrzucają pasażerów za burtę i dostarczają jacht w umówione miejsce. Porwana jednostka, która przepływa wśród setek innych jachtów czy łodzi w tej ruchliwej strefie, zwykle nie jest kontrolowana przez celników i policję — rzadko służby morskie zakładają spójkę załogom superluksusowych jachtów. Porwane jednostki wykorzystuje się co najwyżej do jednego lub dwu

szła, gdyby nie to, że właściciele jachtów, jeśli sami nie znajdowali się na pokładzie, ukrywali prawdziwą przyczynę zatonięcia statku. Towarzystwa ubezpieczeniowe nie wypłacają bowiem odszkodowania za jednostki skradzione lub uprowadzone przez piratów.

Cieśnina Malakka. Na tej drodze morskiej między Półwyspem Malajskim a Sumatrą (szlak prowadzący na Daleki Wschód) piractwo ma wielkie tradycje. Kontynuują je gangi, w skład których wchodzi Malajowie, Indonezjczycy i Filipinczycy.

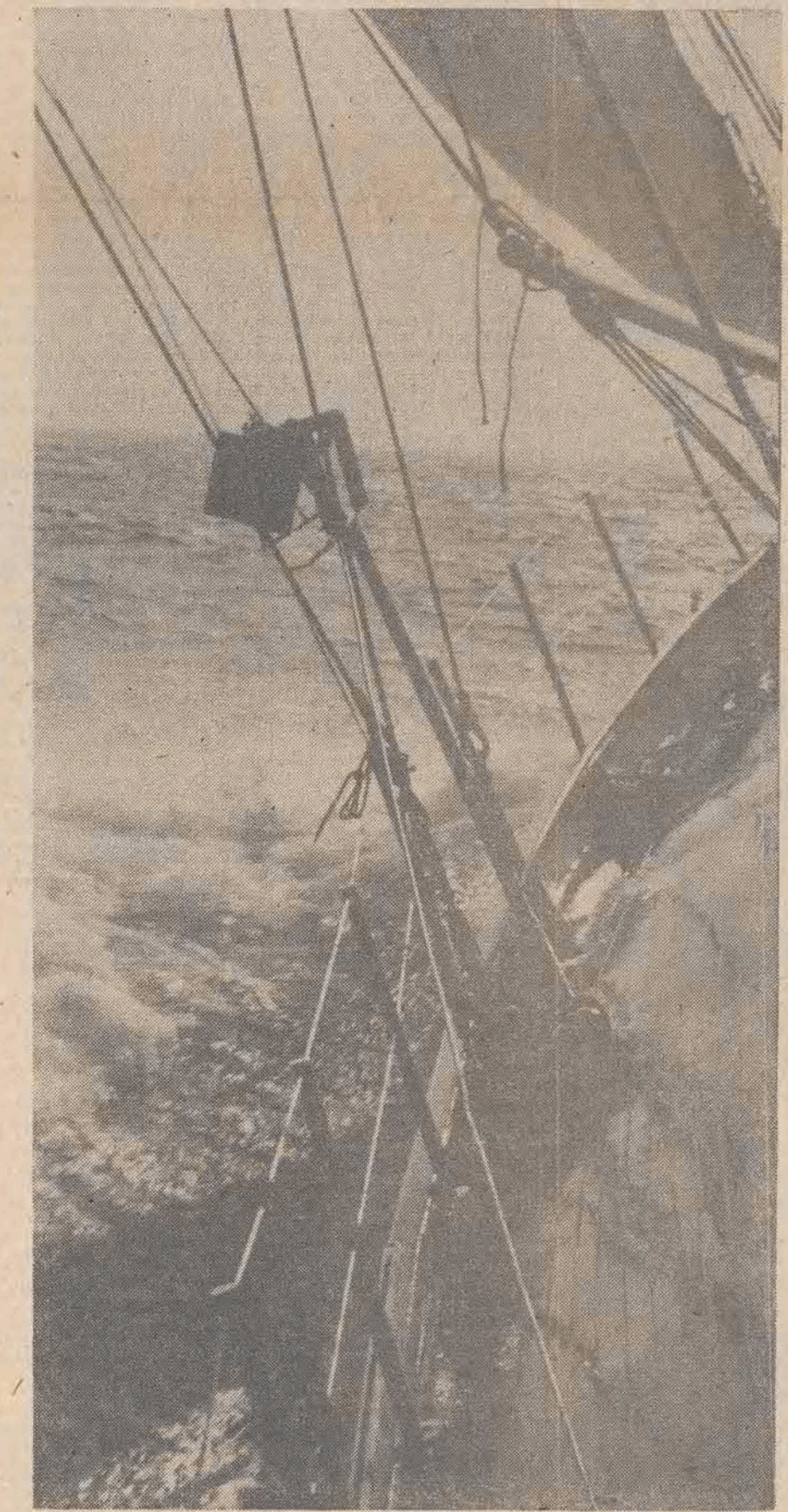


Foto: Tomasz Zydler

Practwo morskie, które bujnie rozwinięło się po podboju Nowego Świata i przez wieki inspirowało literaturę przygodową, praktycznie nigdy nie zaginęło. Ostatnie lata zdają się dowodzić, że ponownie wkracza ono w fazę rozkwitu. Wskazuje na to nie tylko coraz większa liczba przypadków atakowania statków, ale przede wszystkim plaga kradzieży ładunków organizowana przez bardzo sprawnie działającą mafie morską.

U wybrzeży Morza Śródziemnego, jak swego czasu relacjonował tygodnik zachodniemiecki „Der Spiegel”, całe statki wraz z ładunkiem i załogą znikają bez śladu — zmieniają w czasie rejsu nazwę i banderę, by móc sprzedać fracht w zupełnie innych portach. Państwa zlecające fracht, a są to najczęściej ubogie kraje Trzeciego Świata, daremnie oczekują na swoje towary. Firmy przeladunkowe nie otrzymujące zapowiedzianych ładunków, są zupełnie bezradne, gdyż towarzystwa żeglugowe, które przyjęły zlecenia, pojawiają się i znikają. Pościg za rabusiami organizowany przez oszukanych importerów bardzo rzadko przynosi rezultaty. A jeszcze trudniej odzyskać ładunki czy zwrot poniesionych strat. Oto kilka typowych przykładów działania mafii morskiej:

Jemen Północny zakupił w Singapurze i Bombaju drewno zlecił przewóz frachtu greckiemu statkowi „Crestan Palm”. Gdy minął termin przybycia statku z ładunkiem, Jemeńczycy rozpoczęli poszukiwania jednostki. Dowiedzieli się — po upływie kilku tygodni — że statek ten pod nazwą „Gloria” zawinął do Bombaju nad Zatoką Perską i sprzedał cały ładunek jednemu z miejscowych kupców.

Ale „Gloria” również nie można było odszukać, w międzyczasie bowiem frachtowiec otrzymał nową nazwę — „Maria S.” i został skreślony z rejestru statków w porcie macierzystym, Pireusie. Udało się jednak odnaleźć armatora. Grek tłumaczył się na różne sposoby i wreszcie zaofiarował wystawienie zaświadczenia o... zatonięciu statku; zaświadczenie miało umożliwić uzyskanie odszkodowania w firmie ubezpieczeniowej. Uparci Jemeńczycy doprowadzili do licytacji statku — zawiedli się jednak, gdyż pieniądze ze sprzedaży jednostki zagarnął Narodowy Bank Grecji; statek był obciążony długami hipotecznymi.

Podobnie Nigeryjczycy musieli się pogodzić ze stratą 5 tys. ton cementu zakupionego w Europie. Grecki frachtowiec, który miał dostarczyć ten ładunek do portów Warri i Apapa, zmienił po drodze nazwę i sprzedał cement w Port Sudanie. Po kolejnej zmianie nazwy i kolejnej próbie kradzieży ładunku, celnicy w Port Saidzie wykryli oszustwo. W ostatniej jednak chwili udało się frachtowcowi zbiec. Inny, również grecki frachtowiec, miał dostarczyć 11 tys. ton cukru do portu tunezyjskiego, sprzedał cały ładunek w libańskim Porcie Saïda.

Natomiast nie udało się mafii morskiej oszukać Somali. Kiedy grecki frachtowiec „Lord Byron” przywiózł jej zamówiony transport cukru, w czasie rozładunku okazało się, iż brakuje 85 proc. frachtu. Władze w Mogadiszu natychmiast skonfiskowały statek i całą załogę wsadziły do więzienia. Kapitan, który stanął przed sądem wojskowym, tłumaczył się że być może omyłkowo załadowano zbyt mało cukru. Nie dano temu wiary i przysądzono mu 4 lata więzienia; zmarł w kilka miesięcy po zakończeniu procesu.

Największe w świecie towarzystwo ubezpieczeniowe statków, Lloyd, zatrudniające w ostatnich latach licznych detektywów, stwierdza, że nagminnie są przypadki zatapiania jednostek po uprzednim sprzedaniu skradzionego ładunku. Często też pozorowane są katastrofy, które jednak dla niczego nie podejrzewającej załogi, niekiedy kończą się ofiarami śmiertelnymi. W tego rodzaju przestępczym procederze przodują armatorzy greccy: flota tego kraju jest najliczniejsza na świecie, ale też posiada największy odsetek starych jednostek. Podczas gdy sprytni oszuści robią wielkie interesy na tych wrakach towarzystwa ubezpieczeniowe ponoszą ogromne straty.

Jednakże w ostatnich latach wielkie firmy ubezpieczeniowe dobrały się do skóry „neopiratom”, zwłaszcza spod bander greckiej, cypryjskiej i honduraskiej. Po prostu nałożono wyższe stawki ubezpieczeniowe dla starszych jednostek oraz wyższe stawki dla towarów przewożonych tymi weteranami. Wprawdzie greckie ministerstwo marynarki handlowej protestowało, ale towarzystwa ubezpieczeniowe nie ustąpiły. Zagroziły też dalszymi restrykcjami, jeśli władze morskie szczególnie Grecji, nie wystąpią przeciwko korsarstwu. Trzeba powiedzieć, że te posunięcia Lloyd'a i innych firm skutkowały — w wielu portach zagranicznych pojawiły się specjalne ekipy oficerów policji portowej, które sprawdzają dokumenty, sprawność statków oraz poszukują zaginionych jednostek. Metody działania mafii morskiej są jednak bardzo trudne do rozszyfrowania, a ponadto te działalności pozbawiona skrupułów otacza tajem-

Komu lepiej? Bezrobotnym. Niż gdzie? Niż w USA. Taka jest bodaj myśl przewodnia, a w każdym razie konkluzja artykułu hamburskiego „Spiegla” w 36 numerze z 18 września br., zatytułowanego lakonicznie i wymownie: „Tragedia”. Artykuł pisany jest zresztą pod kątem perspektyw wyborczych w dniu 2 listopada i stawia sobie pytanie, w jakim stopniu wzrastające w USA bezrobocie może wpłynąć na nastroje wyborców — czy zmieni układ sił na niekorzyść rządzącej Partii Republikańskiej, której przewodnił prezydent Reagan.

Wyniki wyborów już znamy, wzmocniły one wprawdzie pozycję Partii Demokratycznej, w mniejszym jednak stopniu, niż przewidywała opozycja. Ale przejdźmy do konkretnych, tj. do sytuacji na amerykańskim rynku pracy i do położenia życiowego bezrobotnych. Otóż według danych z 1 września liczbę ich ocenia się (bo nie ma rejestracji, jedynie sondażowe badania) na 11,3 mln (więcej niż kiedykolwiek od czasu wielkiego kryzysu sprzed pół wieku), czyli co dziesiąty Amerykanin w wieku produkcyjnym (10,1 proc.) pozostaje bez stałego zajęcia. Nie obserwuje się przy tym żadnych oznak zahamowania tej tendencji, przeciwnie, ostatnie dane mówią już o 12 mln bezrobotnych, a kryzys ekonomiczny zaczyna coraz silniej dotykać, oprócz pracowników najemnych, również drobne prywatne przedsiębiorstwa, z których, jak obliczono, co sześć minut jedno przestaje istnieć. Nic więc dziwnego, że ponad połowa ankietowanych Amerykanów za największe zło, wśród innych niebezpieczeństw zagrażających krajowi, uważa bezrobocie.

Na tym tle interesujące przedstawia się przeprowadzone na łamach „Spiegla” zestawienie sytuacji bezrobotnych w USA i RFN, gdzie bezrobocie osiągnęło w tym samym czasie 7,5 proc. zasobów siły roboczej. Gdy jednak w Republice Federalnej zasiłek bezrobotnego w ciągu pierwszego roku pozostania bez pracy wynosi 68 proc. dotychczasowego zarobku netto, a po upływie roku 38 proc., to w Stanach Zjednoczonych wypłacany jest tylko przez dłużej miesięcy i nie przekracza przeciętnie 50 proc. poprzedniego zarobku. Owa „przebiegłość” bierze się stąd, iż poszczególne stany, w zależności od zasobności środków budżetowych, wypłacają niejednakowo, toteż rozpiętość zasiłków pomiędzy stanem najbiedniejszym (Alabama) i najbogatszym (Ohio) jest blisko trzykrotna.

Ale co dalej, po upływie wspomnianych trzech kwartałów? Po prostu zasiłek ustaje, a ponieważ na 1 września korzystało z niego okragło 5 mln obywateli amerykańskich, nieludnie wyliczyć, że liczba bezrobotnych nie otrzymujących żadnego państwowego (stanowego) wsparcia przekroczyła 6 milionów.

Nie oznacza to, że większość bezrobotnych w USA po prostu umiera z głodu, istnieje bowiem (oprócz akcji charytatywnej) rozwijający się coraz silniej „czarny rynek pracy”, tj. zatrudnienie nie rejestrowane (dla uniknięcia podatków) i — jak nie bez dumy podkreśla „Spiegel” — „czarny rynek” jest w Stanach Zjednoczonych wielokrotnie większy niż w RFN. Miliony bezrobotnych Amerykanów mają więc najrozmaitszych przygodnych zajęć: „doceni prowadzą taksówki, wykwalifikowani robotnicy czyszcza rynny na dachach, a małżeństwa trwają w pogotewiu, by załadować się z dziećmi i bagażem do auta i szukać pracy w innych stanach”.

Wielu czytelników przypomni sobie może tutaj, tłumaczone kiedyś na polski, opowiadanie amerykańskiego pisarza Erskina Caldwell'a „Droga tytoniowa” opisujące wędrowkę zgłodniałego bezrobotnego Amerykanina w czasach wielkiego kryzysu po drogach kraju w poszukiwaniu pracy, oczywiście — własnym samochodem, którego nie dałoby się spieniężyć na chleb, i niejedną z nas wtedy zdumiewał się, jak to możliwe, mieć samochód i głodować!

A co na tę sytuację rząd USA? Ludzie z ekipy Reagana w swoich wypowiedziach dają wyraz poglądom, że przedsięwzięcie mechanizmu gospodarczego układu kapitalistycznego „samoczynnie” obecny kryzys przeczyszcza (bo tak przecież w istocie „Jessefervm” należy rozumieć). Nie ma więc powodów, żeby państwo wkraczało z bezpośrednią interwencją.

Na marginesie artykułu „Spiegla” może nasunąć się refleksja, jak wielu jest Amerykanów — czy to wśród bezrobotnych, czy wśród przeżywających lek przed utratą pracy, którzy emocjonują się antywojską kampanią propagandową prezydenta Reagana...

Oprac.: J. K.

Dokończenie ze strony 1

dzi nam potrzeba.

A skoro już jestem przy trenerach, to muszę powiedzieć, że trener Władysław Żmuda idealnie dopasował się do koncepcji Zarządu. Ważne również, że bardzo dobrze i trenerowi, i asystentowi układa się współpraca. Stanowią zgraną i umiejącą szkolić parę. I mają jedną bardzo ważną zaletę — są cierpliwi. Jeśli zdecydują się wziąć zawodnika do zespołu, a jemu coś nie wyjdzie, to nie odsuwają go od razu, tylko cierpliwie uczą i szkolą. Są dobrymi fachowcami. Dziś w piłce nożnej potrzeba przede wszystkim fachowców. Również działacze powinni dobrze znać się na piłce nożnej, żyć sprawami klubu, jego tradycjami.

— Macie także wiernych kibiców.

— Mamy. I to starych kibiców, którzy już od lat przychodzą na treningi. Cieszy ich każdy sukces klubu. Gdybyśmy coś źle zrobili, to musielibyśmy się wstydić przed tymi ludźmi.

— Ale macie też i przeciwników.

— A kto ich nie ma?

— Zapewne. Ale pamiętam, jak mówiono, że w Łodzi nie potrzeba dwu drużyn w pierwszej lidze. Wietrzono różne afery.

— Władze łódzkie są nam przychylnie i pomagają wiele. Ale w niektórych środowiskach patrzy się niechętnie na nasze wyniki. Są i dziennikarze, którzy niezbyt obiektywnie piszą o klubie i drużynie. Nie jestem przeciw krytyce. Jak jest coś do wytknięcia, to trzeba wytknąć, ale nie robić zaraz z igły wideł. A tak bywało. I bywa.

Myślę, że wielu ludzi nie pojmuje właściwie zdrowej, sportowej konkurencji, między Widzewem a ŁKS. Konkurencja musi być. To naturalne. Nie można jednak konkurować w atmosferze fanatyzmu. Gdyby nam coś się nie udało, to nie oszczędnosć by nas. Przykre to, co mówię, ale w Łodzi szczególnie nie lubi się tych, którym coś się udaje.

— W kraju są też tacy, którzy nie darzą was sympatią.

— Bierze się to — jak sądzę — z konkurencji między Widzewem i Legią, między Widzewem i klubami śląskimi, a także między Widzewem a wrocławskim Śląskiem.

— W PZPN też was nie kochają.

— Nie muszą nas kochać, bo nie jesteśmy do kochania, tylko do grania w piłkę nożną. Ze traktują nas ostro? Robią słusznie. Widzew rzeczywiście za dużo zbiera kartek na boisku. Ja lubię ostrą grę, ale musi ona utrzymywać się w przewidzianych normach. Zawodnicy czasem wychodzą poza te normy. I te dyskusje z sędzią. Sędziowie się mylą — bywa. Innych traktują łagodnie. Też bywa. I co z tego? Dyskusja na boisku nic nie da. Trzeba raczej lepiej się do meczu przygotować, lepiej trenować i lepiej grać. To jedyna wyście. Innej rady nie ma.

— Jak pan sądzi, czy szacunek, jaki zaczynacie budzić w Polsce, bierze się z waszych wyników, czy z tego, że uważa się was za bogaty klub?

— Myślę, że dzięki naszym wynikom.

— Nie zaprzeczy pan, że jesteście potentatem.

— Proszę zwrócić uwagę, że pod względem finansowym zaw sze sobie radziliśmy. I również wtedy, kiedy nie było tych wielkich pieniędzy. Po prostu Zarząd zawsze gospodarował pieniędzmi oszczędnie, z główkiem w ręku. Nie robiliśmy nic pochopnie i nadal nie będziemy robili.

A teraz o wielkich pieniądzech. Zdziwi się może pani, ale myśmy ich jeszcze nie oglądali i co ciekawsze — nie bardzo wiemy, ile tych pieniędzy będzie. Według moich obliczeń, powinno tego być od 100 do 110 milionów złotych.

— Może pan wie przynajmniej, kiedy te pieniądze dostaniecie?

— Nie wiem.

— Dlaczego pan nie wie?

— Bo mi nikt tego nie powiedział. Wprawdzie piszemy do władz sportowych, bombardujemy, ale odpowiedzi nie otrzymujemy. Więc skąd mam wiedzieć?

Powiem nawet pani, że trochę cieszę się z tego, że tych pieniędzy nie mamy jeszcze i że to się odwleka.

— Dlaczego?

— Boję się, żeby te pieniądze nam w głowie nie zawróciły, żebyśmy ich zbyt szybko nie wydali. Zastanawiamy się nawet w klubie, czy tych pieniędzy, jak już je otrzymamy, nie przeleć na specjalne konto w banku, żeby one nie weszły do normalnego obiegu finansów klubowych, a stanowiły niezbędną rezerwę. Chodź, nam w Zarządzie o to, żeby pracować ze stałą troską o fundusze, żeby nie zapanował błogi spokój, bo mamy fundusze i już nie musimy się martwić o pieniądze. Wtedy może zapanować demobilizacja, a tego boimy się najbardziej.

— Skąd wy w ogóle bierzecie pieniądze?

— Normalnie. Jak zawsze. Mamy duże dochody i wpływy z meczów. Wpływy z reklamy. Stypendia zawodnikom płaci państwo. Otrzymujemy dotacje, na rozbudowę urządzeń z Urzędu

Nie jesteśmy do kochania

Miasta Łodzi. Równoważymy budżet i prowadzimy, nawet teraz, sporo robót remontowo-budowlanych.

— Czy Klub sportowy może być samowystarczalny?

— To zależy. Jeśliby chciał być klubem tylko piłkarskim to wtedy trzeba na to popatrzeć inaczej, i inaczej, jeśli chce też prowadzić inne dyscypliny. Poza tym trzeba pamiętać, że kluby na Zachodzie nie liczą się z kieszenią kibica. U nas jest inaczej. 100 złotych za bilet — to już dużo i niejedyn kibic dobrze się zastanowi, czy je wydać, czy nie. Na Zachodzie nawet silne kluby mają mecenasów. Więc ja może raczej mówię o samodzielnosci niż o samowystarczalności.

— Jak pan to rozumie?

— Klub powinien być samodzielny, to znaczy samorządny, rozliczający się przed swoimi członkami ze swej działalności. Powinien posiadać swój statut, swoje regulaminy. Powinien być kontrolowany przez członków. Ale to — jak do tej pory — postulat. Przyszłość, i to chyba daleka. Sądzę jednak, że reforma gospodarcza dojdzie i do klubu. Musi dojść.

— Co w tym przeszkadza?

— Obowiązują nas przepisy GKKFIS. One hamują nasz rozwój. Musimy działać od kropki do kropki. Zabija to inicjatywę. Kluby powinny otrzymać samodzielność i odpowiedzialność za to, co robią i jak robią.

— Co wówczas robiłby GKKFIS?

— Prowadziłby działalność kontrolną i programowałby rozwój sportu i kultury fizycznej. Kluby powinny działać na zasadach podobnych do tych, jakie obowiązują w spółdzielczości. A tak musimy lawirować między przepisami. Przepis na przykład określa, ile wolno zapłacić za obiad zawodnika w czasie meczu wyjazdowego. Tylko, że dziś się zmieniły ceny. Dziś się za obiad płaci 400 złotych. W końcu zawodnik nie może być głodny. No i co robić?

Inny przykład. Potrzebny nam jest samochód osobowy. Musimy pisać do GKKFIS o pozwolenie, przydział, etat i tak dalej. Czy to nie śmieszne? A to nie jedyny przykłady. Można wyliczyć ich dużo więcej. Klub powinien mieć też swobodę w opłaceniu zawodnika. Ma to ulec zmianie, oby jak najszybciej. W niektórych klubach, mimo przepisów, płaci się zawodnikom wysokie stypendia.

— A w Widzewie?

— Jestem przeciwny wysokim stypendiom. Nasz zawodnicy dostają 12 tysięcy złotych, a reszta musi zarobić na murawie boiska. Uważam, że za dobrą grę trzeba dobrze płacić, ale za dobrą grę, a nie za to, że zawodnik jest w pierwszej drużynie.

— Mimo trudnej sytuacji nie rezygnujecie z ambitnych planów i powoli je realizujecie.

— Nie ukrywamy w Widzewie, że naszym celem jest stworzenie ligowego zespołu na dobrym europejskim poziomie. Byliśmy już blisko tego, kiedy grał Zbigniew Boniek, ale i ten młody zespół też rokuje takie nadzieje. Szukamy nadal młodych. Tych, którzy się w Widzewie nie przyjmują, oddajemy do innych drużyn. Oddaliśmy piłkarzy do łódzkiego Startu, do pabianickiego Włókniarza. Może kiedyś wrócą do Widzewa.

— Jeśli Widzew chce być drużyną na europejskim poziomie, to i boisko musi mieć odpowiednie.

— I będziemy mieli. Podnieśliśmy wały. Widownia może już pomieścić 25 tysięcy osób. Chcemy w najbliższym czasie uzupełnić brakujące ławki w sektorach za bramkami. No i nasz największy sukces — mamy już sztuczne oświetlenie boiska. Kupiliśmy je dość tanio, bo jeszcze po starych cenach, za 13 milionów złotych. Razem z instalacją powinno wynieść nie więcej niż 20 milionów złotych. To się nam szybko zwróci. Przecież teraz, za dwa mecze na stadionie ŁKS zapłaciliśmy 1200 tysięcy złotych.

— Dalsze plany?

— Za jakieś 3 lata chcemy przystąpić do nadania całego boiska. Mamy już zgodę na budowę nowej hali. Połowę kosztów inwestycyjnych pokrywa nam miasto. Myślimy o hotelu, restauracji i kawiarni. Gwarantuję, że za jakieś 3 lata Widzew będzie nie do poznania. Chcemy wszystko tak zrobić, aby się w przyszłości nie wstydzili naszego obiektu sportowego.

— I to mimo kryzysu?

— Co do tego ma kryzys? Trener Żmuda mówi o widzewskiej naturze. Może coś z tego jest. Wprawdzie do Łodzi przyjechał niedawno, ale już się czuje widzewakiem. Myślimy tu na Widzewie od dawna solidnie pracowali. Przecież, gdybym parę lat temu, kiedy jeszcze stała drewniana trybuna, kiedy drużyna dopiero wchodziła do pierwszej ligi, powiedział, co my tu chcemy zrobić, to by się wszyscy śmiali. Nikt by pewnie mi nie uwierzył. A dziś? Dziś to już nie ten sam stadion. Żeby jednak to osiągnąć, pracowaliśmy na to całe lata. Bez tej pracy i dziesięciu Boników by nie pomogło.

— Widzę, że jest pan optymistą.

— Jestem. Czyż można coś w życiu osiągnąć nie będąc optymistą? Bez optymizmu i pracy do niczego się nie dojdzie. Gdyby tylko połowa ludzi solidnie i rzetelnie pracowała, tak jak my tu, na Widzewie, to może byśmy już i kryzys mieli za sobą.

— Życzę więc dalszych sukcesów i realizacji ambitnych planów.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ



Foto: M. Zajdler

Nie wrócił z dalekiej podróży

Ludzi najczęściej ocenia się obiektywnie wtedy, kiedy odchodzi bezpowrotnie. Iż to krytycznych, złośliwych i niesprawiedliwych uwag powiedziano i napisano o Janie Ciszewskim. Zdarzało się to i mnie. Zarzucałam mu między innymi, że opowiada o tym, co chciałby widzieć na boisku, a nie o tym, co się tam rzeczywiście dzieje. Wypominałam mu, że się często myli, że nie rozróżnia zawodników...

Krytykowano go, nie zga-

dzano się z nim, nawet czasem wyśmiewano, ale go słuchano. Kiedy w telewizyjnym głosniku rozlegał się głos Jana Ciszewskiego: — witam państwa ze stadionu... — wiadomo było, że będziemy mieli ważne spotkanie piłkarskie. Był sprawozdawcą pięciu mistrzostw świata w Anglii w 1966 roku, a później w Meksyku, RFN, Argentynie i Hiszpanii. Był sprawozdawcą wielu ważnych spotkań międzynarodowych. Komentował me-

najlepszych drużyn piłkarskich świata. Relacjonował pamiętny mecz na Wembley. Listę meczów, które komentował dla telewizorów Jan Ciszewski można długo jeszcze wymienić.

Pracę dziennikarską rozpoczął w 1952 roku w rozgłoszeni Polskiego Radia w Katowicach. Był uczniem najpierw Witolda Dobrowolskiego, a później Romana Paszkowskiego. To oni kształtowali jego osobowość radiową i telewizyjną. Umiał, jak rzadko kto, pogodzić dwa gatunki dziennikarskie — komentowanie w radiu i telewizji. Nie wszystkim to się udało. Dobry sprawozdawca radiowi nie zawsze sprawdzają się w telewizji. Jemu to się udało. Był bowiem indywidualnością. Od 1964 roku przeszedł z radia katowickiego do katowickiej telewizji. Od 1974 roku pracował w telewizji warszawskiej.

Napisałam kiedyś, że tacy sprawozdawcy radiowi i telewizyjni, jak Bohdan Tomaszewski, Bohdan Tuszyński, Jan

Ciszewski nie wychowali następców. Może dopiero wyrosną. Tak się niewątpliwie stanie, które są prawa życia. Ale nie ulega wątpliwości, że po Janie Ciszewskim pozostała pustka. Długo jeszcze, siadając przed telewizorem w czasie ważnego meczu międzynarodowego, będziemy czekać, że znów rozlegnie się znajomy głos...

Był bez wątpienia indywidualnością. Mylił się, popełniał błędy językowe. Miał swoje ulubione powiedzonka, które później powtarzała cała piłkarska Polska, jak choćby słynne już „Peruuu, zeroo”. Jedni go lubili, inni wręcz nie znosili. Jednych denerwował, inni nie wyobrażali sobie meczu bez jego sprawozdania. Takie uczucia, taki stosunek wywołują u odbiorców tylko ludzie mający silną indywidualność. Ludzie nijący nie wywołują żadnych uczuć i reakcji.

Jan Ciszewski — jak się okazuje — był człowiekiem ciężko chorym. Napisał o tym

zresztą Andrzej Makowiecki w swojej książce o Mistrzostwach („Espana 82, nerwy, radość, zwątpienie, zwycięstwo”, KAW Łódź 1982, str. 128—129):

„Imponująca była postawa Ciszewskiego. Ten starszy już, schorowany człowiek (wybacz, Jan!) postanowił przeprowadzić transmisję z ostatniego polskiego meczu, aczkolwiek wadze telewizji, nie chcąc go narazić na tak wielki wysiłek, gotowe były wystąpić do Alicante jednego z młodszych sprawozdawców: Stanisława Pawliczaka lub Andrzeja Szeląga. Niech sobie kręcą o Ciszewskim co chcą, ale pokazał w tym wypadku wielki hart ducha.”

Ciekawa jestem, co by powiedzieli telewizorowi, żeby go, ważnego przecież dla polskich kibiców i polskiej drużyny meczu, nie komentował właśnie Jan Ciszewski. I on chyba zdawał sobie z tego sprawę. Być może powiedzieli, że Ciszewski spił się i nie mógł sprawozdawać. Czego to

bowiem ludzie dziś nie wymyślą, jakich złośliwości i podłości nie są gotowi się dopuścić. Chory Jan Ciszewski komentował ostatni mecz w swoim życiu. Zwycięski mecz dla polskiej drużyny, radosny mecz dla polskich kibiców. A potem zamilkł...

Kilka dni przed śmiercią zadzwonił do redakcji katowickiego sportu z wiadomością, że nie pójdzie na emeryturę, że wraca do pracy w telewizji. Mógł wtedy powiedzieć — tak to sobie wyobrażam — „wróciłem z dalekiej podróży”, tak wiele razy mówił komentując mecze piłkarskie. Nie wrócił. Udał się w tę daleką podróż...

Kiedy będziemy wracali w telewizji do dawnych meczów, kiedy zechcemy przeżyć to jeszcze raz, wtedy znów usłyszymy znajomy głos i wspomnimy Jana Ciszewskiego, który odszedł i pozostawił po sobie pustkę.

BOGDA MADEJ

14

Eva obudziła się od razu odświeżona spokojnym, mocnym snem. Przez kilka chwil nie mogła zrozumieć, w jaki sposób się tu znalazła, ale potem ostatnie wydarzenia ożyły w jej pamięci. Oby się tylko nie okazało, że to wszystko jej się przyśniło. Ale nie, notatka zostawiona na stoliku upewniła ją, że załoga „Fiolka” naprawdę przyleciała. Obok stolika stał lekki blaster. Po tylu dniach samotności, wypełnionych niewiadomym, strachem i goryczą, pojawienie się nawet jednego człowieka byłoby dla niej wielkim szczęściem.

A tych czworo... Oni na pewno rozwiążą splątany kłębek wydarzeń na Pustelniku. A jeśli nawet nie... Przyleci „Warszawa” ze swoją fantastyczną techniką, z tłumem ludzi...

Machinalnym ruchem poprawiła włosy, jakich czas postawiła przy oknie wdychając zapach traw i lasu. Następnie zarzuciwszy na ramię blaster, nie spiesząc się, zrywając po drodze trawki, poszła w kierunku Centralnej.

Lekko wbiegła po schodach na ganek i ruszyła wzdłuż pierścienia w kierunku centrali,

z dwóch stron kopuły naraz. Jeden z nas zdążył zrobić otwór.

Wirt ześlizgnął się po gładkiej kopule i zatrzymał na poziomej podłodze. Kobieta podeszła do niego. Oza! Oza! Jak ona schudła. Tylko ogromne oczy wciąż jednak żyją. Ale dlaczego nie poznaje go? Dlaczego nie daje znaku, że cieszy się z jego widoku.

W tym momencie z przeciwnej strony Sven kilkoma wystrzałami wypalił w ścianie dziurę na tyle dużą, by mógł przez nią przejść człowiek. Wirołót znowu wznosił się o kilka metrów i Sven wciągnął Wirta do kabiny. Minutę później Henry był wewnątrz kopuły, a Sven czekał w maszynie trzymając blaster w pogotowiu, gdyż pelzające woreczki zaczęły podskakiwać do góry.

— Oza! — powiedział Henry, delikatnie dotykając palcami jej twarzy. — Dlaczego milczysz? Czy się nie cieszysz? Dlaczego milczysz? Co tu się stało?

— Czekalam — rzekła kobieta — aż ktoś tu przyjdzie. Stap odchodził obiecał, że ktoś tu jednak przyjdzie.

„Oza oczekiwała dziecka” — pomyślał Sven.

— „Czyżby Henry nie zauważył, że ona ma zupełnie normalną figurę?”

Ale Henry zauważył. Zauważył już wcześ-

— Oza... Seona, niczego się nie bój — przycisnął ją do swej piersi. — Wszystko będzie dobrze.

— Nie bałam się i przedtem. Zawsze czekałam na ludzi. A teraz, kiedy przyszlście, nie boję się już wcale.

Podeszli do wyrwy w ścianie kopuły. Henry ostrożnie podtrzymał kručą Oze-Seone. Serce mu się podrywało i jednocześnie rozrywało na kawałki.

— Sven, pomóż jej — powiedział, ale Sven i bez tego już wyciągnął ręce aby pomóc kobiecie.

Kiedy wirolot oderwał się od kopuły, Henry chwycił miotacz i wypuścił cały zapas palącej cieczy na kłębiące się w dole woreczki i pelzaki.

— Niepotrzebnie to zrobiłeś, Henry — powiedział Sven.

— Wiem.

— Tak, to było niepotrzebne — dodała Oza.

— One przez tyle lat dostarczały mi rozrywkę!

— M-mm — wymamrotał Henry i ścisnął rękami głowę.

W dole znów rozciągała się brudnozielona selwa.

Sven prowadził wirolot na granicy maksymalnej szybkości. Trzeba było jak najszybciej dotrzeć do Centralnej. I tak byli spóźnieni na seans łączności. Diabli wiedzą co sobie teraz myśla Erlil i Nik.

— Co tu właściwie zaszło? — zwrócił się Henry do Seony. Jakoś nie mógł zmusić się, żeby ją tak nazywać.

— Tego nie wiem. To było jeszcze przedemną. Ale Stap opowiadał, że była burza. I selwa przedarła się do nas. Ich wtedy było na bazie czworo. Pilot Jurgens zginął od razu. Jego szczątków nie mogli nawet wyciągnąć z wirolotu. Potem umarła Oza — przy tych słowach Henry skulił się w fotelu. — Był jeszcze jeden człowiek. Nazywał się Wytczek, ale jego też nie pamiętam. Powiedział, że ciało Ozy będzie pochowane po ludzku, że pelzaki się do niej nie dostaną. I pochował ją. Zaraz potem Wytczek już nie wrócił. Stap nie mógł powstrzymać pelzaków. I zostaliśmy we dwoje. Potem odszedł i Stap. Chciał przedrzeć się do Centralnej. Lepiej, gdyby poszedł zimą. A on odszedł w samym środku lata, kiedy słońce już przez pół roku nie zachodziło za horyzont.

— Znow słońce — szepnął Henry.

— Weź się w garść — cicho orzekł mu Sven.

— Tak, słońce...

Po minucie Sven rzekł do Henry'ego:

— Nawiasem mówiąc, w ciągu tych czterech i pół godziny słońce rzeczywiście nie ruszyło się z miejsca.

— I ty też — zmęczonym głosem wymamrotał Henry.

— Możesz się sam przekonać.

Ale Henry tylko mocniej przycisnął do siebie Oze.

— Jakże przyjemne jest ciepło ludzkiego ciała — szepnęła Oza-Seona.

Wirołot zbliżał się do półprzezroczystej zasłony.

Z dziejów Poznańskiego Klubu Miłośników Fantastyki Naukowej

Idea utworzenia w Poznaniu klubu osób zainteresowanych fantastyką naukową krystalizowała się dość długo. Teoretycznie warunki były sprzyjające. Wzrost zainteresowania literaturą SF, który od połowy lat siedemdziesiątych wzbudził zdziwienie księgarzy, Zjazd Pisarzy Twórców Literatury Fantastyczno-Naukowej z krajów socjalistycznych, który odbył się w dniach od 11-14 września 1978 w Poznaniu. Praktycznie natomiast nikt nie wiedział jak taki klub utworzyć. Na gruncie poznańskim próby takie przedsięwzięcia zmarły niedawno Czesław Chruszczyński i Mieczysław Kurpisz.

Mieczysław Kurpisz, student polonistyki UAM, organizował spotkania Czesława Chruszczyńskiego z zainteresowanymi problematyką SF w klubach studenckich i te formy miały spotkania do roku 1976. Sierpień 1976 roku stał się przełomową datą dla zainteresowanych fantastyką. W Poznaniu odbył się III Kongres Europejski Pisarzy SF (EUROCON III) z udziałem przedstawicieli klubów oraz twórców z całej Europy. Poznanie wielu znanych pisarzy (B. W. Aldiss, H. Franke, C. Rasch, W. Kazancew, K. Fiałkowski, J. A. Zajdel, K. Boruń, A. Wiśniewski-Snerg i inni) oraz przedstawicieli klubów popularizujących fantastykę zaowocowało w kilka miesięcy później powołaniem OKMFISF, organizacji, która miała koordynować działania odosobnionych dotąd klubów miłośników literatury SF.

Jako jeden z pierwszych do OKMFISF przystąpił działający dotąd niezależnie klub poznański, stając się od samego początku jednym z najliczniejszych i najbardziej przeżytych klubów. W latach 1978-1980 zorganizował szereg ogólnopolskich imprez takich jak naukowe seminaria poświęcone problemom szeroko pojętej fantastyki z udziałem krytyków i znawców tej literatury A. Smuszkiewicz, A. Zgorzelskiego, A. Stoffa i J. Kaczmarska oraz pisarzy K. Borunia, Cz. Chruszczyńskiego, A. Trepki, J. A. Zajdela, W. Zwikiewicz i innych.

Ponadto zorganizował największą jak dotąd wystawę książki fantastyczno-naukowej w gmachu Biblioteki im. E. Raczyńskiego. Na wystawie znalazło się ponad tysiąc książek i czasopism poruszających od pozycji dziewiętnastowiecznych po najnowsze wydawnictwa krajowe i zagraniczne. Wszystkie egzemplarze pochodziły ze zbiorów członków klubu. Zorganizowanie wystawy w czasie Międzynarodowych Targów Poznańskich umożliwiło obejrzenie tej przez wielotysięczną rzeszę zwiedzających nie tylko z kraju, ale i z zagranicy. Ekspozycji książki towarzyszyła wystawa nagrodzonych dziesięciu prac plastycznych o tematyce kosmicznej i fantastycznej. Całość wystawy dopełniała doskonała tematycznie i technicznie oprawa plastyczna. Właściwa działalność klubu odbywała się w lokalu udoświadczonym w 1978 roku przez Osiedlowy Dom Kultury „Orbita”.

Z kręgów poznańskiego klubu wywodzą się literaci Mieczysław Kurpisz i Andrzej Sikorski oraz debiutanci Sławomir Breiter, Robert Kowalewski i Jacek Wójcicki.

To, że klub działa nieprzerwanie od chwili założenia zawdzięczać należy tym członkom, którzy aktywnie brali udział w redagowaniu kwartalnika „Kwazar”. Jest to trwały i nieprzemijający ślad działalności członków poznańskiego klubu. „Kwazar” jest nie tylko pierwszym fanzinem w Polsce, ale również forum dla wszystkich zainteresowanych fantastyką naukową, tak profesjonalistów, jak i debiutantów. Sto stron każdego numeru to tłumaczenia z języków obcych, własne próby literackie członków klubów z całej Polski, artykuły historyczne, krytyczne oraz felietony. Łamy „Kwazara” gościły już Janusza A. Zajdla, Wiktora Zwikiewicza, Jana Maszczyńskiego oraz krytyków Antoniego Smuszkiewicza, Andrzeja Zgorzelskiego i Andrzeja Stoffa.

Rozwiązanie OKMFISF nie doprowadziło do rozpadnięcia się klubu jak stało się to z wieloma oddziałami w innych regionach naszego kraju. Klub działał przez dłuższy czas jako niezrzeszony a ostatnio zgłosił chęć wstąpienia do Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki powstałego w miejsce rozwiązanej OKMFISF.

W październiku 1982 roku członkowie klubu wybrali nowego prezesa Grzegorza Gałuszka, jednego z najaktywniej działających dotąd członków. Najbliższe plany to wydanie zaległych numerów „Kwazara” nawiązanie współpracy z prasą krajową oraz wydawnictwami książkowymi.

Członkami klubu są robotnicy uczniowie liceów i techników, żołnierze, studenci pracownicy naukowci, nauczyciele i literaci.

Na zakończenie krótkiej historii Poznańskiego Klubu Miłośników Fantastyki warto wymienić kilka nazwisk tych członków, którzy związani są od początku z klubem a nie zostali wymienieni w tekście, są to: Mirosław Murawski (współzałożyciel klubu, prezes w latach 1978-82), Jacek Wójcicki (wiceprezes i współzałożyciel klubu) Paweł Porwit (tłumacz literatury rosyjskiej, radzieckiej, sekretarz klubu) i Eugeniusz Waitek (długoletni aktywny członek).

Huśtawka Pustelnika

WIKTOR KOŁUPAJEW

łączności. Miała wielką ochotę wezwać przez radio Nika i Erlil'ego, ale powstrzymała ją myśl, że mogłaby oderwać ich od czegoś ważnego. Sprawdziła nastroje odborników i przekazników, po czym podeszła do okna zachwycając się panoramą parku.

Coś zmusiło ją do obejrzenia się za siebie. Nie było ani skrzypnięcia, ani ruchu powietrza — najciszej nawet dźwięku, ale całym swoim instynktem poczuła czyjąś obecność. Tak już bywało, kiedy została sama... Strach sparaliżował mięśnie. Trzeba było odwrócić się, ale nie mogła tego zrobić. Wszystko jakby zamario. „Odwróć się, obejrzyj się” — szeptało w niej coś. I odwróciła się.

W fotelu stojącym do niej tyłem, przed pulpitem widać było ogoloną głowę człowieka. Tego człowieka, a raczej jego głowę poznałaby wśród tysięcy. To była głowa Filipa Ezry. Przez drzwi, nie otwierając ich, wszedł Jumm. Oni zawsze pojawiali się razem. Na podstawie ruchów warg było widać, że o czymś rozmawiają, ale żadne dźwięki do niej nie dochodziły.

Ręce Ewy przywarły do parapetu. Ezra obejrzał się, ale jego wzrok przeszedł przez dziewczynę. Nie widział jej. Jumm podeszedł do fotela. W rękach trzymał rulon ni to wykresów, ni to rysunków. Rozwinął go i coś powiedział do Filipa. Ten przecząco pokręcił głową. Wtedy Ezra wstał z fotela, obaj odeszli na bok, rozłożyli przed sobą papier i stali tak przez kilka minut, jakby demonstrując coś niewidzialnym słuchaczom. Potem rulon został zwinięty. Jumm pokazał ręką drzwi. Ezra uniósł rękę i poszedł w kierunku okna.

Eva dziko wrzasnęła i odskoczyła w bok, ale oni nie zwrócili uwagi na jej krzyk. Filip stał przy oknie czegoś wypatrując, po czym z żalem cmoknął wargami i przecząco pokręcił głową. Jumm niecierpliwie przestępował przy drzwiach z nogi na nogę.

Następnie obaj przeszli przez zamknięte drzwi, przy czym Jumm wykonał nawet ruch jakby je otwierał, ale one nawet nie drgnęły. Przez kilka sekund Eva stała nieruchomo starając się pozbiierać myśli. Czy wariat może zrozumieć, że jest wariatem? Potem wezwała Erlil'ego.

— Erlil! Czy istniejesz? Jesteś? Erlil!

„Nie. On nie wierzył, że martwy Ezra i Jumm mogą chodzić po Centralnej. Czy ona sama uwierzyłaby w to, gdyby była zdrowa? Czy ktokolwiek w to jest w stanie uwierzyć?”

Eva wzięła w ręce blaster i przeciągnęła dłoń po chłodnym metalu.

15

Kobieta patrzyła na nich bez żadnej radości czy zdziwienia. Wirt otworzył drzwiczki wirolotu i wysunąłszy się na zewnątrz, krzyknął:

— Oza! To ja, Henry! Oza! To ja!

Rozdzielało ich około dziesięciu centymetrów przezroczystego plastyku.

— Sven, trzeba gdzieś przeciąć kopułę miotaczem. Inaczej się tam nie dostaniemy.

Sven poprowadził wirolot wzdłuż ściany kilka metrów dalej. Henry wyciągnął z bagażnika jeszcze jeden miotacz. Ale nie mogli strzelać. Postać kobiety przesuwała się razem z nimi. Ogromne, błękitne oczy uważnie śledziły każdy ich ruch. Ale ani jednym gestem nie dała do zrozumienia, że poznaje Henry'ego lub Svena. Ani jeden mięsień nie drgnął na jej twarzy. Kobieta tylko wolno posuwała ręce wzdłuż ściany poruszając się jak nakręcona lalka.

— Sven, kieruj się na czubek kopuły! Inaczej ona nam nie pozwoli przeciąć ściany. Co jej jest?

Wirołot wznosił się do szczytu kopuły, ale i tak nie można było strzelać. Kobieta stała dokładnie pod nimi.

— Sven, obwiąż się pasem i spuszczać z miotaczem na linie, a ty leć wirolotem na drugą stronę. Ona nie będzie mogła się znajdować

niej, kiedy zobaczył ją przylepioną do ściany kopuły.

— Oza, co się stało z naszym dzieckiem?

— Nie rozumiem — powiedziała kobieta.

— Co ci jest?

— Mnie? Nic. Bardzo długo czekałam. Sama. Kiedy Stap odjechał, zalał drzwi wejściowe od zewnątrz, żeby w momencie rozpaczy nie mogła wyjść i skończyć ze sobą. Ale nie miałam takich myśli. Obserwowałam pelzaki i woreczki.

— Oza, kiedy odjechał Stap? Czym?

— Pięć lat temu. Był bardzo dobry dla mnie.

— Jakże pięć lat?

— Mam wszystko zapisane. Utrzymywałimy łączność przez jakąś godzinę. Potem zamilkł. Myśla, że umarł.

— Oza!

— Nieee. Nie jestem Oza. Ona umarła osiemnaście lat temu. Nawet jej nie pamiętam. Pokażę ci, gdzie ją pochowali.

— Oza, co się z tobą dzieje? Ocknij się! — Henry potrząsnął za ramiona kručą figurkę, ale ona zjęła jego ręce ze swoich ramion i powiedziała:

— Stap mówił, że ona cały czas na kogoś czekała.

— Na kogo?

— Na Henry'ego Wirta... On mówił, że bardzo czekała.

— Ja jestem Henry Wirt. Rozumiem, że jesteś zmęczona po tych dniach. To na pewno były straszne dni. Ale teraz wszystko się skończyło. Ocknij się Oza, polecimy na Centralną. Oza, nie patrz tak na mnie.

— Już mówiłam, że nie jestem Oza. Nazywam się Seona.

— Seona? Przecież tak właśnie chcieliśmy nazwać naszą córkę! Oza! Jesteś niepełnie zdrowa. Ale to szybko minie. Musimy się spieszyć. Niedługo zajdzie słońce. Co chcesz ze sobą zabrać?

— Słońce? Nie, ono jeszcze tak szybko nie zajdzie. Dopiero za pół roku. Czytałam w książkach, że słońce zachodzi co 24 godziny i kiedy ono zachodzi wszyscy kładą się spać. Ale tutaj wszystko jest inaczej. Tutaj trwa półtora roku. Śmieszne, prawda? Dzień dłuższy niż rok. A potem półtora roku trwa noc i wszystko tu zamarza... i ciemność. Potem pelzaki i woreczki wydają się takie sympatyczne. Aż chcesz się z nimi bawić. Tak, w nocy było mi czasem źle. Zwłaszcza kiedy Stap wyjechał. Biedny, zginął po godzinie. Tak myślę.

Henry błagalnie spojrzał na Svena, jakby mówiąc: „Nie zwracaj uwagi, że ona mówi w ten sposób”. Sven tak samo milcząco skinął mu głową, co miało oznaczać: „Dobrze. Wsiadajcie do maszyny i lecimy z powrotem”.

— Co chciałabyś wziąć ze sobą, Oza? Zaraz polecimy.

— Seona...

— No dobrze. Seona. Więc co?

— O, chciałabym wziąć wszystko. Przecież na Centralnej nie mam nic. Nie byłam tam ani razu. A zawsze bardzo chciałam tam być. Ale nie będę brała dużo, przecież bardzo się spieszy. Kilka sukienek, chociaż nie, już są znożone. Wezmę tę książkę, kombinezon... Jest jeszcze prawie nowy. A tobie Stap prosił przekazać to — zdjęła z ręki pierścionek, w którym zamiast oczka było niewielkie, najwyżej na minutę nagrania, urządzenie przypominające. Ten pierścionek Henry sam kiedyś podarował Ozie. — Stap powiedział, że to bardzo ważne. I jeszcze, proszę, weźcie tę skrzynkę. Są w niej taśmy z zapisem magnetycznym i jakieś papiery. Już tyle lat stoi zamknięta, że nie wierzę, by kiedykolwiek była otwierana. Ale Stap powiedział, że to będzie bardzo interesujące dla ludzi, którzy tu przyjdą.

Henry podniósł skrzynkę, doniósł do ściany i przekazał Svenowi. Potem odwrócił się do Ozy. Jakże ona się zmieniła od czasu, kiedy ją widział ostatnio. Całkiem schudła. I rysy twarzy trochę się zmieniły, zaostrzyły. Co ona tu naopowiadała? Przecież to znaczy, że straciła rozum... Biedaczka. Ile trzeba przeżyć, żeby to nastąpiło.

Kosmostworki ANDRZEJA BIEDRZYCKIEGO



Kaprawiec truciciel — *Lippius veneticus*

Kolumna ajencyjna

KOLUMNA DZIESIĄTA C
(nieustannie jubileuszowa)

KAŻDY, KTO DRUKOWANE TU TEKSTY TRAKTUJE
SERIO — CZYNI TO NA WŁASNĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ!

John F. Barge

Zadanie

Otrzymałem zadanie ogromnej wagi. Zbudować wielki syntetyzator. Zaczęliśmy od zebrań. Było chyba z pięciuset ludzi. Przewodniczył profesor Georg C. Warden. Powołano komisję, podkomisję, zespoły, podzespoły, grupy i podgrupy. Rozdzielono zadania. Przyjęliśmy harmonogram prac i narad, i ruszyliśmy z kopyta. Wielki syntetyzator miał być gotowy za trzy lata. Diabli nie krótki termin jak na tak ogromne zadanie.

Profesor G. C. Warden udzielił kilku wywiadów. W gazecie rozpisywano się o tym, jakie to dobrodziejstwa naszej skolataniej ludności może przynieść wielki syntetyzator. Praktycznie wszystko będzie możliwe. Będziemy mogli wytwarzać co tylko dusza zapagnie. Cieszyliśmy się ogromnie. Tylko stary Ronald Spar lekceważąco wruszał ramionami.

Praca posuwała się wartko naprzód. Stopniowo przewyżczaliśmy kłopoty i trudności. Minęły jednak trzy lata, a my byliśmy jeszcze daleko w lesie. W prasie zaczęły pojawiać się krytyczne uwagi na temat indolencji i nieuctwa niektórych uczonych. Stary Ronald Spar już nie tylko wruszał ramionami, ale uśmiechał się ironicznie. Profesor G. C. Warden nie tracił nadziei i poganiał nas coraz brutalniej.

Minęły jeszcze dwa lata. Prasa już była na alarm. Domagano się rozliczenia G. C. Wardena. Żądano niemal jego głowy. Ale myśmy już finiszowali. I wreszcie nadszedł wielki



dzień. Na otwarcie syntetyzatora przyjechał sam MGC — Główny Koordynator.

Za pulpitem sterowniczym zasiadł prof. G. C. Warden. Przycisnął zielony guzik. Wszystkim zaparło dech w piersiach. Tylko stary Ronald Spar uśmiechał się ironicznie. Czekał na rezultat wielkiej syntezy. Czekał minutę, dwie, trzy, cztery, pięć... Cisza aż dzwoniła w uszach. Dochodziła dziewiąta minuta, gdy nagle coś zaczęło kapać z jednego z bocznych kurków. Stary Ronald Spar podszedł i podstawił palec. Powąchał, zdziwił się. Spróbował. Uśmiechnął się i wyszedł z sali. Po chwili wrócił ze szklanką w ręku. Podstawił ją pod kurek. Chwilę czekał. Później podał szklankę MGC. Ten spróbował i uśmiechnął się.

— Znakomity! — wykrzyknął.

— Co to jest? — zapytał z niepokojem G. C. Warden.

— Gin — powiedział MGC i wyszedł.

W przerażającej ciszy rozległ się głośny śmiech starego Ronalda Spara i loskot padającego ciała profesora G. C. Wardena.

Przełożył:
JAN B. BOROWICKI

Trudno i darmo: albo czasy są nie za bardzo do śmiechu, albo PT Autorom po prostu się nie chce, albo też zniechęcają ich nazbyt skromne honoraria, w każdym bądź razie w żaden spo-

ZMIENIAMY



jadłospis t.j. PROFIL

Wóć nie możemy powiedzieć, iż byśmy byli zasypywani nadmiarem ofert. A z samych frazsek i aforyzmów biega się nie ukręci, to jest — chcieliśmy powiedzieć — kojumny się nie wykona.

Zarazem — pytamy śmiało — gdzie jest powiedziane, że Agent ma wyłącznie robić za wesoła i fikać kozły przed ukochaną publicznością? Nie, to nie — zmieniamy jadłospis, czyli profil, dokonujemy tzw. przebranzowienia, zaczynamy zajmować się muzyką rozrywkową, co tak śmiało zapoczątkowaliśmy już na poprzedniej kolumnie, drukujemy — patrz obok — utwory poniekąd filozoficzne i refleksyjne, a gdy już zupełnie się rozsuchwalimy, spróbujemy być może podejść do tak ambitnego tematu, jak erotyzm w sztuce.

A że ktoś był kiedyś powiedział (choć być może przekreślony cytatem), że „gazety się nie robi, gazetę się łańczy”, przeto ozdobiłem tego tekstu fotką egzotyycznej tancerki, zdaje się nam całkiem na miejscu... AJENT

Eugeniusz Iwanicki Klasztor dla ateistów czyli rozważania pana T.

Zastanawiano się, co pisarz M. przekonywał, bardziej upokarza: znie- że swoje życie poświęcił waga czy kłamstwo. dla sztuki.
— Pochlebstwo — od- T. zamyślił się, w koń- powiedział bez wahania cu powiedział:
T. — Zawsze szukamy winnych za poniesione kłeski.

Mówiono o wrogości.

Ktoś powiedział, że jego największym wrogiem jest jego przełożony, in- — Jaka jest różnica pany, że choroby, jeszcze pomiędzy panem, a pa- — zapytano T. ktoś, że samotność. — Różnica co najmniej — Moim największym pięciu tysięcy przeczyta- wrogiem — rzekł T. w nych przeze mnie ksią- zamyśleniu — jest moja żek. świadomość.

Henryk Czarniecki

☆ Refleksja II ☆

Marzyłem kiedyś pod ubogą jajecznicą na obied i przybrudzone na oknach zastawy. I dzisiaj widzę, że tak cudownie było mi źle: przez dziury w butcie, przez popsuta księżycę, przez szczeliny w starych zegarach, poodklejane barwy i fortepiany bez strun, przez pęknięcia we wszystkim co powinno być całe płynęły na żaglowcach z gazety bańki mydlane.

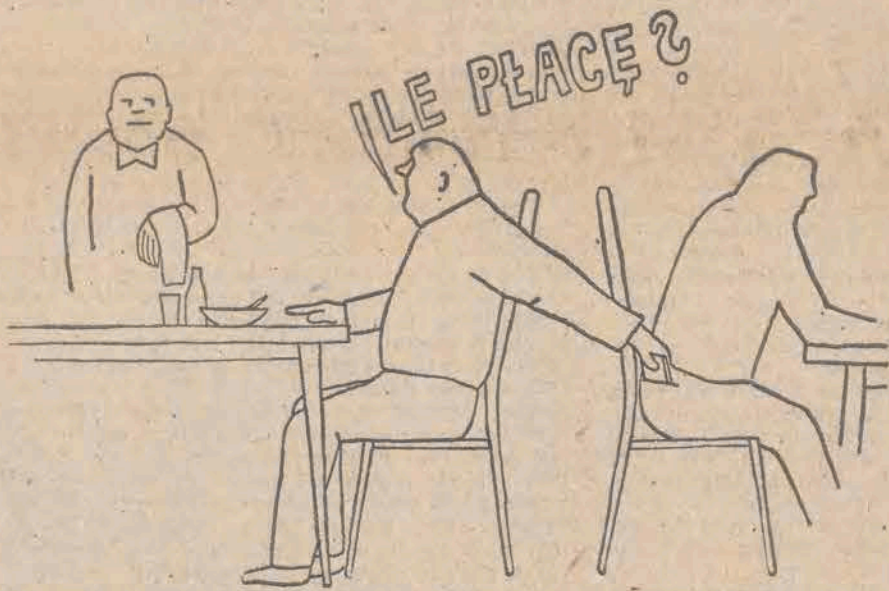
Jak to się wszystko teraz złoży do kupy: te fortepiany, księżycę popsute to się dochodzi do wniosku, że dla psychicznej higieny człowiek powinien od czasu do czasu kopnięty być w dupę i ze stabilnej stacjonując się grządkę zaczynać znów od początku. I nie otaczać się niczym, bo gdy ma się już ciastko, to w ciastku jest dziura czyli nul, czyli zero. I gdy człowiek sobie te zera podliczy, to nagle mu żal ubogiej jajecznicy od tamtego obiadu. I w butcie dziury przez którą patrzyło się w górę i z powrotem na świat, który się na okrągło zieleni.

I dopiero, gdy człowieka od tyłu tak kopnie to, okazuje się, że wtedy było wszystko tylko poustawiane udziornie. I nie fortepiany bez strun, lecz struny były bez fortepianu, i kolory i szczeliny, pęknięcia, żeby było przez co przechodzić. I dziura była bez buta, i księżyc był dobry tylko w nim była przekładnia popsuta, i kreślił się w iewo, jak trzeba, żeby się wkręcić do nieba.

P.S.

...od tyłu, bo od przodu nikt przecież człowieka nie kopie, bo to i nie wypada, i niewygodnie, i mało roztropnie. Nigdy bowiem nie wiadomo czyja noga ostatnią okaze się noga. z przodu trudniej jest trafić w zadek, bo taką okrężną drogą, przy współczesnych układach można trafić we własny pośladek.

Rys. Jarosław Szymański



Kierowana przez Bernarda Sottysika grupa rockowa „Pro Rock” wraz z solistką Gaygą odbyła ostatnio dłuższe tournée po ZSRR i Mongolii, dając w przeciągu 6 tygodni ponad 60 koncertów. Pierwszą część programu wypełniał swoim półrecitalem Zach, druga — „Pro Rock”, występując wszelako pod bardziej znaną w ZSRR starą nazwą „Pro Contra”. Na pytanie, jak reagowała publiczność — zwłaszcza mongolska — na rockowy show i Gaygę o wlosach w siedmiu odcieniach, Bernard Sottysik odpowiedział: — Byli rzedzywiele zaszokowani, ale nie byliśmy dziwnym objawieniem, lecz po prostu jedną z wielu propozycji estradowych. Poniżej — druga część rozmowy, którą dla „Odgłosów” przeprowadził BOHDAN GADOMSKI.

— Czy na koncerty rockowe w ZSRR, podobnie jak u nas, chodzi tylko młodzież?

— Nie tylko, bo widzieliśmy ludzi po czterdziestce. Sadzę, że ten rodzaj muzyki, który my uprawiamy, może się podobać także i wcześniej urodzonym.

— W Polsce młodzież na koncertach rockowych nie siedzi w fotelach, wszyscy tańczą, krzykają, gwizdają...

— A tam wszyscy siedzą, uważnie słuchają, jeżeli coś im się bardzo podoba, to reagują stojąc, bijąc brawa w rytm utworu z uniesionymi do góry rękoma. Nikt nie łamie krzesel, nie demoluje sali. Byłem także w USA na kilkunastu koncertach rockowych i tamta młodzież reaguje podobnie, nagradzając brawami udane solowe popisy wokalistów i instrumentalistów, bez ekscesów, zawsze z dużą kulturą.

— A jak było w Mongolii?

— Byliśmy tam na innych zasadach niż w ZSRR (tournée), bo w ramach wymiany kulturalnej między ministerstwami kultury i sztuki obu państw. Nasz pobyt został uwieczniony nagrodą ministra kultury i sztuki Mongolii za wkład pracy w upowszechnianiu kultury. Na oficjalny koncert w Ulan-Bator przybyli wszyscy attaché kulturalni akredytowani w tym kraju. W zasadzie był to koncert dla przedstawicieli całego świata. Odwiedzali nas także grupy wyścigowe z USA, Austrii i Niemiec.

— Jaka jest muzyka mongolska, u nas zupełnie nie znana?

— Poza pewnymi tendencjami we wprowadzaniu folkloru jest to w przeważającej mierze muzyka o podobnych stylach jak w Europie. Folklor szczególnie mnie interesował, był dla mnie bardzo egzotyyczny, starałem się w miarę wolnego czasu dużo słuchać tej muzyki, co może mi się

Rozmowa z Bernardem Sottysikiem

przydać warsztatowo. Byłem więc między innymi na mini-koncertach muzyki religijnej Lamów w czasie ich modlitwy.

— Mielicie przygody?

— Sam pobyt w Mongolii to wielka, egzotyyczna przygoda, a szczególnie wyjazd poza stolicę Ulan-Bator. Byliśmy w górach, aby zwiedzić ruiny hramów, w klatce zobaczyliśmy autentycznego mongolskiego wilka, o wiele

większego od wilka europejskiego. Próbowaliśmy się z nim porozumieć za pomocą różnych dźwięków, odpowiedział nam nie on, lecz stado wolnych wilków obserwujących akcje z oddali, zainteresowały się też nami wspaniałe jelenie. Ale sfotografować udało się nam tylko z wielkimi. Duże wrażenie robi na Europejczyku podróż mongolskim stepem.

— Jak wyglądało pożegnanie?

— Jeżeli chodzi o koncerty, to publiczność długo nas oklaskiwała na stojąco przy otwartej kurtynie. Pożegnanie oficjalne to wspaniałe wydanie bankietu przez Ministerstwo Kultury i Sztuki i zaproszenie mnie do ministerstwa na wręczenie nagrody. Nasze nagrania zostawiłem w ra-

Nie byliśmy dziwnym objawieniem...

my wiele opinii na nasz temat. Było to miłe zaskoczenie.

— Podczas gdy Wy tam, my tu słuchaliśmy Waszych piosenek w najpopularniejszych audycjach radiowych, wyłansowano Was przeźbój „jeszcze godzin tyle”, obecnie lansowany jest drugi „ostatni singiel”. Estrada Łódzka zapowiada premierę Waszego rockowego show, przygotowuje kampanię reklamowo-promocyjną. Czy jesteście na to wszystkie przygotowani?

— Oczekujemy tego, przecież wkład pracy włożony w przygotowanie naszego show musi za procentować. Obecnie chciałbym zrobić drobne korekty licze też na muzyków z „Pro Rock” i Gaygę.

— A nowe piosenki?

— Gotowe są trzy premierowe piosenki, teraz tylko kilka prób i wejście do studia nagrań.

— Rynek rockowy powiększa się z każdym dniem o nowe zespoły i nowych wokalistów, nie obawiacie się konkurencji?

— Bardzo dobrze, że istnieje u nas konkurencja. Dla mnie liczy się przede wszystkim coś najbardziej swojego i oryginalnego. Jest spory natłok propo-

zycji, ale w dużym stopniu powielających różne wzory: zachodnie i krajowe. Dlatego obronną reka wyjdzie ten, kto zaproponuje w swojej muzyce siebie. Zawsze byłem przeciwnikiem lansowania wielu młodych piosenkarzy, powielających np. Sipińską lub po prostu szkolnych. Z wielką troską i dbałością staram się o zapewnienie swojemu zespołowi oryginalnego repertuaru.

— Życzę powodzenia!



Bernard Sottysik i zespół „Pro Rock”.

Foto: Zdzisław Walter

1

Spojrzenie znad szachownicy

Komu, komu...

W wątlwym redakcyjnym gronie zastanawialiśmy się ponuro, dlaczego „Odgłosy” nie cieszą się taką poczytnością, jaka byłaby miła nam i Wydawcy. Kierownictwo patrzyło z wyrzutem na zespół, zespół patrzył z wyrzutem na kierownictwo, aż ktoś bąknął, że gdybyśmy byli biegali za ciekawymi tematami, pismo by szło, a tak to nie idzie. Myśl zdała się interesująca, choć nie do końca słuszna, gdyż biegając, aby coś szło, oznacza większy wydatek energetyczny niż siedzieć — na tyku powiedzmy — aby coś leżało. A na marnotrawienie energii niktogo dzisiaj nie stać.

Znów pomilczeliśmy więc trochę, ponarzekali na Ajenta, bo był akurat owocnie nieobecny, aż przyszła kolej na stronę felietonową i tu zebrałym radośnie rozświetliły się oczka. Okazało się, że wszystkich furda: można głądzić, stękać, marudzić i pleść trzy po trzy, ale jeżeli felietony będą dobre, to wszystko też będzie dobrze. Felietony są solą pisma — mówiono — powinny być finezyjne i aluzyjne, odważne i rozważne, śmiałe i zuchwale, a gdyby już całkiem nie szło inaczej, przynajmniej zadziorne i towarzyskie, tak aby w ramach popularności tytułu ktoś zechciał się nad felietonistą choć trochę pozmęczyć.

Słowem wyszło na to, że potrzebni są: Passent, Urban, Klakson i jeszcze docent Krzywobłocka, czworo jeźdźców Apokalipsy, chyba, że tylko troje, bo jedna z wymienionych postaci uchodzi za fikcyjną.

2.

I znów zapadła cisza, jeszcze głębsza niż poprzednio. Kierownictwo przestało patrzeć na zespół, zespół przestał patrzeć na kierownictwo, ba, nikt nie gapił się nawet na prostokątną jasną plamę na ścianie, ślad po obrazie, który red. Wawrzak zabrał był do KAW-u, gdzie — jak wiadomo — chwalebnie dyktują. Obraz ten — przedstawiający dziką dżunglę zafotografowaną zwierzyńcą, między którą śmiało wlał sam autor w tropikalnym kasku na głowie — w chwilach grozy stanowią niezawodne oparcie dla oczu, tym razem zbędne były jednak malowane zwierzęta, bo to ja miałem robić za samo najgroźniejsze bydło.

Nie, nie i jeszcze raz nie! — wrzaniłem gdy zrozumiałem, w czym sprawa — Passenta Kocham, Urbana szanuję, Klaksona trochę się boję, a choć wobec docenta Krzywobłockiej nie żywię akurat żadnego z wymienionych uczuć, nigdy dotąd nie był to mnie damski bokser. Ani ich nie zastąpię, talentik bozia dała nazbyt mały, ani im się nie narażę. Mnie będą wódczyć kołmi, a wam nakład wzrosnie o jakieś dziesięć egzemplarzy, dziękuję pięknie za taki biznes.

Mniejsza z tym, co się działo dalej. Tłumaczone mi pogodnie, że jednocześnie nie całej groźnej czwórce narazić się nie sposób, bo choć Klakson zdaje się niekiedy trzymać z Urbanem, to Urbanczęsto-gęsto polemizuje z Passentem, ten zaś — jak mówią po kawaliach — cokolwiek inaczej widzi rzeczywistość niż felietonista z „Rzeczywistości” przez „R” duże. Nadto — podpowiadano — na wymienionych personach świat się nie kończy, bardzo rozsądnie jest napisać na Porębę, bądź przeciwnie, Porębę pochwalić i wszechstronnie poprzeć, bo zawsze wywoła to jakiś odzew, choć niekoniecznie taki

sam i z tej samej strony. Interesowało mnie początkowo, dlaczego to ja akurat — znany z łagodności i gołębiego wręcz serca — mam zacząć kogokolwiek, gdy najchętniej świat cały (no, niemal cały...) byłbym wylądnie dopieszczał. I na to jednak znalazł się argument: oto pokonany w polemice mam szansę wyzwać przeciwnika na rewanżową partię szachów i prawie na pewno zaraz zrobi się 1:1, nawet gdyby po drugiej stronie usiadł sam Putrament.

Mile pociętało to moją próżność i sam nie wiem jak i kiedy, ale wedle opinii prawie całkiem trzeźwych świadków podobno wyraziłem na wszystko zgodę. — Tak jest — mówilem — będę odtąd chłamek, brutalem i bandytą. Zaczęnąc bić po oczach, kraść torebki i portfele z samymi najtajniejszymi dokumentami, no i komu popadnie pokazywać język. W szachy mogę zagrać choćby zaraz, a poza tym... poza tym chciałbym się dowiedzieć, czy jest tu gdzieś w okolicy jakieś łóżko?

3.

No i tak to się jakoś narobiło. Awansowano mnie na brutala, z góry więc przepraszam wszystkich, którym w przyszłości dołożę, dołożę jednak niestety muszę, bo słowo się rzekło i stoję oto u piota. Nim zabiorę się jednak do mistrzów wszechwag, wypadła odbyć parę sparringów i to w jedwabnych, zarazem grubo wataowanych rękawiczkach, zamierzam bowiem bić się we własne piersi, a to boli, nadto zacząć Wydawcę, co jest diabło ryzykowne pomnąc o wszelkich przeszerowaniach i podwyżkach.

Komu, komu, bo idę do domu. Tylko u nas takie widowisko! Treningowa rozgrzewka, czyli tak zwana walka z cieniem już poniżej, w następnym tekście. Chytrusy płacą połowę, bo kupują pismo z przeceny, żurnaliści nic nie płacą, jako że dostają je za darmo. Komu, komu..

JERZY P.

Bijatyka o czytelnika

Dziś — w ramach konstruktywnej krytyki, a i samokrytyki również — zabieramy się do czasopism. Pisałem przed tygodniem, że gazety codzienne radzą sobie wcale nieźle, utrzymując, a nawet podnosząc wcześniejsze nakłady, na rynku periodyków dzieje się jednak mniej śmiesznie.

Potencjaci, taka „Polityka” na przykład, po pewnym „wahnięciu” przy kilku pierwszych numerach dość szybko odzyskali wprawdzie teren i mogą spokojnie spoglądać w przyszłość, smętniejsze są wszelako perspektywy pism w tradycję (a i środki płatnicze) uboższych, zwłaszcza że wciąż i wciąż wstają tytuły nowe, na wszelkie możliwe sposoby usiłujące kusić czytelnika. Obraz gry przypomina ni to pokera, ni to jakiegoś dziwnego brydża: ktoś liczytuje „jedną Atlantyde”, ktoś przebija „trójkątem bermudzkim”, ktoś inny melduje zaporkowo „cztery Kulibabki”, my ich wszystkich konstrujemy magistrem Uchnastem (mając w rękawie filipińskich uzdrawiaczy i parę opowiadań grozy), ale następuje rekontra Nardellim, na co siłszyśmy śmiała szlemikową zapowiedź, w postaci pamiętnika warszawskiej prostytutki.

Wydawałoby się już, że na tak wysokim szczeblu nikt już do gry nie wkroczy, ale oto jak diabeł z pudełka wyskakują „Fantastyka”, oświadcza, że ma pokera z ręki i zabiera całą pulę. No i faktycznie zabiera, bo choć nikt prawie pisma — a pięćdziesiąt złotych sztuka — nie widział w kioskach, cały nakład poszedł jak woda, a teraz pewno jest na bazarach..

2.

I skąd — zapytajmy — ta bijatyka o czytelnika, rzecz ni-

by miła dla oka, ale umiarkowanie zdrowa, bo co któryś redaktor naczelny chodź! dziś ze zdefasonowanym obliczem, to jest — chciałem powiedzieć — z niezupełnie takim profilem, jaki prezentować był pragnął.

Ano, przede wszystkim z ambicji, choć bowiem nie marzy o sławie molojeckiej i ogólnopolskiej poczytności, po wtóre — zdradzamy to wreszcie — i ze strachu także, słyszało się bowiem z początku, iż pisma nierentowne, poza małymi wyjątkami jedynie, zostaną wcześniej czy później bezlitośnie spisane na straty. Potem Wydawca — o RSW „Prasa — Książka — Ruch” tu myślę — zlągnął wprawdzie, godząc się tu i ówdzie z góry zaplanować deficyt, skoro tyle ma tytułów przynoszących okazałe zyski, pewna nerwowość wciąż jednak unosi się w powietrzu.

Demokratycznie obdarzeni równą w zasadzie ceną i równym prawem wchodzenia na ogólnopolskie rynki, a więc poniekąd zobligowani do konkrowania między sobą, budżety i zespoły mamy wcale nierówne, co z góry przesądza wynik rozgrywki. Proszę zerknąć iaskawie w stopkę redakcyjną „Odgłosów”, potem zaś w stopkę „Tu i Teraz”; przeciwie do trampkarze Widzewa — wzmocnieni, powiedzmy, paru zawodnikami i drużyny — grają mecz z reprezentacją Brazylii!

3.

Nie widzę w tym jeszcze nie-szczęścia, jak prasa prasą zawsze były tytuły mocniejsze i słabsze, poczytnie i mniej poczytne. Skoro jedna matka RSW tuli nas wszelako niemal wszystkich do łona, a zarazem nie może czy nie chce wyposażyć całkiem po równi, niechby zażądała przynajmniej, iżbyśmy po zatłoczonym prasowym morzu nie plynęli kolizyjnym kursem. Mamy za dużo demokracji lub za mało informacji; nikt nas nie ustawia — co chwalebne — ale i sami, i niedoinformowania tego przekiętego, ustawili się nie umiemy.

Zabrzmiało to tajemniczo, a nawet zapachniało herezją — zaraz się wytłumaczę.

4.

Na Zachodzie, w paskudnych koncernach prasowych, założenia gry są ustalane centralnie, a pismo ma je jedynie realizować. Jeden tytuł zarabia forsę kokietując — powiedzmy — starszych panów roznegliżowanymi panienkami, inny — świadomie deficytowy — study urabianiu opinii sfer finansowych, jeszcze inny odwołuje się do arystokratów ducha, no i tak dalej. Ani trochę nie jest to demokracja, funkcjonuje jednak sprawnie, choć konkurencji nie monopolizują przeciwie rynku, mają równie drapieżną konkurencję.

Zarząd Główny RSW — większość decyzji zapada bowiem na tym szczeblu — też mógłby nas podobnie poustawiać, no ale jakoś nie chce, blijemy się tedy o czytelnika, urywamy sobie łby, gramy w prasowego pokera i w głupiamy na potęgę. Tymczasem miast ujmowania lubej demokracji, wystarczyłoby pomnożenie informacji, a wszystko znacznie iść ku lepszemu. Wyobrażam to sobie tak.

5.

ZG zestawia po prostu dane o budżetach i zespołach poszczególnych pism, ich aktualnych nakładach, takó zwrótach i to z rozbiorem na strefy. W tym momencie przestają się dziwować, dlaczego autor Iks pisuje do tygodnika Igrek (a pisuje, bo konkurent płaci mu dwa razy tyle, ile my zapłaciliśmy możemy), przestają pechać się na województwa, gdzie pismo „nie zapalało” i raczej już nie zalapie, obliczają siły i środki, wreszcie idę do miejscowego Wydawcy i powiadam mu tak mniej więcej:

— Z posiadanych środkami, Dyrektorze Drogi, na Polskę wychodzić nie mogę, sam Pan widzi, że więksi i zamożniejsi po prostu mnie pokną. Musimy uciec w lokalność, pismo cokolwiek przemodelować, zachowując wszakó jego społeczno-kulturalny charakter. Chyba, że stać Pana na podwojenie budżetu lub też uzna-

my za celowe generalną zmianę formuły „Odgłosów”..

Rozmawiając jak fachowiec z fachowcem z pewnością się dogadamy, ale musimy — Wydawca i ja — mieć wiarygodne i aktualne dane o sytuacji na prasowym rynku. Płyną one zapewne do Centrali, ale w tak zwany teren ani trochę nie chcą wracać. W rezultacie żeglujemy po wzburzonym prasowym morzu jak we mgłę, bez radaru i bez sensu. Co mnie — przyznaję uczciwie — nieco już wnerwia.

J. P.

2

Zdarzenia i zwierzenia

Jednostka nie jest zerem

„Jednostka zerem, jednostka bzdurą — sama nie dźwignie dwustupudowej kłody, choćby i wielką była figura” — tak brzmi fragment poematu Włodzimierza Majakowskiego. Lecz przeciwie ten sam poeta w tym samym utworze docenia jednak rolę jednostki w procesie kształtowania historii.

Na przestrzeni lat różnie oceniano tę rolę. Były czasy, kiedy dzieje ludzkości widziano jedynie przez pryzmat działania jednostki, pomijając lub lekceważąc rolę stosunków społecznych. Były potem czasy, w których subiektywny ludzki czynnik sprowadzono do zera, natomiast wyłączną siłę sprawczą dziejów widziano w stosunkach społecznych.

Obie te koncepcje widzenia historii odesłano już chyba do lamusa. Jednostkę kształtując określane stosunki społeczne i one grzebią jednych, a wynoszą na tron innych. Z kolei jednostka — jej subiektywnizm, skala możliwości intelektualnych, wrażliwość, doświadczenia i urazy — wpływa na przebieg procesów społecznych. Sprzężenie zwrotne jest tu więc niewątpliwe.

Czy stosunek Willy Brandta do faszystowskiej spuścizny Niemiec, jego polityka odprężenia i dialogu nie wynikają z osobistych losów tego antyfaszysty — z faktu, że do ojczystego kraju przybył w 1945 roku ze szwedzkim paszportem Kontrol? Czy moralne dylekany oficer Sojuszniczej Rady mają Niemca, który przychodził do swojej pokonanej ojczyzny w obcym mundurze nie warunkowały późniejszej pokojowej polityki tego mądrego kanclerza? Polityki zmierzającej do tego, aby podobne dylematy nie były nigdy naszym udziałem.

Czy stosunek do wojny i konsekwentna polityka pokojowa wielu współczesnych mężów stanu nie jest determinowana osobistymi doświadczeniami? Oczywiście, tak! Inaczej na dramacie wojny patrzył ten, który codziennie ociera się o śmierć, widział tragedię, trud i znoj frontowy, niż ten, który wojnę zna z konwencji filmowego scenariusza. Ten, którego los zmusił do strzelania z prawdziwej broni i do prawdziwych wrogów w obronie realnej ojczyzny inaczej rozumie dramaty wojny niż ten, dla którego wojna była daleką grą nie dotyczącą najbliższych, osobistych spraw i ludzi.

Jednostka nie jest zerem. Jednostka wyniesiona na trony władzy może wektory stosunków społecznych i politycznych kierować w stronę zagłady lub w stronę pokoju. Osobiste doświadczenia, wyobraźnia i wrażliwość są tu również ważne, jak mechanizmy historii. Mimo konfliktów i napięć, mimo ognisk wojny bez przerwy właściwie płonących na całym świecie, przez prawie czterdzieści lat uniknęliśmy

tragedii Trzeciej Światowej. Sprawili to — oczywiście — powszechna wola pokoju, ale sprawili to także jednostki stojące na czele państw i bloków. Ich pokojowa polityka wynika z owej powszechnej woli pokojowej narodów, ale także z osobistego rozumienia tragedii wojny, z osobistych frontowych doświadczeń, z pamięci o milionach poległych i z pamięci o tych najbliższych, znanych z imienia i nazwiska, którzy nie dożyli pokoju.

Jednostka nie jest zerem. Jej rola w kształtowaniu losów historii może być budująca, ale może też być burząca, jeśli zabraknie zwykłej ludzkiej wyobraźni. Jeśli zbyt mocno wierzy, że jest jednostką a niedostatecznie rozumie, że działa w imieniu wielomilionowej społeczności.

JERZY
WILMAŃSKI

3

Felieton pe- symistyczny

Pogoda dla bimbrow- wników

Autobusu nie było już do bry kwadrans. Tak naprawdę to nawet jakieś przejeżdżały, ale jeden się nie zatrzymał, choć z pięćdziesięciu klientów mógł w środku upchnąć, drugi rznął chyba osiemdziesiątką, ale wywiezł „Awaria” wszyscy zauważyliśmy. Przyszyczażeni i codzienna praktyka jest jednak drugą skórą człowieka, więc nikt się specjalnie nie denerwował, choć poranny, listopadowy srożki wszystkim nochał zabarwić na bu-raczkowo.

Magister B., dźwigając wy-tarta aktóweczkę z drugim śniadaniem, nawet żartował próbował:

— No, co mówi klasyczny Polonus do szatniarza w knajpie, gdzie wszystkie grosze przepuścił, palto i zegarek zastawił, czyli splukal się do nitki?

— ???
— „Gdzie jest moja teczka!”
— Uśmiechnąłem się półgębkiem, a korzystając z komunikacyjnego antraktu sięgnąłem do portfela po talię kart zapożyczonych, by plan bieganina po sklepach sobie przypomnieć. W grudniu ma być jeszcze wesele! Okazuje się, że wciąż armia ludzi odpowiedzialnych za nasze kartkowe życie wyjątkowo jest aktywna, co rusz wymyśla nowe patenty, będą bowiem nowe karteluszki na dodatkowe porcje kurku, proszku i mydła. Laik w temacie jestem, z trudem nauczyłem się odczytywać i z pamięci recytować treść poszczególnych papierków. A nie można było przy-padkiem na już istniejących zwiększyć przydziałowych norm mydełka?

Znów przeleciał autobus, tym razem miał wywiezł „Do zajezdni”. Ale nie rezygnowaliśmy, w końcu ktoś nas chyba z tego osiedla wywiezie. W okularach się tylko u-zbroilem, by z daleka numer wozu dojrzeć i korzystną pozycję przy krawężniku zająć. Od czasu niesympatycznej przygody — to tak na marginesie — noszę je zresztą coraz częściej. Do sąsiada wszedłem pożyczyc łzw, przedłużyć, ciemnowo w pokoju było, a on siedzi w kącie przy stole i coś białego ma przed sobą. Elegancko się chciałem zachować i mówię, że ciężkie czasy, znów twarożek na kolację. Przyjrzał mi się badawczo i powiada: — „Na schodach się pośliznąłem i rękę mi w gips zapakowali...”

Zajechał wreszcie załadowany niezłe „Ikarus”. Natarliśmy z magistrem ostro i po minucie wycieńniającej pracy lokociami zawisłem w środku na białcie blondyny w pelisie. Miejsce było niezłe, tylko w nosie kreciło od naftaliny. Blondyna widać niezbyt do-kladnie wietrzyła paletko we Wszystkich Świętych. Magister też niezłe wylądował, zepchnięty przez tłum zwałił się jakiejś babci na kolana, która spokojnie przyjęła go z dobro-dziejstwem inwentarza. Guziki przy piąszcu nie miałem oczywiście, profilaktycznie od-prułem je jeszcze w domu. Przynajmniej się nie zgubią. Magister swoje, o czym właśnie zaczął opowiadać gronu najbliższych pasażerów, stracił w zgola odmiennych okolicznościach.

Wszedł poprzedniego dnia po serek do dużego domu handlowego. Serka nie było akurat, ale obok spostrzegł przyjemnie ciągnący się serpentynami „ogonek”. — Za czym, przepraszam? — zagadnął ostatniego klienta w kolejce. — Panie, szybkiwary przyszy, chyba po 14 tysięcy..

Magister wie, jak się zachować, szybkiwary zawsze może się przydać, z godnością zająć więc swoje miejsce. Powolnie posuwali się do przodu, choć na dobrą sprawę nikt nie wiedział co kupią i czy w ogóle. Ale przecież nie to jest najważniejsze. Po chwili jednak kolejka potencjalnych nabywców szybkiwarów wystawiona została na ciężką próbę. Na oczach zdezorientowanych ludzi wydreptał z zaplecza fa-cet w służbowym kitlu z transportowym wózekiem, na którym piętrzyła się najprawdziwsza lodówka z gracją przedeflowa-ł przed zmarkolniałą kolejką, z której ktoś, dla świętego spokoju, spytał:

— Na talony?

— E, tam..

— Dla młodych małżeństw?

— Też nie..

— Uszkodzona czy reklamacja?

— Nie, w wolnej sprzedaży.

No i zaczęło się. Kolejka pękała i kilkanaście osób w stylu godnym Mariana Woronia wystartowało do lodówki. Magister, niestety, znalazł się w zatłoczonym środku peletonu. Kilku młodszych ostrym szpurliem wysforowało się do przodu. Na oczach pechowców jeden dopadł kłami, drugi wskoczył lekko na wierzch, trzeci z okrzykiem — „Moja ci jest!” usiłował zatrasnąć się w środku.

Organizacja — opowiadał dalej magister — była doskonała. Trzej szczęśliwcy rozdali się teraz do „osób towarzyszących”, by gnać do kasy. W repasażach wystąpiły więc małżonki, a lekkości z jaką pędziły do szklanej budki nie powstydzilyby się nasze czołowe plotkarki. Zwycięzcy, triumfalnym gestem zrzucając futrzana czapę wystartowała zresztą zaraz na dłuższym dystansie. Niczym rasowa klacz arabska pognała do domu po gotówkę, bo w kasie z realizacją paragonu tylko godzinę czekają..

Zrezygnowany magister, już bez guzików przy piąszcu, powrócił na swe miejsce do szybkiwara. — Byłem tak przy-bity — kończył swą opowieść — że po chwili zrezygnowałem i z niego. No bo na cholere mi taki szybkiwara..

— Duży błąd pan popełnił — spokojnie skwitował wysoki blondyn wiszący między nami na plastikowym uchwycie. — Jest to przecież doskonały przyrząd do produkcji w domu wódeczki. Widząc, że nas nieco zamurowało, kontynuował już ciszej: — Można oczywiście w jakiejś kance, niezły wychodzi w wiaderku, sąsiad doskonałą „pędi” w dwóch talerzach w zamrażalniku lodówki, używa się też czajnik — bismajną wiedzą fachową. Ale szybkiwara? Palce licząc..

„Bimbrownik” zresztą zajął „nelsona” starszemu mężczyźnie, wykonał dwa „dozwolenie” przepisami „bodzików”, dziękując zaczął przesuwac się systematycznie do wyjścia. Już w drzwiach odwrócił się i rzucił z uśmiechem politowania jakby: — Pamiętajcie tylko, żeby w południe gotować, wtedy wścibscy sąsiedzi są pewni, że mamusi znów się obia-dek przypalił..

STEFAN ŻYCIOWY

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji) Jerzy Kwieciński, Bożena Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz (2-ca sekretarza redakcji) Jerzy Panasewicz (2-ca redaktora naczelnego) Igor Sikirycki (2-ty dział literackiego) Karol J. Strzyński, Janusz Szymański-Głane (grafik), Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wróńska, Mirosław Zajdler (fotoreporter)

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasprkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Krystyna Namysłowska, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy” al. A Mickiewicza 11, kod 90-438. Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44 sekretarz redakcji 680-09 publicysty 671-70. Redakcja nie zamówionych rekwizów nie zwraca zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacji o warunkach prenumeraty udziela oddział RSW „Prasa — Książka — Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumerata ze zniżkami wysyła za granicę przylgnę RSW „Prasa — Książka — Ruch” Centrala Kolportażu Prasowy i Wydawnictwo 00-058 Warszawa ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201945 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 30 proc. Dla członków oddziałów indywidualnych i o 100 proc. dla deklujących instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicze Spółdzielnie Wydawnicze „Prasa — Książka — Ruch”, Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96 kod 90 103 Łódź. Druk: Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 2483. F-2.

Podzwonne dla Joanny Rawik?

ła wtedy piosenki na „nie”: „Nie chodź tą ulicą”, „Nie z każdej maki będzie ciębie”, w drugim ośrodku była czerwień („Gdy płoną róże”), w trzecim — biel („Romantyczność”), w czwartym — intensywny granat („Nieproszony gość”). Obecnie ponownie powróciła czerń.

Joanna Rawik należy do najbardziej inteligentnych wśród naszych piosenkarek, dobrze zna prawa swego zawodu i wie, że zaistnieć w nim to nie wszystko, największą sztuką jest być i trwać przez lata mimo zmieniających się mód i stylów w piosence. Dlatego w początkowych latach kariery, potrafiła wymyślić siebie (np. w białym smokingu, w białych rekawczkach, uczesana na Chopina i śpiewającą piosenkę na parafrazie jego Poloneza „As-dur”).

Była też Joanna Rawik polską „Julietta Greco z nad Wisły”, polską „Edith Piaf”, zresztą lubiła i czuła piosenkę francuską. W 1966 roku śpiewała w słynnej, paryskiej Olimpii, wcześniej w kabarecie „Kafka” w Lyonie. Ktoś powiedział czy napisał, że jest drugą Ewą Demarczyk. I to był wielki kompleks Joanny Rawik, która nigdy nie była tak ambitną i hermetyczną w swych muzycznych zainteresowaniach piosenkarką jak Demarczyk.

Podczas gdy Ewa Demarczyk rzadko zmieniała estradowe sukienki (zawsze w kolorze czarnym), Joanna Rawik szukała siebie nawet w szydełkowej sukni z dziurkami jak w serze szwajcarskim. Ale, że te dziury były za duże, nie pomogły też owe kolory oraz dorabiana do nich specjalna filozofia, Joanna Rawik, pozostała jedną z szeregowych piosenkarek estradowych o coraz niższych wymaganiach i ambicjach. Z jedną piosenką („Romantyczność”) potrafiła jeździć przez 10 lat po całej Polsce i... zarabiać pieniądze. Jest za to wysoko notowana w Urzędzie Podatkowym m. Warszawy.

A BYŁO TO CUDOWNE DZIECKO...

Nigdy nie przyznaje się do swego prawdziwego imienia i nazwiska. Urodziła się 31 stycznia 1934 roku w Czerniowcach w Rumunii. Wychowała się w Sibiu, w Bukareszcie uczyła się gry na skrzypcach. Gdy miała 13 lat przyjechała z rodziną do Polski. W dzieciństwie uchodziła za cudowne dziecko ale nie wytrwała zbyt długo przy skrzypcach, szukała powodzenia w teatrze (nie wysła poza ówczesny poziom Teatru Ziemi Łódzkiej), była też lektorka radiowa we Wrocławiu, maszynistka w Ossolineum, studentka eksperymentalnego Studium Teatralnego Bwskich w Kielcach, Lublin, Opole, Kraków, Łódź, Warszawa — tu jej kolejne miejsca mieszkania i pracy.

Do estrady dochodziła z trudem, choć jak napisano na okładce jej pierwszego longplaya — dlatego może będzie na niej dłużej trwać...

„PO CO NAM TO BYŁO!”

Na łamach miesięcznika „Jazz”, Aleksander Jerzy Rowiński opublikował obszerny szkic pt. „Jak debiutowali”, w którym wspominał czołowe gwiazdy polskiej piosenki w okresie ich debiutów — robiąc ciekawe odnośniki do dnia dzisiejszego. Oto fragm. dotyczący Joanny Rawik.

„Do mojego schematu debiutów w teatrzykach i kabaretach pasuje także Joanna Rawik, jedna z gwiazd lat 60-tych. Zaczynała w zapomnianym już kabarecie krakowskim „Kundel”, ale świadkiem jej pierwszego, wielkiego sukcesu byłem dopiero na Festiwalu w Opolu, w roku 1966, gdy odniosła niewątpliwą sukces w piosence „Nie chodź tą ulicą”. Zresztą już w roku poprzednim w Opolu (w „Hejnalu”) ujawniła od razu olbrzymią dojrzałość artystyczną, silną indywidualność wyrażającą się ostrą ekspresją, muzy-

kalnością, siłą głosu, bezbłędną dykcją i artykulacją. Objawiając się szerokiej publiczności, była już w pełni gotową piosenkarką, której nie trzeba było polecać wątpliwej opinii Estrad. One, niestety, nie nauczyły jej niczego dobrego. Szkoda, że ostatnio tak mało słyszy się Rawik na wielkich estradach, aż ciśnie się na usta pytanie: „Po co nam to było?”

I tu — Czytelnik, Telewizor, mają już odpowiedź na zasadnicze pytanie — dlaczego Rawik nie była widziana, słyszana wszędzie tam, gdzie być mogła i powinna. Nie była, bo wybrała estradowe składanki, w których śpiewa 1-2 piosenki, ale za to nawet 5 razy w ciągu jednego dnia, co jest zajęciem bardzo opłacalnym finansowo. Po co więc było się męczyć, pracować nad nowym repertuarem, spalać się w recitalach piosenkarskich, po co?

A że TV, radio, estrada nie zapewniają u nas artyście estradowemu prawie żadnej opieki, pomocy w sferze doboru

repertuaru, strojów, uczesania, reżyserii, tańca itp., nasi piosenkarze, nawet Ci z przydomkami „wybitny, ceniony, uznany”, znają dziś 1-2 ruchy i najchętniej wykonują 1-2 popularne piosenki. Łatwo sprawdzić wybierając się na ich terenowe koncerty.

W najnowszym biuletynie reklamowym Estrady Łódzkiej czytamy: program „Uśmiechnij się” nie boi się wiejskich klubów ani remiz strażackich. Jego współtwórcy i wykonawcy to: Jarosław Mioduszewski „Miodo”, Wiesław Wierusz-Kowalski, Henryk Szwajcer, Janusz Laurman, Jerzy Walczak i... Joanna Rawik.

Oto dlaczego Joanna Rawik w telewizyjnym programie nie wspominała o swojej bieżącej pracy artystycznej, a zresztą zasłaniała się nową pasją — pisarską, zapowiadając przy okazji scenariusz filmowy według swego pomysłu i autorstwa.

Joanno!
Już w 1979 roku, powiedzia-

łaś mi publicznie, bo w telewizyjnym „Studio-2” podczas rejestracji naszego wspólnego programu, że napisała autobiograficzną nowelę filmową pt. „Pójdę z pierwszym lepszym” i że zgłosiła ją zespołom filmowym do ewentualnego wykorzystania. O ile wiem, żaden z tych zespołów nie zakupił Twego scenariusza. Ale życzę Ci, aby podobny los nie spotkał nowego scenariusza, nad którym zamierzasz obecnie pracować!

JAKA JESTEŚ JOANNO!

W 1979 roku, telewizyjnie „Studio-2”, zaproponowało mi współpracę z własnym autorskim programem z cyklu „Jacy są”, w którym miałam prezentować znane, lecz kontrowersyjne (warunki!) postacie estrady, filmu i teatru.

Na dobry początek wybrałam... Joannę Rawik. Bohaterka o pomarańczowych włosach typu „afro”, w czarnej bluzce z Londynu z rękawami typu „nieterper”, czarnych, błyszczących i mocno opiętych spodniach oraz czarnych butach z cholewami do kolan, wyglądała jak medium lub aktorka z opery „Buffo”. Ową występ przed kamerami TV w najpopularniejszym bloku, miał być dla zapomnianej piosenkarki come-backiem, przysłówkowym „być albo nie być”, dla redakcji „Studia-2” sensacyjnym programem o posmaku skandalu, wszakże Joannie Rawik on by już nie zaszkodził...

Konwencja rozmowy — ring (wzór — amerykańskie wywiady, w których gwiazda chce pobić lub co najmniej obrzucić stekiem wyzwick dociekliwego dziennikarza, ba, nawet zemścić na oczach milionów widzów!).

150 pytań, 3 godziny rejestracji, 3 przerwy m.in. dla zżycia środków uspokajających nie tylko przez pytań. A oto próbka z utrwalonego na taśmie zapisu rozmowy.

— Gdy wymieniam Pani nazwisko, zawsze słyszę te same pytania — a co się dzieje z Joanną Rawik, dlaczego nie słyhać jej w radio, nie widać w TV, nawet na jubileuszowym FPP w Opolu była nieobecna?

— Nie się z mną nie dzieje, poza tym, że jednak żyję, śpiewam i działam. Czy nieobecność na ekranie TV już świadczy o człowieku? Słucham niedawno Joe Dassin i zastanawiałam się, jakie na ogół głupe są polskie teksty. Mimic, że francuskie też zatają banalem, choć w lepszym stylu. Opole? Bardzo dobrze, że mnie tam nie było. Kiedy bywałam w pobliżu tego miasta (któremu wiele zawdzięczam!) włos mi się jeżył na głowie, że miałam tyle odwagi i bezczelności, aby tyle razy tam śpiewać.

Uniwersytetem śpiewu był dla mnie zawsze Paryż. Nawet nie myślałam o tym, iż dostąpię zaszczytu śpiewania w Olimpii. Po pierwszym dniu prób, pojechałam na cmentarz Pere-Lachaise. Doszłam do wniosku, że skoro Piaf nie żyje to coś musi się kończyć, a skoro kończy się życie — to po co mam się przejmować tym, że ja również zaśpiewam w Olimpii?

Czym jestem — pyłem i prochem wobec wielkich gwiazd. Właśnie studiuję folder Lizy Minelli. I znowu mam wnioski krańcowe. A może by robić za ekspedientkę? Tylko, że właśnie one są największe artystki.

— Jak więc określa Pani siebie poza piosenką?

— Stary Scibor-Rylski, z którym od lat prowadzę obszerną korespondencję, napisał mi kiedyś: „podejrzewałem, że cierpi pani na niezaspokojone uczucia miłości in abstracto, a nosiciele tych uczuć są właściwie nieważni”. Nigdy nie wiadomo jak to życie sobie zorganizować — a przecież wszystko składa się na wyraz artystyczny. Dlaczego tak jest, że moje sukcesy profesjonalne nie idą w parze z życiem osobistym w sensie tzw. farnu, tylko dokładnie odwrotnie? Czy zatem lepiej być wybitną artystką czy może zwyczajną kobietą? Jestem całkowicie nieodporna psychicznie — dlatego w dniu 7 czerwca 1972 roku otworzyłam gaz.

— Pisał o tym na pierwszej stronie „Kurier Polski”: „W dniu, o godzinie, w mieszkaniu, na ulicy... znaleziono zwłoki znanej piosenkarki Joanny Rawik”. Ale przecież Pani żyje?

— O, to było różnie komentowane — jako odwaga i jako słabość. Być może wtedy zrozumiałam Hamleta — umrzeć zasnąć. Nigdy w życiu nie odważyłabym się usiłować coś takiego zrobić po raz drugi. Przecież świat jest najplekniejszym ze światów — przy całej jego złości, która spotyka nas ze strony bliźnich.

— Czy Pani jest naprawdę zadowolona z wyboru swego zawodu?

— Nie. Całkowicie się do tego nie nadaje. Mam umysł niesłychanie analityczny, powinienam być naukowcem: astrologiem lub neurochirurgiem skoro mam palce skrzypaczki.

— Właśnie, miała Pani ów wirtuozem gry na skrzypcach jak jej profesor Ion Pirleya. Ale w swojej edukacji skrzypcowej nie wyszła Pani poza Vivaldiego. Chyba nigdy nie kochała Pani skrzypiec?

— Gra na skrzypcach wymaga dużo precyzji, a ja grając na tym instrumencie, nie mogłabym pić koniaku, który bardzo lubię.

— Czy te pasje koniakowe nie przeszkadzają Pani w pracy?

— Piję koniak, ponieważ pomaga mi na chore serce.

— W 1975 roku oglądałam Pani występ estradowy, śpiewała Pani jak zwykle „Romantyczność”, prawie tak jak swego czasu w Opolu, ale... kurczowo trzymała się Pani statywu od mikrofonu, aby nie upaść?

— To nieprawda!

— Któż by się przyznał do pijaństwa w pracy, ale przecież wkrótce po tym incydencie — Estrada Łódzka zerwała z Panią umowę o pracę?

— Proszę mnie połączyć z dyrektorem Estrady...

— Nie pora teraz na rozmowy telefoniczne. Przypominam, że jesteśmy w studio TV. Ale chyba nie zaprzeczy Pani, że kiedy otworzyła gaz i gdy przyjechało pogotowie, zabrano ją do szpitala dla nerwowo chorych. Jak długo Pani tam przebywała?

— ...

— Jaką diagnozę Pani postawiono?

— Jestem normalna!!!

— I śpiewa Pani nadal...

— Śpiewam już kilkanaście lat, ale z tą miłą świadomością, że znam biegle kilka języków obcych, znakomicie gotuję, bardzo dobrze piszę na maszynie, umiem szyc, w każdym biurze mogłabym się zatrudnić z moim bagażem umiejętności. Nie mówię już o aktorstwie.

— Brawo!

— Za krótkie jest życie, aby zaspokoić ciekawość świata.

Program telewizyjny „Jacy są” z Joanną Rawik, nie został zakwalifikowany do emisji, z uwagi na zbyt drastyczny charakter i ekshibicjonistyczną wymowę. Polski telewizor nie był wtedy (1979 rok) przygotowany do odbioru takich mocnych programów. W zamian, TVP, po 4 latach, zaprezentowała inny program z Joanną Rawik, który dziś stanowi kanwę do mojego szkicu o dramacie jeszcze jednej z naszych najciekawszych swego czasu piosenkarek, która została pozostawiona samej sobie i mimo świadomości — co należy robić, aby być wybitną osobowością estradową nie potrafiła swojej recepty zastosować do własnego przypadku. Patologia panująca wśród wielu naszych artystów estradowych, ich moralna i zawodowa degeneracja to szeroki temat, który omówię przy innej okazji.

Dziś bohaterką była Joanna Rawik, którą prezydent we wspomnianym programie tak zapowiedział: „Dawno nieogładana, zawsze znakomita...”

Pierwsze stwierdzenie się zgadza, a drugie?

Niestety, zastój artystyczny zarówno w doborze środków wyrazu (jakże skromnych!) i w repertuarze, były tu widoczne szczególnie wyraźnie. Gdy dodam ogromną treść i spieście piosenkarki, brak swobody w byciu przed kamerami, wspomnę rozmijanie się synchronizacji jej otwieranych ust markujących śpiew z playbackiem oraz przedziwnie dobrany zestaw piosenek w tonacji pogrzebowej styppy i w stylu, w którym nikt już dzisiaj nie śpiewa (nawet mity francuskiej piosenki) i których nikt już nie będzie słuchał, to obraz „Joanny Rawik-82” będzie chyba pełny i smutny (rzeczywiście!) w wyrazie, choć jakże przeraźliwie prawdziwy.

Może jeszcze próbka jednego z tekstów piosenek, zaprezentowanych w telewizyjnym programie:

„Mówią mi, że na taką pieśń już nie czas. Będę śpiewać tę pieśń, chociaż nie chce jej świat. Człowiek był, został cieniem, czarny dym rozwiął wiatr.”

Choćby i twista rytm miał ozywić tę treść, będę śpiewać by dać prawdę zbrodni i lez”.

„CZŁOWIEK BYŁ, ZOSTAŁ CIEN...”

Zdaniem Joanny Rawik o zrobieniu piosenkarskiej kariery decydują: praca osobowość. Prawda to znana ale czyżby Joanna Rawik w swojej dydaktyce zapomniiała iż sama jeszcze śpiewa i nie zamierza zmienił tego dosyć intymnego zajęcia?

BOHDAN
GADOMSKI



Foto: Zofia Nasierowska